

✓ „ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

May 1967

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

SYRENA

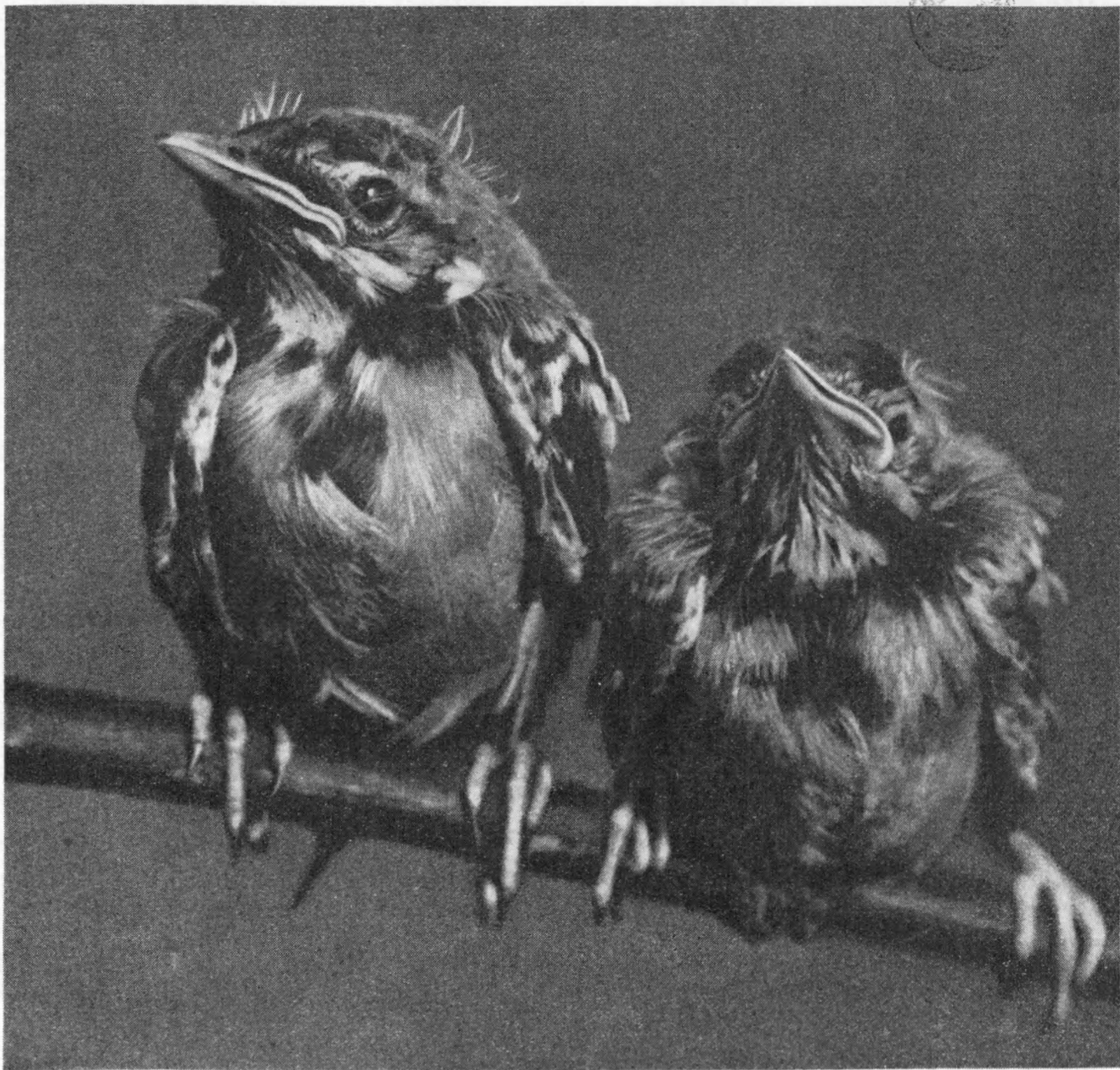
M A J

1967

Nr 34/1181

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



„za kilka dni będziemy latać“

FP 2156

W NUMERZE :

Rocznica Konstytucji i bitwy	1
J. Czapski: Monte Cassino	2
M. Czuchnowski: Kochana Zuzka	4
Z. L. Zaleski: Wachmistrz Kaczmarek i jego towarzysze broni	7
Z. Stahl: Stany Zjednoczone wobec Europy i Azji	10
M. Paszkiewicz: In tenebris clarius	12
J. Tokarski: Posępny humorysta	13
Z. Stahl: Lata walki na obczyźnie o niezależność polską	15
T. Lisiewicz: W obronie własnej cywilizacji	16
M. Tomkiewicz: George Mikes — węgierski książę angielskiego humoru	18
A. Stambrowski: „Nieodwracalne“ staje się odwracalnym	19
J. Adamski: Infiltracja wrogiej ideologii w szeregach partyjne	21
S. MękarSKI: Dekompozycja partyjnej polityki kulturalnej	23
A. Moroz: Okruchy wspomnień z „niehumanitarnej ziemi“	25
J. Ostrowski: Przygoda ucznia Wita Stwosza	26
Z różnych dziedzin	27
J. Ostr.: Życie kulturalne polskiego Londynu	28
Kage: Najkosztowniejsza przeprowadzka	30
Czwarta rewolucja... w nauczaniu	31
Kronika społeczna	32
P. Hęciak: O dwóch bohaterach oceanów i mórz	35
K. Glabisz: Blaski i cienie obecnej Warszawy	34
Wiślan: Kraj kontrastów	36
W. Witrylak: Jak to było pod Narwikiem	37
Świat się śmieje	40

KONKURS „ORŁA BIAŁEGO“

Redakcja miesięcznika „Orzeł Biały“ ogłasza „KONKURS PRZEŻYĆ I MYŚLI“ Polaków żyjących poza Krajem. Warunkiem konkursu jest napisanie dzienniczka obejmującego 7 dni dowolnie wybranego tygodnia. Dziennik ten ma dawać autentyczny obraz wszystkiego co robił, mówił i myślał autor w tym czasie. Rozmiar dzienniczka nie powinien przekraczać 4—5 stron maszynopisu na papierze formatu handlowego z podwójnym odstępem między wierszami.

Materiały wyróżnione będą drukowane na łamach „Orła“ za podwójne honorarium autorskie. Przewiduje się także nagrody książkowe. Wszystkie materiały

będą zachowane w archiwum „Orła Białego“ jako przyczynek do historii naszej emigracji.

Celem umożliwienia wzięcia udziału w konkursie również młodszej generacji, termin nadsyłania prac został przedłużony do 30 września 1967.

Prace należy przysyłać pod adres: Krystyna Brzozowska, 8, Carlton Mansions, Holland Park Gardens, London, W. 14. z dopiskiem na kopercie „Konkurs „Orła Białego“.

Do pracy należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z godłem i nazwiskiem oraz adres autora. Koperta będzie otwarta jedynie w wypadku ogłoszenia pracy.

LISTY DO REDAKCJI

JESZCZE O ODSZKODOWANIACH

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze kwietniowym „Orła Białego“ ukazał się list, który Redakcja „Orła“ jako niepodpisany, umieściła w drodze wyjątku.

W liście tym autor uskarża się, iż Związek b. Deportowanych i Więźniów Politycznych we Francji urządza wprawdzie zebrania w Domu Kombatanta, 20 rue Legendre w Paryżu, ale nie zajmuje się sprawami Kolegów, domagających się słusznie odszkodowań od władz niemieckich. Idąc za przykładem Redakcji „Orła Białego“, również w drodze wyjątku zapytujemy niepoddanego autora listu:

1) czy jest istotnie członkiem naszego Związku? Jeśli jest, to powinien wiedzieć, że zachowując wymagane przez prawo francuskie statutowe adresy siedziby Związku (263 bis, rue Saint-Honoré) i sekretariatu (20 rue Legendre) od wielu lat, ze względów technicznych, zwołujemy zebrania Związku nie na rue Legendre, ani w siedzibie Związku (Misja Katolicka, rue Saint-Honoré), ale bądź w lokalu YMCA, 13 Av. Raymond Poincaré, bądź w Bibliotece Polskiej (Tow. Hist.-Literackie).

2) Jeśli chodzi o sprawy indywidualne odszkodowań, to Związek nasz jeszcze na początku swego istnienia, przed 20 bez mała laty, zalecił członkom korzystanie z fachowej opieki prawników — adwokatów, specjalnie do tego powołanych. Niezależnie od zajętego w tej sprawie stanowiska, władze Związku odpowiadają skrupulatnie członkom swoim na wszelkie listy, oczywiście podpisane i podające adres piszącego. Korespondencję tę należy kierować na adres zastępcy sekretarza Związku, kol. Szczepana Lewandowskiego, 72 rue du Commerce, Paris 15; bądź, w sprawach ogólnych, do niżej podanego, 59 rue Boissière Paris 16-e.

Dziękując z góry za umieszczenie niniejszego wyjaśnienia, łączę dla Pana Redaktora wyrazy prawdziwego szacunku i szczerego poważania

Z. L. Zaleski
Prezes

BIALI I CZARNI W AFRYCE POŁUDNIOWEJ

Szanowny Panie Redaktorze,

Raz po raz czytam w prasie bałamutne i nieprawdziwe wiadomości o Afryce Południowej, wobec tego chciałbym w kilku słowach dać nieklamany obraz tego zagadnienia.

Kraj piękny, ludzie przychylni, Polacy cieszą się tu dużą sympatią i dużo tu wiedzą ludzie o Polsce. Jest to kraj otoczony oceanem państw murzyńskich, wrogich białym i pragnących usunąć ich z Czarnego Kontynentu. Biali w Anglii i w Ameryce dopomagają im jak mogą, aby to się stało i pod płaszczykiem górnych, humanitarnych hasel chcą wytworzyć piekło, aby robić „business“ i dorwać się skarłów tego przebogatego kraju.

Afrykanderzy biali są tu od pokoleń całych, nie mają ojczyzny za morzami, ich ojczyzną jest Południowa Afryka, którą wspaniale zagospodarowali i oni wiedzą najlepiej jak w tym kraju rządzić i — jak dotychczas — jest to najspokojniejszy kraj na świecie. Murzyn jest traktowany po ludzku wobec prawa, które go chroni i czarni tutejsi są najlepiej wynagradzani za pracę na całym kontynencie afrykańskim. Chciałbym, aby robotnik w Polsce obecnej był tak uposażony jak tu są czarni. Najniższa płaca służby domowej, która — nawiasem mówiąc — niewiele jest warta, wynosi £14.0.0. Tak zarabia chłopiec, który froteruje podłogi i za-

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

Maj jest miesiącem dwu wielkich rocznic: Konstytucji 1791 roku i bitwy o Monte Cassino 1944 roku.

Te dwa fakty historyczne — ustawa zajmująca się ustrojem polityczno-społecznym państwa i czyn orężny z górą półtora wieku później — na pozór są bez związku ze sobą. Lecz w istocie rzeczy obie daty są ogniwami tego samego łańcucha, łączy je ta sama logika wydarzeń w dziejach naszego narodu.

Polska doby stanisławowskiej, zrywając w akcie Konstytucji z tradycyjnym ustrojem społeczno-prawnym, wprowadza nowy ład, który miał ją wzmocnić wewnątrz, a zarazem podnieść jej potencjał obronny w obliczu dybiących na całość jej granic sąsiadów ze wschodu i zachodu. Instynkt narodu szukał w niej i poprzez nią ratunku przed utratą niepodległości.

Dzieło Sejmu Czteroletniego żyje w świadomości ogółu od chwili ogłoszenia go na sali obrad sejmowych i na ulicach Warszawy w dniu 3 maja 1791 po dzień dzisiejszy, jako nasze najpierwsze święto narodowe. I to mimo faktu, że czyn patriotów i reformatorów epoki stanisławowskiej nie ocalił państwa. Wierzone jednak, że „ocalił naród“, że „dał mu karm na twardy żywot, na wiek kłeski... zapowiadając świty nowego życia“. Po upadku powstania listopadowego Mickiewicz pisze w numerze „Pielgrzymstwa Polskiego“ z maja 1833, że to „prawo wyjęte z serca wielkiej masy, nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń; jest więc prawem żywym, zakorzenionym w przeszłości, mającym rozwinąć się w przyszłości“.

Sąd Mickiewicza jest wyrazem powszechnej opinii, utrwalonej tradycją lat i pokoleń. Nie zdołał zatrzeć jej ani uszczuplić wysiłek obecnego reżimu w Polsce, który początkowo wręcz nie uznawał tej rocznicy, a obecnie, w najlepszym razie, toleruje ją, bo jest bezsilny wobec tradycyjnych ocen i uczuć.



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 34/1181

MAJ 1967

Rok XXVI

ROZNIKA KONSTYTUCJI I BITWY

W roku 1939 Polska znalazła się w sytuacji w dużym stopniu podobnej do tej sprzed 148 lat. Jak ongiś, tak i wtedy stanęła wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa utraty swej niepodległości. Jak ongiś tak i wtedy, ci sami jej sąsiedzi — Niemcy i Rosja — działając w ścisłym porozumieniu, napadli na nią od zachodu i wschodu i po krótkiej walce zagrabili jej terytorium.

Tym razem stawka była znacznie większa: postanowiono w zgodnym działaniu nie tylko położyć kres państwu, lecz zarazem zniszczyć naród. Prawdopodobnie nigdy poprzednio w historii świata nie było tak gigantycznej próby eksterminacji narodu. I chyba nigdy przedtem nie było narodu, który by okazał tyle nadludzkiej niezłomności, hartu i ducha odporu, co Polacy w drugiej wojnie światowej.

Toteż świat ujrzał znów walczących żołnierzy polskich... żołnierzy, którzy nie bili się o żadne dobra materialne, ale o Wolność. Tak doszli do Monte Cassino, które zdobyli 17 maja, otwierając całkowicie drogę do Rzymu.

„Na tę bitwę — jak się wyraził naczelny dowódca gen. Anders — nie pada pył zapomnienia. Bierze ją na swe skrzydła legenda i zanosí do «na-

rodowego pamiętek kościoła“. I nie może być inaczej, bo naród widzi w niej etap ogromnego wysiłku podjętego w imię odzyskania utraconej wolności.

Rocznica tej bitwy ma również wymowną historię w Kraju pod reżymem komunistycznym. Podczas, gdy społeczeństwo z miejsca zrozumiało i doceniło wielkość wysiłku swych braci na obcej ziemi, oficjalna propaganda usiłowała wszelkimi sposobami pomniejszać go, lekceważyć, a nawet zohydzać. Wyrazem odmiennej od urzędowej postawy społeczeństwa, była ogromna popularność piosenki „Czerwone maki“, zrodzonej z ducha tej bitwy. Z czasem reżym uznał, że obrana droga nie daje oczekiwanych wyników, wobec czego Monte Cassino wróciło do łask, a ostatnio przewodniczący Rady Państwa Ochab, będąc z wizytą oficjalną we Włoszech, udał się na cmentarz cassiński, by złożyć tam wieniec.

Nie brak jednak i dziś epigonów dawniejszego okresu, co prawda, bardzo nielicznych, którzy z tej ofiary podjętej w imię miłości ojczyzny, chcieliby zrobić lichą farsę wojenną nie prowadzącą do żadnego celu.

Próżny to trud, daremny wysiłek. Monte Cassino „ożyło w pieśni“, stało się własnością całego narodu, pamięć jego trwać będzie po wsze czasy.

DAR NARODOWY 3 MAJA JEDNOCZY WSZYSTKICH POLAKÓW

MONTE CASSINO

W marcu tego roku ukazało się w Kolonii tłumaczenie „Nieludzkiej Ziemi“ Józefa Czapskiego (wyd. Kiepenheuer und Witsch, str. 469) ze wstępem Manese Sperbera. Do książki dołączył Czapski posłowie: 6 nowych rozdziałów, napisanych dla niemieckiego czytelnika. Na tle własnych wspomnień: od Iraku po Paryż oraz przeżyć jego najbliższych w Polsce porusza Czapski problem stosunków polsko-niemieckich wczoraj i dziś. „Monte Cassino“ jest III rozdziałem posłowania. Do książki dołączony został artykuł Czapskiego z r. 1948 „Prawda o Katyniu“.

* * *

JEZELI sięgam do własnych wspomnień tego 1944-go roku, dwie daty, dwa wydarzenia gaszą inne. Pierwsze — to majowa bitwa o Monte Cassino, drugie, w skutkach swoich niepomierne ważniejsze — to wybuch sierpniowy Powstania Warszawskiego.

Cóż one znaczą dziś, dla nie-Polaka, dla którego w tej wojnie liczyć się będą wielkie ofensywy niemieckie po Afrykę, Stalingrad, potężna kontrofensywa Czerwonej Armii, desant atlantycki sojuszników, zjawiska miażdżące imaginację ilością walczących, zabitych, potęgą techniczną w wymiarach dotychczas nieznanach. A Polska? Jak łatwo zapomnieć jej samotną walkę wrześnieową, planową Ausrottung narodu polskiego na jego ziemiach, udział żołnierza polskiego w walkach na wszystkich frontach i wśród tych walk atak Polaków na rygiel zamykający dostęp do Rzymu, na Monte Cassino — data dla każdego Polaka tak znacząca — dlaczego?

Monte Cassino to pierwsza wielka bitwa 2. Korpusu i pierwsze tu właśnie starcie z wyborowymi oddziałami niemieckimi. Dla Niemców żołnierz polski to był żołnierz kraju, który zdawał się od dawna z karty wykreślony, przestał istnieć jako godny uwagi przeciwnik.

Żołnierze polscy: ich rodziny trwały w kraju, w nieludzkim ucisku, o którym nawet dr Schönrath, dowódca brygady SS na posiedzeniu rządu General Gouvernement, na Zamku Królewskim w Krakowie, powiedział, że „ucisku jaki cierpi naród polski nie znosił jeszcze nigdy żaden naród“. Tysiące kolegów tych żołnierzy wyniszczono, wymordowano w obozach i więzieniach niemieckiego Reichu i Rosji Sowieckiej, oni o takim właśnie zmierzaniu się z Niemcami marzyli. Ci żołnierze spod Monte Cassino, to żołnierze kraju, któ-

rego granice na wschodzie zostały już przesądzone, na korzyść Rosji przez własnych potężnych sojuszników w razie zwycięstwa nad Niemcami, przez Roosevelta i Churchilla, których Stalin „przekonał“ brutalnym szantażem.

Machiavel odradzał sprzymierzenie się z silniejszym partnerem, w razie przegranej silniejszy zawrze pokój kosztem słabszego, w razie wygranej słabszy znajdzie się sam na sam ze zwycięzcą, zdany na jego łaskę i niełaskę. Taki był los Polski, w tamtych latach. Zadaniem Korpusu było zdobycie klasztoru i otaczających go wzgórz, skąd Niemcy mieli pod swoim obstrzałem całą dolinę Liri, jedyny szlak ku Rzymowi. To był odcinek walki kapitalny w gotującej się ofensywie, miała ona na celu przelamanie Linii Gustawa i Linii Hitlera, których zawiasem było Piedimonte.

Monte Cassino było już głośne, dzięki walkom ostatnich miesięcy, szerokiej ofensywie styczniowej, V. Armii Amerykańskiej i Korpusu Francuskiego oraz drugiej ofensywie Korpusu Nowozelandczyków i Dywizji Hinduskiej o zasięgu zwięzonym do opanowania umocnionych pozycji Monte Cassino. Ta druga faza walki trwała aż po 24 marzec. Pomimo, że oddziały sojusznicze zajmowały przejściowo parokrotnie sąsiednie wzgórza, pomimo, że klasztor na górze zamieniony został w ruinę przez bombardowanie powietrzne, Niemcy tkwili tam mocno, zdecydowani bronić tych pozycji do ostatka.

W tymże marcu VIII. Armia Angielska zastępuje V. Armię Amerykańską. Gen. Leese proponuje gen. Andersowi, by objął w gotującej się nowej szerokiej ofensywie odcinek walki w Monte Cassino, zaznacza mu przy tym, że może tego zadania nie przyjąć, Korpus byłby wówczas przesunięty gdzie indziej, na teren nieznaczony, tyłu zaciętymi bojami. Gen. Anders zadanie przyjmuje. Gra tu obok względów militarnych w równym stopniu wzgląd polityczny: na każdym odcinku frontu straty mogą być równie wielkie, ale gen. Anders liczy się, że rozgłos zdobycia tej już wstawionej twierdzy, byłby dobitnym świadectwem wartości bojowej polskiego żołnierza, odpowiedzią na propagandę sowiecką, wzmógłby jeszcze ducha oporu w kraju dodając mu nadziei, wpłynąłby na dalszy bieg sprawy polskiej. Żołnierz polski, który tu przyszedł przez Irak z Syberii i Pustyni Libijskiej, weźmie udział w walce gdzie znaczyć może ona najwięcej i gdzie jest najtrudniejsza.

Rozkaz skierowany do Korpusu brzmiał: „Zdobyc Monte Cassino i działać na Piedimonte“.

Już w kwietniu Korpus obejmuje pozycje wyjściowe przyszłego natarcia na Monte Cassino, od którego dzieli nas ponad 5 kilometrów doliny Rapido. Ten wysunięty bastion niemiecki aż po Monte Cairo (ponad 1500 metrów) panuje nad całym terenem walki, każdy odcinek doliny Rapido i Liri jest pod ścisłą niemiecką obserwacją. Doświadczenie z dotychczasowych natarć umożliwiło Niemcom udoskonalenie obrony, której podstawą był, jak pisze gen. Anders, system ogni „wspaniale się uzupełniających i flankujących, o niesłychanej giętkości pozwalającej wielką koncentrację ognia w dowolnym punkcie“. Wojska niemieckie, z którymi żołnierz polski miał się zetrzeć, były wyborowe: I. Dywizja Strzelców Spadochronowych bez 1 pułku, V. Dywizja Górską plus 44 dywizja bez 1. pułku wspomagana pułkami: górskim i wysokogórskim. Ta I. Dywizja Strzelców Spadochronowych pozostała do końca wojny, pomimo strat, jedną z najlepszych niemieckich dywizji i prawie w stu procentach składała się z ochotników, świetnie wyszkolonych.

Każda nasza dywizja miała dwie brygady o niepełnym stanie, kiedy korpusy sprzymierzonych miały pełne trzybrygadowe, nawet czterobrygadowe dywizje. Korpus polski, jak już pisałem, nie miał rezerwy.

Dowóz zaopatrzenia w nocy bez świateł był niezmiernie trudny, chodziło o zupełne ukrycie przygotowań przed przeciwnikiem. Zaopatrzenie szło z początku ciężarówkami, były one przeladowywane na lekkie samochody, potem na muly, na stromych drogach górskich nie przystosowanych do transportu o różnym ciągu, do czołgów włącznie.

Dolina Rapido, cała w wiosennej zieloności, czerwonych makach pod niebieską ścianą górską, z masywną ruiną klasztoru u szczytu, jest coraz to zadymiana. Tak przedłużano noc, by ukryć przygotowania. Ta dolina dzieliła nas od wroga. Oddziały łączności budowały tam gorączkowo całe sieci połączeń, wkopując kilometry kabli. Do ostatniej chwili nieprzyjacieli nie przeczuwał bliskiego natarcia z tej strony, ale właśnie tajność tych przygotowań uniemożliwiała wypadki, zaczęły patrole, przekreślając rozpoznanie obrony nieprzyjaciela.

11 maja od 23-ej artyleria na całym froncie rozpoczęła ogień, o 1-ej godzinie dywizje nasze ruszyły do natarcia, posuwając się od pierwszej chwili w ogniu artylerii nieprzyjacielskiej i moździerzy. Niemieckie ognie zaporowe, co miesiąc na nowo wypróbowane i ulepszone, działały najcelniej. Brygada

Strzelców Karpackich zdobywa bastion wzgórza 593, podchodzi pod Gardziel, walczy o wzgórze 569, Wileńska Brygada Piechoty wdziera się na grzbiet Widma. Walka trwa w ciemności nocnej, potem w świetle dnia na terenie skalistym, pełnym krzaków i załomów, pieczar, schronów i ukrytych gniazd karabinowych. Jest z punktu wielka ilość zabitych i rannych, giną dowódcy baonów, kompanii, plutonów i dowództwo obejmują kolejno zastępcy i zastępcy zastępców. Nieprzyjacielskie przeciwuderzenia wyruszają z ukrytych bunkrów, z pieczar skalistych. Niemożliwe jest wsparcie piechoty przez artylerię z powodu nierówności terenu, strat w obserwatorach artylerii, gdy towarzyszą piechocie. Walka wręcz trwa do godzin popołudniowych, ale zdobyć te pozycje jest łatwiej niż je utrzymać. 12-go gen. Anders daje rozkaz ściągnięcia oddziałów do punktów wyjściowych. Utrzymanie pozycji zwiększa co chwilę ofiary, zaplecze zaś ataku jest tak wąskie, ilość dróg i ścieżek tak szczupła, że doprowadzenie nowych posiłków do pola walki jest niemożliwe. Na stronę niemiecką przybývają właśnie świeże bataliony Dywizji Spadochronowej na zmianę, tak że liczba przeciwników jest prawie podwójna, niż w chwili rozpoczęcia akcji.

Korzyścią tego pierwszego natarcia, które ostatecznie załamuje się jak uprzednie, jest spełnienie zadanie wobec nacierającego w dolinie Liri 13 Korpusu Brytyjskiego, przez związanie akcją naszą ognia nieprzyjaciela, ułatwia mu sforsowanie rzeki i potrzebnych przyczółków. Brytyjczycy posuwają się dalej wzdłuż doliny Liri, nasz Korpus nie przestaje nękać nieprzyjaciela wypadami i patrolami.

Następna akcja rozpoczyna się 16-go wieczorem. Podciągnięto zaopatrzenie w amunicję (brakło jej żołnierzowi z powodu wybitych nosicieli amunicji). Do natarcia ruszają te same wykrwawione brygady tuż pod ogniem własnej artylerii, tylko w ten sposób przeorganizowane, że z trzech batalionów zrobiono dwa bataliony, w skład zaś trzecich weszli żołnierze spieszeni z artylerii przeciwlotniczej, kierowcy, warsztatowcy i nawet lekko ranni z 11 i 12 maja z odesłanych do szpitala na powrót do oddziału ściągnięci. Chodzi o los całej bitwy, o los Korpusu.

17-go, o godz. 18.30 Korpus zdobywa Widmo, zdobyte jest również wzgórze San Angelo z wyjątkiem jego północnej części i wzgórze 593 — Gardziel. Chodzi o zaskoczenie jak najszybsze nie oglądając się na straty, by przeskoczyć zapory ogniowe. Znowu w walce wręcz każdy skrawek terenu przechodzi parokrotnie z rąk do rąk. Straty są znów wielkie, rośnie wyczerpanie po obu

stronach. To godziny walki ostatecznej, kryzysu, — która strona wytrzyma?

W nocy z 17 na 18 trwają przygotowania do wydłużenia natarcia Korpusu. Ale wysłane naprzód patrole stwierdzają wycofywanie się nieprzyjaciela z góry klasztornej. III. Dywizja nie ponawia natarcia i patrol 12 pułku ułanów zatyka sztandar biało-czerwony na gruzach klasztoru.

Ale na odcinku 5 Dywizji jeszcze do wieczora trwają zacięte walki.

19 maja pułk ułanów Karpackich, potem 15 pułk ułanów Poznańskich,*) których zadaniem dotychczas była osłona prawego skrzydła Korpusu, rozpoczynają akcję na Passo Corno, wzgórze 839. Trzy mile osiemset metrów różnicy poziomu między punktem wyjścia oddziału a szczytem wzgórza trzeba było przejść pod gwałtownym ogniem nieprzyjaciela, oczyszczając pola minowe, zdobywając stanowiska za stanowiskiem, schron po schronie, w terenie gdzie co kilkadziesiąt metrów wznoszą się tarasy cztero — pięciometrowe, prostopadłe. Zaopatrzenie, bez osłony przed obstrzałem, było dostarczane ludźmi. Żaden muł by tam nie przeszedł. Skrzynki z amunicją wciągano na linach; by znieść jednego rannego trzeba było ośmiu ludzi i trzech godzin.

W pułku ułanów Karpackich odznacza się trzeci szwadron, którego część to 17-latki ze szkół junackich z Egiptu, ci z Rosji uratowani. Podczas ataku mdleją po drodze, zlewają się wzajemnie wodą z manierek i drapią się dalej. Dopiero tego wieczora nieprzyjaciel cofa się z masywów górskich osłaniających pozycje Monte Cassino od północy. 13 Korpus Brytyjski i Korpus Kanadyjski docierają do Linii Hitlera, ale Anglicy muszą wstrzymać swoje następowanie w dolinie Liri z powodu ognia flankowego z Piedimonte, na zbiegu Linii Gustawa i Hitlera.

Śmiałe natarcie grupy pancernej (wydzielonej z II Brygady Pancernej) uderza na Piedimonte w terenie trudnym dla akcji czołgów, bez dostatecznego wsparcia piechoty, która wykrwawioną miała na tym odcinku najwyżej 28% swego stanu. Oddziały Korpusu wdzierają się do Piedimonte, wiążąc jedyne odwody 1 Dywizji Spadochronowej niemieckiej, nie pozwalając jej na działanie przeciw XIII. Kurposowi Brytyjskiemu.

Walka trwa dalej. Piedimonte jest 25 maja ostatecznie przez wojska nasze zdobyte, zadanie wykonane, droga do Rzymu otwarta.

Straty Korpusu wynosii 923 zabitych i 2931 rannych.

*) Były to pancerne pułki spieszone.

B.D.I.C

król angielski nadaje dowódcy 2-go Korpusu gen. Andersowi, order Łaźni.

* * *

Nie brałem udziału w tych walkach; jako ówczesny szef Kultury i Prasy 2 Korpusu miałem odpowiedzialność za biuletyny, prasę, ich dostarczenie aż do linii frontu, kontakty z nieustannie napływającymi ze świata dziennikarzami i całym aparatem informacji w Korpusie i poza Korpusem. Cóż pamiętam z tych dni poza napięciem nerwowym, któremu uległem wraz z całym Korpusem?

Wspomnienie może najsilniejsze, to ci żołnierze powracający przez las dębów korkowych, zamieniony na gąszcz martwych kikutów, czy schodzący ze stromych ścieżek, wśród świeżych trupów, w ostatecznym wyczerpaniu, z twarzami nieogolonymi, białymi od białego kurzu, bez kropli krwi, jakby przezroczytymi. Widzieli śmierć najbliższych towarzyszy, sami walczyli wręcz, zabijali i uszli śmierci. Spotykając mnie, który już po bitwie piąłem się w górę, witali się ze mną jak z bratem z innego brzegu, była w nich taka szalona radość życia, które znowu do nich powracało, takie szczęśliwe w bitwie zdobyte braterstwo, że nawet mnie tym darzyli. Przecie tych samych żołnierzy przyjmowałem na stepie nad Wołgą do wojska, wynędzniałych, niewolników, którzy po stu przygodach do nas dotarli, cienie ludzkie, których NKWD jeszcze nie zdążyło wystrzelać w fosach katyńskich czy innych, albo zgnoić w obozach. Ta radość rozsadzająca powrotu do życia, czy tylko spotkanie oko w oko ze śmiercią, przeżycie dotykające do śmierci, daje to natężenie woli i miłości życia, ten blask.

Pamiętam wąską w zygzakach ścieżkę mułów na przepaści, „drogę saperów“, jak ją nazwano. Tą ścieżką jędyną mogły czołgi dotrzeć na grzbiety górskie, na Gardziel, na Widmo, tam gdzie trwała walka. Ta ścieżka zygzakiem, ścieżka mułów była tak wąska, że każdy czołg zatrzymany z powodu takiej czy innej awarii, musiał być natychmiast strącony do przepaści, bo drogę innym zagradzał, w chwili gdzie walka tam w górze trwała, gdzie liczyła się każda minuta.

Była to też jedyna droga po której na noszach znoszono z góry ku punktom opatrunkowym ciężko rannych. Podczas walki ranni czekać musieli jednego z tych dni, ponad osiem godzin, aż „droga saperów“ zostanie zwolniona od czołgów, wtedy dopiero można było ich znieść na pierwszy opatrunek na dół do szpitali.

Leżał tam i czekał również chłopak bardzo blady, w kałuży krwi. Zabrakło

(dokończenie na str. 4)

KOCHANA ZUZKA

noszy. Gdy podniesiono go, by na miejscu opatrzyć, stwierdzono, że ma wielką ranę na plecach. Odwrócił głowę, popatrzył na tę kałużę i powiedział cicho, jakby do siebie: „Ile ta Polska nas krwi kosztuje“.

Zwycięstwo pod Monte Cassino było krótkotrwałą sensacją wojenną w prasie światowej. Zresztą i tu nałożono tłumik. Nie trzeba było drażnić tymi Polakami sowieckiego sojusznika.

Józef Czapski

NOWOŚĆ!

Kazimierz Sosnkowski MATERIAŁY HISTORYCZNE

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerszemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały“ jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720. Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queen's Gate Terrace,
London, S.W. 7

i we wszystkich księgarniach polskich

MOŻESZ WYŚLAĆ

WSZYSTKO

przez

Grabowskiego

Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony

(bez podpinka i z podpinką)

i tak dalej

Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI
175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

Maria Gryziewiczowa dopiła resztę czarnej jak atrament kawy i powiedziała cicho, jakby w obawie, że spłoszy swą myśl, patrząc na uwijającą się w klubie „Białego Orła“ rozrośniętą blondynę kelnerkę: da mi pan za trzy dni jakąś na Amerykę rzecz, spokojną i bliską panu o Trzecim Maju?

— Łatwiej byłoby mi o Pierwszym Maju — uśmiecham się nieznacznie, ale...

— Ja chcę o Trzecim.

— Dobrze. Lecz to będzie osobiste.

Zarumieniła się i dodała również cicho, trochę nieśmiało:

— Nie będzie to za ostre?

— Och, nie. Skądże?

Gryziewiczowa redagowała specjalny biuletyn prasowy Światowego Związku Polaków za Granicą, przeznaczony dla polonijnej prasy obu Ameryk, zwłaszcza dział dla młodzieży i dzieci. Byłem jednym z najbardziej niestrudzonych dostarczycieli krótkich historii, opowiadań i obyczajowych obrazków do jej biuletynu w czasie wojny i po wojnie, dopóki „Światpol“ go wydawał.*)

Dzień Trzeciego Maja zrosił się u mnie od wczesnego dzieciństwa z wieloma bardzo skomplikowanymi wspomnieniami. Był on dla nas, Polaków urodzonych w byłym zaborze austriackim, czymś tak naturalnym, że nie można było wyobrazić sobie roku bez niego. Jak ślubu bez pierścienia. Należał omal do rządu, praktycznie biorąc, świąt i takich obchodów jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, czy huczne, barwiste Zielone Świątki. Było to przede wszystkim święto dzieci.

Najjawniej i najżywiej obchodzono zatem rocznicę konstytucji majowej pół wieku temu pod zaborem austriackim. Zabory tak pruski jak i rosyjski zwalczały polskie narodowe zjazdy masowe i brutalnie tępiły wszelkie historyczne rocznice. W zaborze austriackim możliwości rocznicowe były duże choć czarno-żółtym urzędnikom cesarskim nie łatwo przychodziło się z tym pogodzić.

Pamiętam dobrze taki obchód 3-go Maja w r. 1916 podczas pierwszej wojny światowej. Mała, lecz prześlizczona wioska Nawojowa w powiecie nowo-sądeckim przygotowywała się już parę dni przedtem do obchodu. Nam dzieciom kazano przyjść wcześniej wieczorem do domu z włóczgi po dworskich łąkach i ugorach i przygotować się

spokojnie do generalnego szorowania. Ogromnie takich okazji nie lubiłem. Raz — że na łąkach pasty się akurat nowe wspaniałe kasztany cugowe, po drugie — nianka mojej siostry Marysi i najmłodszego brata Janka, ogromna jak wieża Zuzia, miała szorstkie, grube ręce i używała ich z powodzeniem, jak szczotki.

Zuzia była spokojną dziewczyną, lecz przy myciu nas stawała się niemiłosierna. Gdy nasze uszy były zbyt brudne tarła je tymi swoimi naturalnymi szczotkami i omal zdzierała z nich skórę. Po tylu latach nie dziwię się jej ale wtenczas to się przed nią ukrywałem. Najgorszą jednak rzeczą był jej wynalazek mycia szyi. Zuzia pochodziła z Kamiennej, maciupkiej wioski koło Nawojowej, przytykającej do Srebrnika. W Srebrniku rósł bujny las mieszczący z zagajnikiem z czystych srebrnych świerków, takich samych jakie pojedynczo lub po kilka tylko rosną przed dworami na gazonach lub białymi willami lekarzy czy notariuszy na prowincji.

Myjąc nasze szyje Zuzka Dudkówna miała na miseczkach przygotowany czyściutki, ostry piasek rzeczny. Skoro mydło Schichta z jeleniem odcisniętym na kostkach nie pomagało w myciu smarowideł zebranych na szyjach i plecach ze wszystkich bijatyk i wagarów w polach i zagajach nadrzecznych, brała ten złoty piasek z miseczek i szorowała nim nasze karki aż trzeszczało.

Siedząc w kuchni na ławce cicho, jak trusia, patrzyłem na obu braci; Wiktor zginął osiem miesięcy potem w okrutnym wypadku i został w Nawojowej pochowany; i siostrę Marysię, jak wszyscy zamilknięli. Patrząc to na balię, to na krzątającą się Zuzię, czułem mrówki chodzące mi po ciele parami. Krzepka z tęgiej sosny podłoga skrzypiała pod bosymi stopami Zuzki, jakby się po niej przechadzał słoń z powieści Sienkiewicza „W pustyni i puszcy“ ze Stasiem i rezolutnią Nelly na grzbiecie. Cóż mogliśmy zrobić?

Szorowanie zaczęło się, naturalnie, jak zawsze od Maryny, jako najmniejszej i najmłodszej. Potem szedł Janek. Po nim Wiktor. Na końcu ja, najstarszy. Rodzeństwo krzyczało w niebogłosy. Woda pluskała. Zuzka była czerwona z wysiłku, tak omal czerwona jak po wrocie wieczorem ze spotkania z kapralem Zulaufem, który był zastępcą dowódcy posterunku strażników pilnujących rosyjskich jeńców wojennych zatrudnionych w czasie wojny na folwarku. Zuzia na nic nie bacząc szorowała

*) Fragment obszerniejszej książki „Krosna Skrzata“ od kilku lat przygotowanej do druku.

zawzięcie łepety braci. Wreszcie przyszła kolej na mnie. Miałem szczerą ochotę uciec na werandę, lecz Zuzka знаła mnie dobrze i powiedziała miękko:

— Bądź grzeczny, Marysiu. Wymyję cię tak czyściutko, jak miedziany czajnik i wyszoruję, tylko się nie opieraj. Jutro jest wielkie święto i ubiorę cię w nowiutką sukmanę. Będziesz stał pod samym ołtarzem przy kosynierach.

— Przy kosynierach? Rety! To mnie jeszcze na kosę nabiją, jak się upija — powiedziałem z przejęciem.

— Nic się nie bój. Sprawili by im lanie twój ojciec — perswadowała mi Zuzka roztropnie i po chłopsku. — To wielki honor dla ciebie. Odtąd już będziesz na prawdę chłopcem, nie dzieciuchem. Rozumiesz?

Nic nie zrozumiałem. Na domiar nie-szczęścia Zuzka pogładziła mnie ręką po karku, a mnie siedmioramienny lichtarz stanął ze świeczkami w oczach. Myślałem, że Zuzka tak umyślnie opowiada, aby mnie przejechać szybko piaskiem po karku i narobiłem krzyku. Wtedy Zuzka powiada z żalem:

— Widzisz, że to ręka. Anim piasku nie tknęła. Ręce tak pękają od wody i ciężkiej roboty!

Przeprosiłem Zuzię i mówię pojednawczo:

— Zuza, ja cię tak lubię. Zuza, opowiadaj dalej!

Zuzę zatchnęło od mojej pokory. Z przejęcia chlapnęła mnie mydłem po oczach i znowu zakrzyczałem. Zuzka pocałowała mnie w nagie ramię wilgotnymi ustami tak jakoś nagle, że się zawstydziliśmy tego okrzyku. Spytała ła-godnie:

— A za co ty mnie lubisz?

Zwlekąłem z odpowiedzią.

— Powiedz, za co? — nalegała, patrząc mi w oczy figlarnie.

Odwaga we mnie wstąpiła, jak wójt do karczmy.

— A bo ty jesteś taka duża i ciepła jak szafa, w której trzymamy chomąta.

Zuzka skoczyła do góry jakby nie chcący usiadła w pokrzywach, prasnęła mnie mydłem przez kark, a była to wielka kostka Schichta. Powiedziała gniewnie, porządnie urażona:

— Nic ci nie powiem, kiedyś taki.

— Zuziu, Zuzieńko, powiedz, powiedz! — nalegałem rozpaczliwie, na dobre przestraszony. — Już nie będę, naprawdę nie będę.

Udobruchałem ją po chwili przyklepiony do niej jak pszczoła do lipy. Biorąc mydło i odsuwając mnie od piersi zaczęła opowiadać z namysłem całą znaną sobie historię 3-go Maja. Słuchałem z tym większą uwagą, bo niewiele z niej rozumiałem poza słowami. Powiedziała więc wszystko co wiedziała o Moskach, o złodziejskich Prusakach i starej,

nikczemnej cesarzowej austriackiej Ma-
rii Teresie. Co do prusaków to
działem już sporo o nich od dawna, że
to kuchenne robactwo i pomagałem na-
wet Zuzce i jej ciotce Agacie zasypy-
wać je złotym proszkiem, który miał
nieprzyjemny zapach i jak czasem bu-
ry kocur Anzelm zapędzony z podwórza
na tylnych łapach usiadł na nim wy-
padał na dwór, miaucząc w niebogłoso-
y. Też i moskale nie mogły mi się dość
jasno pogodzić z opowiadaniem Zuzki,
bo ja moskale bardzo lubiłem, gdy je
w dużych szklanych słojach przynosił
do nas siwobrody Jumeł na Wielki
Piątek i mówił:

— Pyszne moskale, Sura przywiozła
dziś rano z Wiednia, bo tu nigdzie ich
nie można dostać, ani w Tarnowie, ani
w Krakowie. Wojacy wszystkie zjedli.

Te moskale, srebrzyste marynowane
rybki na kwaśno, jedliśmy z gorącymi
pieczonymi ziemniakami na obiad w po-
ście. Mniejsza z tym. Nie przerywałem
Zuzce, bo jeszcze zostawała do wyja-
śnienia ta tajemnicza Maria Teresa.
Słuchałem więc uważnie, mając nadzie-
ję, że się coś o niej bliższego dowiem
później. Zuzka się jednak rozpędziła i
mówiła o co światlejszych panach w
narodzie, którzy postanowili uratować
Polskę i o królu słabego ducha, choć
światłym człowieku. Ci światlejsi pano-
wie uradzili naprawić błędy przeszłości.

Zuzka miała twarz czerwoną, jak or-
ganista kiedy się potknął na schodach,
idąc na chór razem z nami dla grania
na organach podczas nieśporów. Po-
wiedziała zniżonym głosem, patrząc mi
prosto w oczy:

— Ale było za późno, bo źli sąsiedzi
rozebrali Polskę i choć śpi ona w gro-
bie, to zmartwychwstanie.

I przy tych słowach wypowiedzianych
z największą namiętnością w głosie,
chlapnęła mnie krzepko mydłem, że
znowu zaryczałem z bólu.

Obtarła mi wreszcie twarz z mydła i
— szorując zawzięcie moje plecy zło-
tym piaskiem, jakby kawałkiem blachy
— mówiła z zapałem o panu Staszcu i
panu Kościuszcze i panu Kołłątaju, lecz
musiało się jej coś pomieszać, bo wspo-
mniała na końcu o najmiłościwiej nam
panującym cesarzu Franciszku Józefie.
Wszystkich ich znałem i pana Kościu-
szkę i pana Kołłątaja, bo wisieli rzę-
dem na tej samej ścianie w jadalni, z
wyjątkiem cesarza. Tego cesarza zna-
łem z portretu w szkole i wiedziałem,
że miał długie bokobrody, ale nigdy o
nim nie słyszałem, żeby razem z panem
Kościuszką miał pracować nad dźwi-
gnięciem Ojczyzny.

Prawdę powiedziawszy, często sły-
szałem, co mówił tatuś do pana Skrze-
szewskiego o Franciszku Józefie I., a
gdybym choć ćwiartkę tego powtórzył
w klasie, to dostałbym takie lanie, że

nie mógłbym usiąść przez miesiąc na
krześle.

Mówię więc niewinnie do Zuzi:

— Jak powiadasz, Zuzia? Cesarz bę-
dzie w kościele przy kosynierach? To
w takim razie nie pójdę nigdzie. I tyle.

— Cesarz? Czyś ty zbzikował — wo-
łała z przestraczeniem Zuzia. — Cesarz nie
przyjedzie do Nawojowej, żeby cię
ogłądać. Głuptasie, cesarz w Wiedniu.

— A to w takim razie idę jutro do
kościółki! Mów dalej, Zuziu.

— Na czym to skończyłam? Aha! Na
najjaśniejszym cesarzu. Z cesarzem to
mi się rzeczywiście poplątało, ale o pa-
nu Kościuszcze to wszystko prawda. No,
mynie skończone. Teraz wycieranie i
hajda do łóżka!

Tuż przed zaśnięciem przyszedł do
nas tatuś i powiedział, że jutro jest
wielkie święto i że bym mu wstydu nie
zrobił.

Powiedzieliśmy ojcu dobranoc i na-
suniliśmy koldry na oczy.

Obudzono nas o świcie. Zarówno oj-
ciec jak i matka oglądała mnie ze
wszystkich stron. Stałem na środku po-
koju nagusienki i trzęsłem się z prze-
jęcia i majowego chłodu porannego.
Weszła Zuzka uczesana na cesarzową,
w granatowej spódnicy i białej jak
śnieg bluzce z amerykańskiej piki, któ-
rą jej starsza siostra przysłała z Chi-
cago jeszcze w r. 1913, i którą pierwszy
raz ubrała do wyjścia. Zuzka pachniała
świeżą deszczówką, bo w nocy padał
deszcz, o czym nie wiedziałem i trochę
proszkiem naftalinowym. To z bluzki
pikowej. Popatrzyła na mnie fachowo,
zmrzyła niebieskie oczy i powiedziała:

— Niech włoży przynajmniej koszulę,
to już duży chłopak. Nie ma co patrzeć
na niego, wymyłam go jak pannę mło-
dą do ślubu, aż mu się brzuch świeci.

Matka powiada:

— Co też Zuzanna mówi. Jakiego
ślubu? Chcę zobaczyć czy nie ma tra-
wy w uszach i teru z dachu. Wczoraj
kryli spichlerz papą. Kto go tam wie,
czy nie laził po oterowanym dachu.

Zuzia zasłoniła mnie rękami, bo
wciąż stałem nagi, jak nowy słup w
polu i uratowała mnie od kłopotu. Rze-
czywiście po nowej papie chodziłem.
Dostałem białą koszulę z lśniącym koł-
nierzem, lniane długie spodnie tak na-
krochmalone, że trzeszczały za każdym
poruszeniem, jak chrust, gdy przez nie-
go przechodzą dziki. Potem wysokie,
czarne buty, niebieski kaftan z mosię-
żnymi guzikami i — o, Boże! — mama
przyniosła nowiutką, z prawdziwego
sukna, białego i miękkiego, krakowską
sukmanę z czerwonym, ślicznym koł-
nierzem, z czerwonymi wypustkami i
obszyciami. Leżała na mnie jak ulana.

Aha! Teraz wiem dlaczego krawiec
w zimie tak długo brał na mnie miarę.
I wiem dlaczego ojciec chrzestny brata

WYDAWNICTWA „ODNOWY“

Zbigniew Brzeziński JEDNOŚĆ CZY KONFLIKTY

Polskie wydanie głośnej książki amerykańskiej „Soviet Block — Unity and Conflict” omawiającej stosunki i rozwój państw bloku komunistycznego. Uznana przez rzeczoznawców zachodnich za najlepszą pracę w tej dziedzinie.

461 stron, sztywna oprawa
z wielobarwną obwolutą

CENA 63s. \$9.00.

Amintore Fanfani HISTORIA DOKTRYN EKONOMICZNYCH

Polskie wydanie znakomitej książki słynnego profesora i polityka włoskiego. Jedyna książka w tej dziedzinie w języku polskim.

348 stron, kolorowa obwoluta

CENA 63s. \$9.00.

Jerzy Braun TYSIĄCLECIE CHRZEŚCIJAŃSTWA W POLSCE

Tysiąc lat chrześcijaństwa w Polsce na kilkudziesięciu stronach. Niewielka książka stanowi chyba najlepszą z dotychczas opublikowanych syntez historycznych chrześcijaństwa w Polsce. Pióro znakomitego poety w rękach historyka i polityka kreśli szkic obejmujący dzieje od Mieszka I do czasów dzisiejszych.

63 strony, kolorowa okładka

Cena 7 sh. \$1.00.

Do nabycia we wszystkich
księgarniach oraz u wydawcy

ODNOWA LIMITED
27, Hamilton Road,
Bedford Park,
London, W. 4.

Janka, kapitan Boczar nie gniewał się na mnie za kłopot jaki mu sprawiłem, gdy przyjechał w wesołej kompanii do nas podczas krótkiego urlopu zeszedł jesieni z frontu. A on przysłał tego krawca, który był przystojnym feldfeblem. Bo w czasie wojny wszystko było wojskowe: lekarze, szoferzy, akuszerki i krawcy.

Boczar po rocznym niewidzeniu się z ojcem niespodzianie przyjechał samochodem z Nowego Sącza, a właściwie przyjechały dwa samochody pełne oficerów. U nas odbyło się wielkie przyjęcie. Był pułkownik Czech, dwu austriackich rotmistrzów ułanów, jakiś wysocki, niezwykle elegancki rotmistrz żandarmerii, zdaje się Chorwat i paru oficerów piechoty, oficer artylerii Polak i major niemiecki z dwoma starszymi oficerami Węgrami. Mówiono po niemiecku i po polsku. Tylko pułkownik Czech, rubaszny i bardzo sympatyczny, jak mnie raz na początku obiadu wziął na kolana, mówił do mnie cały czas po czesku. Zwracał się co chwilę do ojca i krzyczał

— On wszystko rozumie.

Nie wiele rozumiałem, ale polubiłem ogromnego Czecha. Jak już goście do dobrze wypili i zjedli i byli zajęci wyjątknie sobą, a ja i moje rodzeństwo dostaliśmy kolację, po kolacji ponieważ matka i Zuzka, jej ciotka Agata i dwie najsprawniejsze fornalki były zacierwienione od roboty, smażenia mięsa i podawania trunków, które oficerowie w dwu wielkich skrzyniach przywieźli samochodami, braci i siostrę matka odprowadziła do dzieciennego pokoju. Mnie jednak na prośbę pułkownika Czecha pozwolono zostać. Pułkownik o mnie wprawdzie zupełnie zapomniał w gwarze zabawy, ale ja mogłem teraz oglądać piękne szable, które oficerowie odpięli i z płaszczami zostawili w obszernej sieni pod ścianami.

Jakież to piękne były szable. Jakie piękne pochwy i pasy. A zwłaszcza podobna mi się prosta, ale piękna szabla ze złotą gardą, jak nową i złocistym temblakiem na cienkich rapciach. Zwłaszcza nie mogłem oderwać oczu od tego temblaka, który był taki złocisty, z twardym węzłem u góry i falistymi frędzlami opadającymi równo, jak złote włosy najstarszej córki hrabiego, który uratował ojca w czasie wojny od wielkiego nieszczęścia i zatrudnił go u siebie jako agronoma, sam za niego służąc w wojsku.

Wszyscy byli zajęci. Nikt nie zwracał uwagi na mnie. W sieni paliły się latarnie. Po cichu przyniosłem szablę do kuchni i zacząłem majstrować koło tego złocistego temblaka. Paznokciem zaczępiłem o frędzlę i niespodzianie wytoczyła się z niej złota długa nić. Zauważyłem, że nić była ze złocistego metalu.

Wziąłem się po tym niespodzianym odkryciu gorąco do pracy, aby z powrotem tę nić nawić na właściwe miejsce. Zamiast tego po kilku minutach połowa temblaka znikła, a do samej ziemi wisiały kędzierzawe nici i okrywały jakby zaimprovizowanym złotym płaszczykiem pół szabli. Nie było odwrotu. Rozebrałem wszystkie nici i dopiero wtedy się przestraszyłem. Weszła Zuzka, która właśnie niosła na wielkiej tacy gorące sznycle do pokoju, a ja schowałem szablę za siebie. Gdy zniknęła w jadalni skoczyłem z szablą do sieni i postawiłem ją w tym samym miejscu, skąd ją wziąłem, pod tym samym dobrze uszytym nowym płaszczem.

Znowu nikt na mnie nie zwracał uwagi. Usiadłem w kącie koło wielkiego pieca chlebowego. Zrobiło mi się zimno, potem gorąco. A potem widocznie usnąłem. Gdy się obudziłem, słyszałem zapuszczanie motorów samochodowych na podwórzu, łomot kroków, czyjs śmiech, bardzo głośną rozmowę. Ktoś mnie wołał.

Oficerowie już wychodzili, żegnali się z matką i ojcem. W sieni rozległ się ryk. Pułkownik Czech, który się właśnie żegnał z ojcem, stał w płaszczu zapiętym na wszystkie guziki, wyprostowany jak słonecznik przed burzą. Drgnął. Do kuchni wpadł ojciec chrzestny Janka, już w płaszczu, ale z pasem i szablą w rękach. Z szabli zwisały, jak złoty skalp indiański, rozmiarzone nici rozebranego przeze mnie na kawałki ślicznego kutasa.

Oczy mi wyszły na wierzch ze strachu i żalu. To była właśnie piękna szabla kapitana Boczara. Pułkownik, jak zobaczył Boczara z szablą koło której pętała się wiecha, długości pół metra zwisających nici na kształt cieniutkich rurek, roześmiał się tak szczerze i serdecznie, że za nim roześmiali się wszyscy oficerowie. Boczar opanował gniew i też zaczął się śmiać.

Przyznałem się do rozebrania kutasa, ale mi wszyscy przerwali, bo się spieszyli do Sącza, tylko pułkownik, gdy Boczar odcinał kuchennym nożem postrzępione nici, powiedział sentencjonalnie:

— W imieniu cesarza, panie kapitanie, nadaję panu za zasługi wojenne ten oto Order Złotego Runa.

Biedny temblak szabli oficerskiej Boczara rzeczywiście podobny był teraz do Złotego Runa.

Stojąc tak w tej sukmanie myślałem o nim i rozumiałem, dlaczego mi tę dziecienną psotę natychmiast wybaczył i przysłał potem przyrzeczonego krawca, zimą.

Stałem więc w sukmanie, oczom nie wierząc. Tatuś podszedł do szafy. Onie miałem z wrażenia. Wyjął nowiutką

krakuskę obszytą zamiast czarnym, białym barankiem. Włożyłem czerwoną czapkę na głowę i rzuciłem się na szyję tatusiowi i mamusi. Potem rzuciłem się na szyję Zuzi.

— Przestań wariować, chłopcze — broniła się Zuzka. — Ty nigdy nie wiesz, gdzie ja mam szyję. Sto razy ci mówiłam, że nie mam szyi w kaftaniku.

Biegałem jak oszalały po wszystkich pokojach. Gdy się uspokoiłem dano mi śniadanie. Piłem gorące mleko, jak stałem — ubrany. Za żadne skarby nie zdjąłbym czapki krakuski i sukmany.

W kościele stałem tuż przy kosynierach ze sztandarem.

Po nabożeństwie odbyło się zebranie na błoniach. Na trybunie stali nawojowscy gospodarze z tatusiem na czele, też w pięknej sukmanie. A ja wśród nich, zabawny maleńki kosynier. Pod trybuną kłębiło się mrowie ludzi: mężczyzn, kobiet, dzieci szkolnych. Zuzia stała wśród dziewcząt przebrana zupełnie, inna niż w domu. W pysznym gorsecie mieniącym się i skrzącym naszywany koralikami, strojna i błyszcząca od barwnych wstąg. Wyglądała jeszcze większa niż zwykle.

Niewiele pamiętam dzisiaj co mówiono. Pamiętam tylko, że wszyscy mieli białoczerwone wstążeczki i kokardki i znaczki Daru Szkolnego Macierzy Polskiej na 3-go Maja.

Pamiętam, jak ktoś powiedział na końcu obchodu:

— „Niech się święci Trzeci Maj! Niech żyje Polska!“ —

Może to nawet tatuś powiedział, bo przemawiał ostatni. W odpowiedzi zerwała się burza głosów:

— „Niech żyje Polska!“

Potem grała orkiestra. Ludzie długo jeszcze klaskali, wołali, krzyczeli. Święto 3-go Maja w roku 1916 w Nawojowej było doprawdy porywające. Kiedy ludzie się rozchodzili i gospodarze zeszli z trybuny, poszedłem za nimi. Wtedy skądś przypadła do mnie Zuzka. Cwyciła mnie obu rękami, podniosła do góry, zapomniawszy o gorsecie i zawołała:

— Nie zapomnisz? Nigdy? Przysięgnij, że nie zapomnisz!

Tyle lat upłynęło od tego czasu. Nie wiem, czy Zuzka jeszcze żyje. O ile się nie mylę, wyjechała po pierwszej wojnie światowej do Stanów Zjednoczonych. Ojciec umarł 33 lata temu, matka 6 lat temu.

Nawojowej nikt by dziś nie poznał. Wszystko się zmieniło. Ale dotrzymałem danego wtedy Zuzce Dudkównie. Zuzka na pewno nigdy się nie dowiedziała jak trzeba było za to w życiu płacić.

Kochana Zuzka o rękach szorstkich jak piasek.

Marian Czuchnowski

Z. L. ZALESKI

B.D.I.C

Wachmistrz Kaczmarek i jego towarzysze broni

Nie pamiętam dokładnie — po przeczytaniu książki Józefa Mackiewicza „Lewa Wolna“ — rangi tego dzielnego podoficera. Wspominam go z serdeczną życzliwością, gdyż jest on dla mnie jedyną — po stronie polskiej — postacią godną sympatii i przyjaźni czytelnika. Po stronie polskiej, powtarzam. Po stronie rosyjskiej — zarówno wśród wojującego bolszewizmu, jak po stronie walczącej do upadłego kontrrewolucji — jest takich postaci sympatycznych, czy po prostu „pozytywnych“ znacznie więcej.

Wymieńmy choćby owego towarzysza, który angażuje Wintowta pełen wiary w swoją godność i moralność nowej ideologii, czy generała kontrrewolucji Kutiepowa. Sympatycznie, choć szkicowo narysował autor profile Tuchaczewskiego czy Gaja, i szeregu rewolucyjnych sylwetek aktorów wielkiego dramatu dziejowego, stojących po stronie bolszewizmu: Łunaczarski, Marchlewski...

Ponad całą ciżbą ludzi rewolucji, którzy wyrastają jak szparagi ze straszliwej gleby żywiołowego okrucieństwa — tej „swirieposti“, o której mówił Żeromski — rośnie istotnie ku swojej wielkości postać Lenina. Nie będę się tu zastanawiał nad środkami artystycznymi, które stosuje autor, by tę wielkość wodza rewolucji w swej książce powieściowo urzeczywistnić. Na mój smak jest tu może za wiele „dokumentów“: mów, cytat, nagiej argumentacji polityczno-taktycznej. Ale tendencja — mimo woli, a może nawet wbrew woli autora — wciskająca się gwałtem w nurt opowieści — jest wyraźna zupełnie i uchwytna. Rzecz uderzająca — uderzająca zwłaszcza, gdy skierujemy spojrzenie na drugą stronę wielkiego dyptyku dziejowego, na stronę polską — poza tobą, dzielny wachmistrzu Kaczmarmku i może poza panią Stasią — jakież tu ludzkie pustkowienie!... Nie bez pewnej zawziętości literackiej — stosując znane chwytły z „Wojny i Pokoju“ Tolstoja — zanurza autor jedną po drugiej żywe indywidualności polskie w martwej topieli bezimienności: ludzie bez twarzy, ludzie bez moralnego kon'uru, ani w złym, ani w dobrym. Pławią się jak zmęczone konie w brudnej sadzawce mniejszych i większych wydarzeń. Zaś odzyskawszy nieco sił — brykają jak żrebaki, klnąc gęsto, po żołniersku... Tak trzepoce się na wieździe bojowych wydarzeń, szamoce się

twarda i górna nieraz żołnierska przygoda tłumem luzaków moralnych nie wiadomo w jaki sposób wciągniętych w prąd wielkich (jednak wielkich) wydarzeń. Gorzej jeszcze jest z czołowymi aktorami „wojennego dramatu“ polskiej strony. A już chyba najgorzej z Wodzem Naczelnym.

Pozornie wyjaśnia ten stosunek do Piłsudskiego i Lenina — okoliczność, że o ile Lenin mówi, i dużo mówi — Piłsudski milczy.

Tak — milczy. Ale działa. A te działania mają właśnie wielką wymowę i wielką wagę.

* * *

Wykazawszy jak „na dłoni“ ujemne skutki wyprawy kijowskiej, obliczwszy skrupulatnie straty polskie, długo i pracowicie każe autor czytelnikowi towarzyszyć kłeskowemu odwrotowi wojsk polskich, pod naciskiem zwycięskich sił Tuchaczewskiego i konnicy Gaja, z nad Berezyny aż pod Warszawę. Ta bolesna, smutna jak szaruga jesienna, zaropiała wstrętem i smotą opowieść wlecz się bez miłosierdzia, poprzetykana tu i ówdzie przelotnymi — jakże pełnymi uroku — spojrzeniami na „wieczną i obojętną“ krasę natury. Stanowią one — obok opisu kłeski wojsk polskich — najbardziej artystycznie udaną część książki. Ktoś znający z bliska opisywaną przez autora rzeczywistość, zwierzył mi się, że czytał te opisy „jednym tchem“... Czy nie dlatego, pomyślałem, żeby rychlej wybrnąć z tego zalewiska „okropieństw“ i zanurzyć się wreszcie na chwilę w ożywczej kąpeli walki zwycięskiej...

Ta chwila oczywiście przychodzi, bo przyjść musi. Ale tak właśnie, jak burza za górami, za lasami... Słyszemy, że gdzieś grzmi, powietrze staje się czyste — burza przechodzi bokiem... Nagromadzona w powietrzu elektryczność kłeski została rozładowana. Ale — jak to się stało? Kto tego dokonał?

I tu właśnie jesteśmy świadkami jakiegoś wykrzywienia opowieści, odebrania jej budowie zasadniczego, nieodzownego przesła.

Wygląda to tak, jakby autor zapragnawszy „uwolnić wodza polskiego od odpowiedzialności za zwycięstwo“, postanowił nie tylko wtrącić cały czyn bojowy polski w mgłę artystyczną przemilczenia — co jako artyście wolno mu było uczynić, ale podeprzeć jeszcze to — dziwne bądź co bądź — przemile-

nie swoistą, a osobliwą argumentacją strategiczną...

Nie posiadając kompetencji do dyskutowania na ten temat, stwierdzić jednak chyba mogę, że odbieranie wodzowi naczelnemu zasługi zwycięstwa dlatego, że zastosował w bitwie pod Warszawą jakiś „odwrócony“ manewr rosyjski — jest już manewrem nie odwróconym, ale manewrem literackim, wręcz poronionym. Historyk sztuki wojennej może się zastanawiać nad pokrewieństwem posunięć strategicznych Hannibala, Aleksandra Macedońskiego, Sobieskiego, Napoleona czy Moltkego, ale musi uznać fakt, że dla narodu ważniejszą od oryginalności pomysłu jest skuteczność całego czynu wojennego. Czytelnik powieści, idąc za autorem po obranej przez niego drodze, zmuszony jest wprost zadać sobie pytanie, dlaczego w utworze o takich ambicjach twórczych, o tak rozległej perspektywie historycznej, zabrakło właśnie rzeczy z polskiego punktu widzenia najbardziej istotnych: przedstawienia zwycięskiego przełomu dziejów 1919 i 1920 roku. Chodziłoby tu o ten pełen niewątpliwie ostrych dysonansów zespół wysiłków całego narodu, zharmonizowanych tak przedziwnie w symfonię epokowego zwycięstwa. W tej symfonii nie brakło rozdźwięków, ale przecież były akordy mądrości, waleczności, „pojedynkowego bohaterstwa“, że odwrócimy tu wyrażenie Skargi.

Takie pytanie musi powstać w umyśle czytelnika. Ze strony krytyka stawianie autorowi tego zarzutu, czy wy-suwanie takiego postulatu jest w zasadzie niesłuszne. Niech mi będzie wolno jednak sformułować zrodzoną z przeżycia czytelnika hipotezę.

Aby zrozumieć to przykładanie miary powieściowej tak nierównej i moralnie i historycznie do dwu skrzydeł polskorosyjskiego dyptyku tej wojny zakończonej pokojem w Rydze, skłonny jestem uciec się do hipotezy opartej na teorii psychoanalizy.

Zależność człowieka, jego sposobu odczuwania, działania, nawet myślenia, od „zbiorowości“ w której się rozwijał i w której przebywa, jest faktem znany powszechnie i wielokrotnie stwierdzonym. Dość wspomnieć tajemną teorię „środowiska“, wyrosłą z podłoża filozofii Herdera. Psychanalisci współcześni z Jungiem na czele ujmują to zjawisko zależności w malowniczy a dogodny dla praktycznego użytku sposób, stwierdzając, że każdy człowiek posiada obok swojego indywidualnego „ja“, drugie „ja“, czy „nad-ja“, będące wyrazem sił i dążeń zbiorowości, do której należy jednostka. W ten sposób ludzkie „ego“ działa, czuje, nawet myśli w zależności od tego suwerennego „ja“ zbiorowości, które panuje nad jednostką, okrąża ją niejako i w pewnych okolicznościach dyktuje mu niemal sposób, a przynajmniej „styl“ zachowania się. Ta gra „ego“ i „super-ego“ w całej swej dynamicznej złożoności otwiera równie głęboką jak rozległą perspektywę na świat zjawisk ludzkich indywidualnych i zbiorowych.

Nie będzie więc to zarzut — broń Boże! — lecz proste stwierdzenie, czy jeśli kto woli, hipoteza, że czytając powieść „Lewa Wolna“ jesteśmy mimowolnymi świadkami takiego rozszczepienia pomiędzy niewątpliwie polskim „ego“ autora, a jego „super-ego“ mimowolnie i mimowiednie rosyjskim.

Do odczuć intuicyjnych i argumentów rzeczowych, które nagromadziły się w moim umyśle przy czytaniu tej powieści (która jest opowieścią, niż powieścią) mógłbym dorzucić jeszcze — jedno pozornie drobne, ale w psychanalizy ujęciu znaczące stwierdzenie.

Autor cytuje w swej książce nie tylko obfite wyjątki z mów i deklaracji Lenina, ale również pisarzy, poetów zwłaszcza — rosyjskich. Raz zdaje się tylko — o ile pamiętam — wspomniał zupełnie mimochodem nazwisko Siemkiewicza. Aluzji natomiast, cytat, tekstów pisarzy i poetów pełno. Puszkini

(wiele razy), Lermontow, Turgeniew, a nawet z boku stojący Tiutczew!... W jednym miejscu przytacza autor wyznanie Mereżkowskiego. Przytacza, czy wypowiada jego myśl, wiernie i dokładnie. Mogę to stwierdzić, gdyż słyszałem już w Paryżu to samo patetyczne, naprawdę wzruszające wyznanie z ust szlachetnego autora „Zmierzchu Bogów“. Żył on istotnie głęboką urazę do uwielbianego w swoim czasie Marszałka Piłsudskiego, który sprzeniewierzył się w jego rozumieniu wielkiej, a podwójnej misji dziejowej: wyzwolenia Polski przy równoczesnym wyzwoleniu Rosji od okrutnego jarzma bolszewizmu, a w dalszej perspektywie pogodzenia we wzajemnej miłości obu narodów słowiańskich.

Marszałek Piłsudski nie spełnił istotnie tego zadania. Ale czy mógł je spełnić?

* * *

Obok tego rozszczepienia wewnętrznego należałoby przy czytaniu i ocenie powieści „Lewa Wolna“ — przypomnieć o innych czynnikach moralno-historycznych, które mogły zaważyć na strukturze i klimacie moralnym powieści.

Mam tu na myśli przede wszystkim dwa czynniki psychiczne: jeden indywidualny, drugi sięgający w głąb psychicze zbiorowości.

O pierwszym pisałem swego czasu w „Tekach Historycznych“ traktując naturalnie rzecz całą nie pod kątem polemicznym, lecz po prostu jako zjawisko które warto ze spłotu innych wyodrębnić i spojrzeć mu prosto w oczy. Chodzi tu o tak zwany w słowniku psychanalizy kompleks winy, słusznie czy (bardzo często) niesłusznie odczuwanej, a która domaga się kompensaty, czy psychicznego zadośćuczynienia czy wyrównania. Jednym z gatunków takiej słusznie czy niesłusznie odczuwanej winy jest bolesne odczucie nieobecności (świadomie wywołanej lub przypadkowej) w jakimś wielkim wydarzeniu. Ten brak uczestnictwa, ta nieobecność domaga się natrętnie jakiegoś wyrównania, kompensaty moralnej. Zastanawiając się nad tym zagadnieniem na łamach „Tek“, miałem wówczas na myśli tak wybitnego pisarza jak Gombrowicz.

Nie znając zupełnie perypetii życiowych autora „Lewej Wolnej“, mogę jedynie pozwolić sobie na dyskretnie wsunięcie do niniejszych rozważań hipotezy o nieświadomie odczuwanym przez niego żalu z powodu nieobecności w jakimś doniosłym dlań wydarzeniu zbiorowym. Może to dotyczyć również dobrze pierwszej jak drugiej wojny światowej, lub wreszcie bohaterskiego dramatu Ruchu Oporu: znany dobrze psychanalizykom przerzut motywu czyli

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

tz. transfer.*) Dorzucam jednym tchem, że ten kompleks winy wyrosły z odczuwanej jako wina „nieobecności“ — ucieleśnić się w twórcy tej miary co Słowacki. „Grób Agamemnona“, ten potężny krzyk oburzenia i wspaniałej inwektywy jest tego kompleksu winy-nieobecności świadectwem niepospolitym. Wielki poeta dał upust swojemu — nie wyrażonemu wprost — zagniewaniu na siebie, chłosiszcząc ręką genialnego siepacza tę Polskę, która skrzywdziła go, nie pozwalając mu zginąć na Termopilach. Aby dobitniej odczuć i zrozumieć to klasyczne odwrócenie motywów uczuciowych, należy przypomnieć, że Słowacki sam się z tej winy wyspowiadał. Już w „Grobie Agamemnona“ przed poetyckim finałem wstawia te słowa „bom smutny i sam pełen winy“, zaś w wierszu do Matki Makryny Mieczysławskiej stwierdza jeszcze dobitniej:

...ona: „Jak godność?“
 Zarumieniłem się cały i rzekłem:
 „Godności nie mam — przed męką uciekłem...“

To zjawisko nieobecności, ale już przymusowej nieobecności i jej skutków psychicznych odnaleźć można również w stosunku następujących pokoleń. Jeśli zwłaszcza jakieś pokolenie pewnej zbiorowości dziedziczy w spadku duchowemu pamięć o wyjątkowym napięciu sił duchowych poprzedników, zwraca ono zazwyczaj ostrze uwagi i krytyki na ułomność czy zbędnosć lub szkodliwość nadmiernego wysiłku ojców, jego jałowość, czy bezcelowość, czy wreszcie szkodliwość poniesionych ofiar. Tę postawę krytyczną czy hyperkrytyczną zwiększa jeszcze ogólne zmęczenie „czynem ponad siły“, „szaleństwem bohaterstwa“ etc. Fala odpływu zatapia równie dobrze jak fala przyływu, zaś amplituda odchyleni zależy od miary sił i skali wydarzeń. Dość przypomnieć reakcję moralną pozytywizmu po wysiłku bohaterskim powstania 1863. Podobne zjawisko można stwierdzić we Francji po okresie Wielkiej Rewolucji i wojen napoleońskich. Mimowiednym

*) Artykuł niniejszy pisany był mniej więcej rok temu, zaraz po przeczytaniu „Lewej Wolnej“. Pisany był w myśl zasad tzw. „critique immédiate“, to jest zrodzonej z bezpośredniego i wyłącznego „spotkania“ czytelnika z tekstem utworu. Z artykułu „Droga Pani...“ (Wiadomości No 1092) dowiaduję się, iż autor „Lewej Wolnej“ uczestniczył jako ochotnik w wojnie o niepodległość, uwięzionej zwycięstwami roku 1920. Ten szlachetny, rycerski poryw młodości nie może wpłynąć jednak na zmianę mojej psychanalizycznej hipotezy „nieobecności“, ograniczając jedynie zasięg jej możliwych zastosowań.

zabarwieniem uczuciowym „Lewej Wolnej“ może być właśnie zmęczenie wysiłkiem zbiorowym i wolą bohaterstwa.

W świetle tych rozważań jest łatwiej zrozumieć świadomą lub nieświadomą dążność do obniżenia wartości wysiłku czynu zbiorowego pokolenia schodzącego z widowni życia. Sam żal z powodu nieobecności w jakimś wysoko wartościowym sprzęgu wydarzeń wywołać może niechęć, a nawet odrazę do tych wydarzeń i zarazem potrzebę wewnętrzną ich dewaluacji. Stąd ta mimowolna zapewne, ale mocna i głęboka niechęć do tzw. bohaterszczyzny, co pochwalił zresztą wyraźnie na łamach „Wiadomości“ któryś z czytelników tej powieści.

Tu nasuwa się uwaga, że takie całkowite „wyżyłowanie“ dramatu dziejowego z bohaterstwa nie odpowiada prawdzie ani historycznej, ani estetycznej, ani po prostu ludzkiej. Jak każda wojna kontrapunktycznie przeplatana klęską i triumfem, posiadała i ta właśnie, chociaż zwycięska, różne oblicza moralne: brzydotę i piękno, obrzydliwość i wielkość, tchórzostwo i bohaterstwo. Zagłuszenie całkowite motywów bohaterstwa, które istniało — wiemy to doskonale — a nawet szeroko rozpięta skrzydła, obniża wartość dynamiczną symfonii dziejowej, a moim zdaniem uboży także, i to wydatnie, wartość estetyczną samej powieści.

Poza uwagami krytycznymi natury estetycznej, które dotyczą wartości artystycznej utworu, obniżenia tej wartości przez brak równowagi, światła i cieni obrazu wydarzeń — godzi się może dotknąć również strony moralnej zagadnienia. Zacierając, tuszując, wszelką „bohaterszczyznę“ na korzyść „nikczemności“, choćby w staropolskim znaczeniu tego słowa, brzydoty, płaskości i zrozumiałej codzienności małych wydarzeń, — nie tylko zniekształcamy prawdę, ale krzywdzimy zbiorowość czytelników. Uciekając od szablonowej, krzykliwej chwalby, od papierowych zachwyty, czytelnik ma jednak prawo domagać się — moralnie przynajmniej — nie tylko tej prawdy, która obniża, ale także tej prawdy, która podnosi, rzeźwi i wzmacnia dynamikę życia.

Niechże mi zacny wachmistrz Kaczmarek wybaczy łaskawie zawziętość i rozpierzchnienie niniejszych rozważań; wynikły te wady z rozumienia „służby literackiej“ w ten sam sposób, jak on rozumiał zapewne swoją „służbę żołnierską“.

Z. L. Zaleski

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
 JEST REGULARNIE OPŁACANA
 PRENUMERATA

WYDAWNICTWA „ODNOWY“

Karol Popiel NA MOGIŁACH PRZYJACIOŁ

Zbiór wspomnień o zmarłych — przyjaciółach autora — działaczach i sympatykach Stronnictwa Pracy, oraz ostra i bezkompromisowa rozprawa z przyjętymi mitemi towarzyszącymi konspiracji i kulisom powstania warszawskiego. Bogato udokumentowana opisami faktów i wydarzeń.

189 stron, kolorowa okładka
 CENA 18s. \$3.00.

Robert Houben UWAGI O POLITYCE

Do doskonała praca naukowca i polityka belgijskiego, w której autor przejrzyście analizuje stosunki i rolę czynników politycznych w społeczeństwie demokratycznym.

128 stron, kolorowa okładka
 CENA 15s. \$2.50.

Jerzy Braun MOJA MATKA (FRAGMENTY POEMATU)

Nowy tom pięknych wierszy znanego poety. Poruszając się z wielką swobodą wśród różnorodnej tematyki, autor olśniewa głębią natchnienia, szczerością wyrazu i niezwykłą prostotą tworzywa literackiego.

96 stron, kolorowa obwoluta
 CENA 18s. \$3.00.

Joseph Pieper O SPRAWIEDLIWOŚCI

Książka znakomitego filozofa chrześcijańskiego, poruszająca zagadnienia ludzkiego współżycia. Powinna trafić do rąk każdego, kto szuka odpowiedzi na pytanie jaki powinien być stosunek człowieka do otoczenia i na jakich zasadach powinny opierać się stosunki międzyludzkie.

104 strony, kolorowa okładka
 CENA 10/6 \$1.75.

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

ODNOWA LIMITED
 27, Hamilton Road,
 Bedford Park,
 London, W. 4.

STANY ZJEDNOCZONE

WIOSENNA podróż wiceprezydenta H. Humphreya do siedmiu stolic zach.-europejskich ożywiła całe zagadnienie stosunku Stanów Zjednoczonych do Europy, ale prez. Johnson uznał za potrzebne podkreślić z tej okazji azjatycką alternatywę polityki amerykańskiej. Witając, aż nad miarę osiągniętych wyników, uroczyste wiceprez. Humphreya powracającego z naszego kontynentu, LBJ nazwał wprawdzie Amerykę córką Europy, lecz dodał zaraz znamienne słowa, że „ani świat dwu Ameryk, ani Europa nie mogą zrealizować swych marzeń, póki stary świat Azji nie stanie się pełnowartościowym partnerem w pochodzie ludzkości naprzód“.

Prez. Johnson potwierdził zresztą, jak dotąd, „azjatyckość“ swojej polityki, raczej niż „europejskość“ nie tylko słowami. Choć czwarty rok sprawuje rządy w Białym Domu, do Europy się jeszcze nie wybrał i główną uwagę swoją skupił na sprawach czysto amerykańskich oraz Pacyfiku czyli azjatyckich. Inaczej niż poprzednicy i zwłaszcza J.F. Kennedy, Lyndon B. Johnson nieskłonny do opuszczania terytorium Stanów Zjednoczonych, wyjeżdżał kilka razy do republik amerykańskich, a poza rejon „dwu Ameryk“ wybrał się tylko dwa razy i jedynie ku Azji. Ubiegłej jesieni, przed wyborami kongresowymi wyjechał na wyspy i kontynenty oblane wodami oceanu Spokojnego oraz do kilku kontynentalnych stolic zaprzyjaźnionych państw azjatyckich, a drugi raz odbył dalszą podróż w końcu marca na wyspę Guam, tuż przed wyjazdem swego wiceprezydenta do Europy. Bezpośrednio po jego powrocie wyleciał znów do Urugwaju, do Punta del Este na spotkanie z 19 prezydentami republik Ameryki Łacińskiej.

Za zmniejszonym zainteresowaniem sprawami europejskimi ze strony gospodarza Białego Domu idzie też obojętność na nie i nawet zasadniczy krytycyzm partyjnych, kongresowych polityków amerykańskich, korespondentów i prasy. „Podczas gdy plutony przywódców Stanów Zjednoczonych mkną z matematyczną regularnością przez Pacyfik — pisze tygodnik „Time“ z 7 kwietnia 1967 — sprzymierzeńcy europejscy Ameryki patrzą na to z rosnącą troską. Europa, tradycyjnie pierwszorzędne ognisko amerykańskich stosunków zagranicznych, wydaje się obecnie wielu jej przywódcom zepchniętą przez Waszyngton do roli pasierba“.

PODRÓŻ WICEPREZYDENTA HUMPHREY'A LISTA WZAJEMNYCH PRETENSJI

Podróż wiceprez. Humphreya miała na celu naprawę wytworzonej atmo-

sfer, pogorszonej między Europą a Stanami Zjednoczonymi i równocześnie wybadanie, jak informowali niektórzy korespondenci, czy projektowana dawniej podróż samego prezydenta Johnsona na wiosnę 1967 do Europy była by na czasie. Aby osiągnąć poprawę atmosfery, przedstawiciel Białego Domu miał wyjaśnić motywy polityki amerykańskiej, jako rzekomo nie pozostającej w sprzeczności z interesami naszego kontynentu i nawzajem przedłożyć rządowi zach.-europejskim pretensje, jakie Waszyngton ma do nich.

Lista wzajemnych pretensji albo co najmniej podejrzeń jest dość długa, ale sprowadza się ze strony Europy do jednej sprawy choć o dwu obliczach. Jej rządy zachodnie dopatrują się w polityce amerykańskiej ostatnich lat lekceważenia europejskich interesów przy równoczesnym wyciąganiu nad ich głowami ręki do Moskwy. Zaplątawszy się, zdaniem wypowiedzianym głośno przez de Gaulle'a, niepotrzebnie w wojnę wietnamską, Stany Zjednoczone dążą przede wszystkim do pozbawienia komunistów Pn. Wietnamu pomocy sowieckiej i cel ten mają nadzieję uzyskać przez porozumienie z Rosją, przez rozmaite układy i ustępstwa, robione bez oglądania się na europejskiego „pasierba“ i jego kosztem.

Główny publicysta „New York Times“ C.L. Sulzberger w korespondencji z Brukseli konkluduje 17 kwietnia br. swoje informacje następującym alarmistycznym wnioskiem: „Spędzając sen z oczu marą Europejczyków jest wizja porozumienia Moskwa-Waszyngton ponad głową Org. Traktatu Pn. Atlantyckiego (NATO). Nagle zachodni przywódcy przerazili się, co może nastąpić, jeżeli pozwoli się na taki dalszy bieg wypadków. Spaak bije na alarm: „W 1947 Churchill — przypomina on — powiedział „Europo obudź się!“ W 1967 trzeba zawołać: „Europa zabezpieczaj się“.

Wzajemne pretensje amerykańskie do państw zachodnio europejskich były przez wiceprez. Humphreya także, wyraźnie czy między wierszami, w publicznych oświadczeniach i poufnych rozmowach, z których mogły przeniknąć tylko niedyskrecje, wyrażone. Humphrey robił kilkakrotnie gorzkie aluzje do dawniejszych zasług amerykańskich wobec Europy sprzed 50 laty i wojny światowej nr. 1 a dalej świadczeń powojennych, wyrażonych w planie Marshalla, za co wszystko Stany Zjednoczone nie doznają obecnie wdzię-

czności. Aktualne i konkretniejsze kwestie, to w zakresie gospodarczym pretensje o przyczynianie się w wyższym stopniu do kosztów okupacyjnych i w ogóle NATO, o większą ustepliwość w rokowaniach o tzw. „Kennedy round“ czyli amerykański projekt światowego układu o obniżeniu ceł, wreszcie — głównie do Francji — o powiększanie kłopotów dolarowych Waszyngtonu.

Polityczna pretensja kulminuje ze strony amerykańskiej w żalu, że zach. europejskie państwa łącznie nawet z W. Brytanią nie chcą współdziałać ze Stanami Zjednoczonymi w wojnie wietnamskiej. Przywódcy amerykańscy zdają się nie rozumieć, że walka z komunizmem w obronie połowy Wietnamu, tym bardziej gdy się równocześnie paktuje z Sowietami nad głowami narodów europejskich, nie może — zwłaszcza w tejże Europie — wzbudzić ducha krucjaty przeciw komunizmowi i skłonić do współdziałania w tej wietnamskiej wojnie jako naprawę lokalnej, czy do entuzjazmu oraz ofiar na jej rzecz. Trudno się też dziwić, że wyjaśnienia wiceprez. Humphreya nie przyniosły wielkich rezultatów, a niezwykła pompa, z jaką prez. Johnson witał go po powrocie miała raczej na celu zrekomensować mu przykrości w Europie doznane i przesłonić brak powodzenia jego misji.

Jeszcze mniej zrozumienia dla wietnamskiej „krucjaty“ od zach. Europy musimy mieć my, przedstawiciele narodów europejskich, przez Sowiety ujarzmionych, skoro Waszyngton równocześnie z tymiż Sowietami paktuje. I dlatego, kiedy czytaliśmy słowa prez. Johnsona, skierowane przy powitaniu wiceprez. Humphreya na trawniku Białego Domu o tym, że „wolność jak i pokój są niepodzielne“ nie mogło nam to trafić do przekonania. Jak może chodzić o naszą, polską i wschodnio-europejską wolność w walce, toczoną na ziemi wietnamskiej, gdy Stany Zjednoczone nie tylko od dawna koegzystują pokojowo z Sowietami, ale ponadto dążą równocześnie obecnie do zacieśnienia z nimi stosunków?!

POWAŻNY GŁOS AMERYKAŃSKI

Sprawa rozbieżności między Stanami Zjednoczonymi a rządami zach. europejskimi stała się też przedmiotem rozważań poważnej publicystyki amerykańskiej. Kwartalnik „Foreign Affairs“ najważniejsze chyba czasopismo tego zakresu zamieściło w kwietniowym wy-

WOBEC EUROPY I AZJI

daniu obszerny artykuł pt. Europa przeciw „odprężeniu“ — rozumie się z Sowietami. Autor, Marshall D. Shulman wymienia kilka ważnych faktów, będących wyrazem tego odprężenia między Waszyngtonem a Moskwą, wzbudzających niepokój w stolicach zachodniej, wolnej lecz zagrożonej Europy. Píše więc o zawarciu ostatnio konsularnej umowy amerykańsko-sowieckiej, o wspólnym wyrzeczeniu się akcji wojskowych w rejonach kosmicznych, o projektach układu przeciw rozprzerstrenianiu się broni nuklearnych, a mającemu ustalić ich monopol w rękach Rosji Sowieckiej i Stanów Zjednoczonych, wreszcie o propozycjach „moratorium“ czyli uzgodnionego zawieszenia produkcji nadmiernie kosztownych pocisków przeciw pociskom transkontynentalnym (anti-ballistic missiles). Ostatnie te propozycje zawiózł na Kreml, ponownie mianowany do Moskwy, w styczniu 1967, ambasador Llewelyn Thompson, znany ze swych dobrych stosunków z sowieckimi przywódcami. Były one zawarte w osobistym liście prez. Johnsona do premiera Kosygina, którego tekst zresztą nie został opublikowany, czyli był aktem oficjalnie potępianej dyplomacji tajnej.

Artykuł Shulmana przytacza dalej argumenty amerykańskich zwolenników tego „odprężenia“ z Sowietami, którym niepokoi się — także jego zdaniem — Europa. Zwolennicy ci twierdzą, że stopień zagrożenia wojkowego ze strony Rosji na obszarze Europy się zmniejszył; że blok sowiecki — głównie w związku z konfliktem Moskwa-Pekin — uległ fragmentaryzacji i rozluźnieniu, co pozwala rzucać mosty przez żelazną kurtynę; że wewnątrz Sowietów postępuje demokracja i w rezultacie tego wszystkiego polityka containment'u ekspansji sowieckiej przestała być potrzebna. W miejsce dawnego zagrożenia komunistycznego, Zachód ma dziś rzekomo do czynienia już tylko z niebezpieczeństwem chińskim, które łączy — jakoby — Moskwę z Waszyngtonem.

Autor sam nie podpisuje się pod tymi argumentami, nawet rejestruje obawę, że złudzenia odnośnie do możliwości zbliżenia z Sowietami zniszczą natomiast podstawy Przymierza Atlantycznego; żelazna kurtyna nie przestała też — według jego rozumowania — dzielić kontynentu europejskiego w sprawach istotnych, Shulman przypomina wreszcie, że Moskwa z reguły wyzyskiwała „odprężenie“ z Zachodem na

swoją korzyść i powracała następnie do naprężania tychże stosunków. Jego zdaniem, pewne możliwości istnieją tylko w zakresie zmniejszenia niebezpieczeństwa wybuchu wojny nuklearnej. Zagrożenie polityczne zachodniej Europy natomiast, według streszczonego artykułu „Foreign Affairs“ w dalszym ciągu trwa i trzeba by kilku, conajmniej dwu dekad, aby narody całego kontynentu naszego uwolnione zostały od wszelkiej hegemonii, rozumieć należy, zarówno amerykańskiej, jak sowieckiej.

NIESPODZIEWANY UKŁAD MOSKWY Z PEKINEM STUDZI PROSOWIECKIE ZAPALY

Ostatnio doszło jednak do czegoś, co znowu podważa główną podstawę amerykańskiej nadziei na dogadanie się z Sowietami i pozostaje w sprzeczności z gorliwie propagowanymi tezami zachodniej sowieto — oraz sino-logii. Pomimo gwałtownych i jawnych klótni, które rozwinęły się w ostatnich miesiącach między Moskwą a Pekinem na tle „rewolucji kulturalnej“ Mao-Tsetunga i wbrew po raz setny chyba powtórzonym zapewnieniom prasy zachodniej, że do ostatecznego zerwania między Sowietami a Chińską Republiką Ludową dojdzie, sama prasa amerykańska doniosła o zawarciu układu między obu tymi głównymi komunistycznymi reżymami.

Jaki to układ? Nie byle jaki, bo dotyczący transportów sowieckiej pomocy wojskowej poprzez terytorium ChRL do pñ. Wietnamu. Z transportami tymi miała Rosja w ostatnich miesiącach wspomnianych zamieszek w Chinach duże kłopoty i właśnie na ich zupełne ustanie, umacniany w tych nadziejach przez swoich „niezawodnych“ sowieto i sino-logów, Waszyngton poważnie liczył; na nich też opierały się przypuszczenia, że odciecie dostaw z Rosji zmusi Hanoi do zawarcia pokoju.

Te dostawy bowiem jedynie umożliwiały komunistom wietnamskim wojnę z siłami zbrojnymi, zwłaszcza z lotnictwem, Stanów Zjednoczonych. Tylko od Rosji mają oni mianowicie przeciwlotnicze pociski SAH-2, Migi 21, ciężarówki, produkty naftowe i wreszcie cały system radarowy, pozwalający wspomnianych wyżej środków obrony przeciwlotniczej skutecznie używać.

Prasa amerykańska przywiązuje dużą wagę do układu sowiecko-pekińskiego, który — według jej informacji — został zawarty w marcu br., a był poprzedzony ostrzeżeniem skierowanym przez Moskwę do Waszyngtonu w odpowiedzi na amerykańskie inicjatywy pojednawcze. Ostrzeżenie to, jak doniósł „New York Times“, było tej treści, że Sowiety chętnie by widziały zakończenie wojny wietnamskiej środkami dyplomatycznymi. Jeśli jednak Stany Zjednoczone będą prowadziły dalej swoje bombardowania Rosją będzie w miarę tego zaopatrywała coraz obficiej armię rządu w Hanoi. „Jeśli Stany Zjednoczone będą posyłały więcej samolotów, my będziemy posyłać więcej pocisków przeciwlotniczych, raket, Migów. Niechaj nie będzie, co do tego, żadnych wątpliwości“ kończyło się tak, jakoby dosłownie, ostrzeżenie Białego Domu ze stron Kremla.

Na skutek znanych, gwałtownych kontrowersji moskiewsko-pekińskich, Waszyngton nie wziął sowieckiej pogroźki serio i tym większe jest obecnie rozczarowanie w kołach rządzących Stanów Zjednoczonych, Białym Domu i Pentagonie. „New York Times“ (nr. 39, 895) w artykule drugiego obok Salzburgera czołowego swego publicysty, Harrisona E. Salisbury'ego wyraża nawet zrozumiałą obawę, że układ o transportach do Hanoi może być pierwszym krokiem do odtworzenia wspólnego frontu komunistycznego przeciw Stanom Zjednoczonym, przynajmniej na terenie pñ. wschodniej Azji.

Możliwości takiej nigdy nie wykluczano na łamach „Orla Białego“, zdając sobie sprawę, że wytyczne Lenina o drodze do komunizacji świata, prowadzącej z Moskwy przez Pekin i Kalkutę, nie będą nigdy przez partie Rosji ani Chin zapomniane.

Zdzisław Stahl

W OBRONIE PRAWDY HISTORYCZNEJ

GŁOSY I OPINIE O KSIĄŻCE „LEWA WOLNA“

Już jest w sprzedaży, wydany staraniem Federacji Światowej S.P.K., zbiór interesujących referatów i wypowiedzi, które padły w dyskusji w Biurze Studiów S.P.K. nad książką J. Mackiewicza „Lewa wolna“.

Do nabycia:

KSIEGARNIA S. P. K.

20, QUEEN'S GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich.

Cena: 7/6 — przesyłka 6d; \$1.10; F.5.00.

IN TENEBRIS CLARIUS

Wystarczy nieco cierpliwego uporu, odrobina szczęścia i drobne wyrzeczenie finansowe, by zdobyć drachmę attycką z przełomu V i IV wieku. Ostrość przedstawionych na niej rzeczy i istot zdumiewa: nawet wielokrotnie powiększone na fotografii nie tracą wyrazistości kształtu i klarowności piękna. Jakby antyczny rzeźbiarz-mincerz posuwał precyzyjność do obłądnej doskonałości, jakby — ostrzeżony przez bogów znających przyszłość — działał na zapas, przewidując późnego wielbiciela wyposażonego w zestawy szkieł powiększających.

Za każdą chwilę uwagi poświęconą temu drobiazgowi obserwator wynagrodzony będzie sownicą radością, wzruszeniem. We wklesłości nieregularnego krążka srebra, jak w otworze dziupli, panoszy się wielkooki ptak. Tułów zwrócony jest na wprost. Karykaturalne małością skrzydełka, jak rozwiane poły fraka, nogi rozstawione rezolutnie, nie po ptasiemu, cała postawa, wszystko upodabnia go do człowieka.

Mitologia, która znajduje odpowiedzi na wszelkie pytania byle dać jej dosyć czasu do namysłu i tu wyjaśnia zagadkę: Gdy Hades uprowadził Persefonę do podziemi, Demeter wymogła na Zeusie przyrzeczenie, że odzyska dla niej córkę, pod warunkiem jednak, iż ta nie tknie w królestwie mroków żadnego pokarmu. Otóż Ascalafus, syn nimfy Orphne, podpatrzył nieszczęsną, gdy zjadała kilka ziaren granatu i zdradził ją. Ta za karę zamieniła go w sowę.

Tłó na okół ptaka wypełniają gałązki oliwne. Liście zwisają smutnie: właśnie wygasła wojna peloponeska przepięczętowana klęską Aten. Ale przecież żyją jeszcze i działają: Arystofanes, Sokrates, Platon... Twarz mądrej bogini, patronki miasta, widniejąca na odwrocie drachmy rozjaśnia zagadkowy uśmiech. Tylko bogowie mogą sobie pozwolić na to, by się uśmiechać — wiedząc.

Karykaturalność w kształcie ptaka jest niezamierzona. W jego wzroku nie ma ani śladu wesołości: tylko wiedza, roztropność, duma. Te zalety, a przynajmniej dwie pierwsze, odezwały się echem w wierszyku, który był — anonimowo — opublikowany w „Punchu“, w 1875 roku, i uzyskał coś w rodzaju sławy. Popularność jego trwa:

Here was an old owl liv'd in an oak
The more he heard, the less he spoke;
The less he spoke, the more he heard
O, if men were all like that wise bird!

Ktoś przetłumaczył to, skuszony chyba zabawną dydaktyką:

Stara sowa żyła wśród dębu gałęzi.
Im słuchała więcej, tem milczała

częściej.
Im częściej milczała, tym więcej słyszała.
O, czemu jej przykład na ludzi nie działa!

Ale nie dajmy się kusić uśmiechowi. Pomińmy łatwą zgrabność wiktoriańskiego morału. Bo oto, gdy przejrzyć zasób przedstawień sowy w sztuce, to do cech wymienionych dorzucić przyjdzie jeszcze jedną, niewesołą, a z poprzednich organicznie wynikającą: samotność.

W obrazie Dosso Dossiego przedstawiającym Circe i jej niecne sprawy, całą przestrzeń wokół pięknej jędry wypełniają jej niedoszli kochankowie pozamieniani w potulne zwierzęta. Z dała i z wysoka przygląda się wszystkiemu sowa. Obraz tak jest skomponowany, że to ją właśnie, choć małą i odległą, widać przede wszystkim. Od tłumu durni oddzielona jest podwójnym murem: ciemną masą gałęzi i jasnym przestworzem. A także własną mądrością. Nie pociąga jej nagie piękno ciała czarownicy, ani wiatr fałszywego wzruszenia, uroku. Wiatr błakający się u warg rozchylnych, u tak płowych włosów.

Sowa nie potępia i nie współczuje. Jest świadkiem. Bywa nim często, jakby predestynowana do tej roli swą roztropnością: Na mizerykordii w Malvern obserwuje przewrotną egzekucję: myszy wieszają kota. Nie interweniuje na rzecz sojusznika. Byłoby to sprzeczne z zasadami mądrości, która radzi, by pozwałać wypadkom toczyć się swoim torem, dopóki nie zagrażają bezpośrednio obserwatorowi. Nie jest to egoizm: raczej świadomość bezsilności wiedzy, wizjonerstwo, wobec wyroku Losu.

Przecież ci, którym przysługuje dar widzenia przyszłości — wróżbici, czarodzieje, — nie umieją najczęściej pomóc sami sobie: Merlin, znając z góry przebieg swej zagłady, wydał jednak ukochanej, przewrotnej Nyneve fatalne zaklęcia i — ulegając jej namowom — sam wszedł do tchnącej śmiercią groty. I pomyśleć, że uczuciem, które powodowało dziewczyną był strach. Strach przed mądrością — przerastającą jej pojęcie — więc groźną i wrogą.

Symbolem bezużytecznej wiedzy przyszłości bardziej od Merlina tragicznym była Kasandra świadomie wstępująca

na schody pałacu w Mykenach, pod topór Klytajmnestry.

Trzeba o tym wszystkim pamiętać, gdyż oskarżenie sowy o egoizm musiało być powszechne. Obiło się nawet niedokładnym echem także o uszy biednej, oszalałej Ofeli: „Mówią, że to sowa była córką piekarza...“ powiada, mając na myśli dziewczynę z popularnej opowieści, która odmówiła Chrystusowi — utajonemu pod postacią wędrowca — jadła oraz napoju i za karę zamieniona została w ptaka prześladowanego samotnością lub niechęcią.

Bo jeśli sowa przypadkiem nie jest sama, to otacza ją wrogość: Inne ptaki — wścibskie sroki, wesołe dudki, hałaśliwe sójki, nie mogą jej darować, że sfrunęła wprost z Drzewa Wiadomości. Dziobią ją i szczypią. Woli więc ciszę samotności i smutek mądrości, z której nie łatwo jest korzystać.

Taką właśnie sowę otoczoną przez skrzydlaty motłoch najczęściej znaleźć można na mizerykordiach kanonicznych w chórach kolegiat czy katedr, choćby w Norwich, taką przedstawia także krakowski drzeworyt renesansowy ilustrujący „Myślistwo Ptasze“ Mateusza Cygańskiego. Taka występuje na sygnecie drukarskim francuskiego wydawcy z pierwszej połowy wieku XVI, Ponceta le Preux. Sowa i atakująca ją ptasia gawiedz widnieją tam na szczycie drzewa, pod którym skradają się smoki i wilk. Ilustrację uzupełnia motto: Quid quid agas, sapienter agas, et respice finem.

Podziwiany i nie lubiany ptak często symbolizował w średniowiecznej sztuce i literaturze Synagogę: połączenie pychy i mądrości. Utożsamiano go z Żydami i czyniono bezpośrednio odpowiedzialnym za śmierć Zbawiciela: „Christus a noctuis datur suplicio“ stwierdza wczesno-średniowieczny poemat. Istotnie jest w rysach sowy coś semickiego. Szczególnie tam, gdzie artysta roztropnie oczyścił jej wizerunek z przypadkowości naturalizmu. Wiadomo przecież, że nic nie kłamie tak skutecznie jak naturalizm: sztuka, sztuczka raczej, imitująca — z zapamiętałością godną lepszej sprawy — prawdę powierzchni.

Sowa w tym ma być podobna do Żydów, że świadomie żyje w mroku — jak oni, którym objawione było światło prawdy, ale w pysze odrzucili je, przekładając nad nie noc błędu. Z tego samego powodu sowa służy za emblemat herezji. Filippo Picinelli w „Mundo Simbolico“, podstawowym dziele emblematycznym baroku, powiada, że „...Sowa zaopatrzona w motto: „Lucem refugit“ według św. Ambrożego (w „Kazaniu przeciw Malachiaszowi“) oznacza herezję, który kochając ciemności swych

(dokończenie na stronie 29)

POSEPNY HUMORYSTA

(dokończenie z numeru 33)

Rysując tło, czyżbyśmy zapomnieli o jego protagoniście? Na pozór tak, w rzeczywistości jednak nie, gdyż tło i portagonista żyją jedno z drugiego. Nie tylko ówczesna scena życia amerykańskiego żyje w Twainie, ale i on żyje w niej do tego stopnia, że bez swego tła nie byłby w pełni zrozumiały.

Jednak nakreślenie choć kilku kreskami jego życia jest rzeczą konieczną. W tym celu musimy powrócić do jego dzieciństwa i rodzicielskiego domu. Wydaje się bowiem, że lata jego dzieciństwa stanowią ważny komentarz, umożliwiający lepsze zrozumienie jego przyszłych niekonsekwencji i rozmaitych braków charakteru, usposobienia, postawy i twórczości.

Wiemy już, że jego ojciec, John Marshall Clemens, był to człowiek prawy, szlachetny, lecz niepraktyczny, pozbawiony w życiu szczęścia, marzyciel. Atmosfera w domu Clemensów była chłodna, by nie powiedzieć zimna i pozbawiona miłości. Pani Jane Clemens męża nie kochała i wyszła za niego tylko „na złość“: pod wpływem jakiejś nagłej urazy wobec człowieka, w którym była zakochana. Była uczciwą żoną. Lecz do końca życia nie zatarła się w jej sercu pamięć o tym kogo w młodości kochała z całego serca. Już jako staruszka i od dawna wdowa posłyszawszy, że dawny jej, a odrzucony wybrańiec mignął gdzieś w okolicy, wybrała się w drogę, żeby go zobaczyć po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach.

Gdy jej zmarły w r. 1847 mąż był łagodnego usposobienia, sceptykiem, to Mrs. Clemens przez całe życie pozostała żarliwą prezbiterianką; i wierzyła tym silniej i bardziej, sądziła, że jest jej obowiązkiem, dla wiecznego szczęścia dzieci, przeciwważyć możliwie zły wpływ ojca. Wszakże i bez tego bodźca purytański kalwinizm odpowiadał jej namiętnej naturze, żadnej podporządkowania wszystkiego sobie. I przy pomocy środków nieraz przypominających terror będzie się starała wtłaczać posepny fatalizm swych wierzeń we własne dzieci. Przede wszystkim jednak w Samuela, który buntował się przeciw doktrynie wiecznie straszącej piekłem, potępieniem z góry i odrzuceniem.

Jane Clemens wyzna później, że Samuel kosztował ją najwięcej trosk, lecz może właśnie dlatego kochała go bardziej, niż pozostałe dzieci. Chłopiec od wczesnych lat przyprawiał ją o wielki niepokój. Nie chciał się uczyć, ze szko-

ły uciekał na wagary, w gęste podszycia brzegu Mississippi, zawsze skłonny do wszelkiego rodzaju psich figlów i kawałów, z których się potem wybrał i wykłamywał ze strachu przed karą. Wszystko to później zyska niesmiertelność w „Przygodach Tomka Sawyera“ i „Przygodach Huckleberry Finna“, gdzie pod zmienionymi nazwami żyje nie tylko Samuel i jego miejscowość, Hannibal, lecz także inne postaci. (Przytem trzeba pamiętać, że Tomek Sawyer to Mark Twain jakim mniej więcej był; a Huck Finn to Mark Twain jakim być pragnął, a na co zawsze brakowało mu odwagi i charakteru).

Równocześnie wesoły, psotny Samuel ulegał dziwnym atakom melancholii. Znajdywano go nieraz nocą zaszytego w najciemniejszy kąt pokoju i płaczącego rzewnie. Był też somnambulikiem i w pełnym śnie chodził po domu, a gdy kto zawołał nań po imieniu, natychmiast budząc się, upadał na podłogę płacząc i krzycząc.

W tym miejscu wybiegam w przyszłość by powiedzieć, że choć dożył 75 lat, ciesząc się aż do starości dobrymi siłami i zdrowiem fizycznym, to jednak musiała go nurtować nierozpoznana choroba, której skutki przekazał swym córkom. Zuzanna zmarła na zapalenie opon mózgowych, Joanna na nieuleczalną epilepsję. Przeżyła go tylko Klara, która wyszła za mąż za dyrygenta Gabriłowicza. Przez lata i lata pogrążona w zamroczeniu umysłowym, tylko od czasu do czasu budziła się do świadomości na krótkie lucida interwalle, kiedy to twainolodzy usiłowali z nią rozmawiać o jej ojcu. Takie usiłowania przed 7 laty, w 50-lecie śmierci Marka Twaina, nie dały żadnych rezultatów.

Przez protest wobec gwałtownego matczynego misjonarstwa Twain będzie później, i do końca życia, starał się z taką samą siłą nie wierzyć, z jaką kiedyś matka usiłowała weń wtłoczyć wiarę. A jednak, co już podkreśliłem, i o czym mówią wszyscy biografowie, system, jaki Twain sobie wypracuje, będzie do złudzenia przypominał „kalwinizm jego matki z całym fatalizmem i wiarą w tajemnicze znaki, jedynie, że z usunięciem Boga“. Równocześnie jednak i tutaj oportunizm i brak odwagi sprawią, że Twain przez dziesiątki lat będzie wolał się maskować i uchodzić za kogoś innego, niż był w rzeczywistości. Za życia nigdy nie zdobędzie się

na odwagę walki o swe prawdziwe przekonania. Całe życie Tomek Sawyer będzie tylko zazdrościł Huckowi Finnowi jego decyzji, aby być sobą, stawając się tylko sobą i iść własną drogą.

Bieda panująca w domu przy ciągłych rojeniach ojca o bogactwie i finansowych spekulacjach i kalwińskie kaznodziejstwo matki, że bogactwa i pomyslność życiowa są odpowiedzią Boga i znakiem Jego wybraństwa, wywrą także wpływ na całe życie Twaina. Już wspomnieliśmy na samym początku, że zwalczanie milionerów Twain zadziwiająco łączył z upartą dążnością do zostania samemu milionerem. Ta dążność przemieni się w obsesję i prawdziwą chorobę, czystej krwi manię, która zaciemni mu stare lata, napełni go nie tylko goryczą, ale wrzącą niecierpliwą złością i artystę pióra przemieni na fabrykanta-grossistę mechanicznie produkowanych kawałków. Do końca życia był tak naiwny, jak kiedyś jego ojciec. Rzucił się łapczywie na najbardziej niewiarygodne pomysły, by finansując je, stać się wreszcie owym wymarzoną bogaczem. Finansowanie tych chimer kosztowało go setki tysięcy dolarów, właśnie bogactwo, którego nie widział, bo czerpane było z honorariów. A majątku, jaki przynosiło pisarstwo, Twain nie uznawał ani za „prawdziwy“ majątek, ani za „męski“ sposób dochodzenia do pieniędzy. „Prawdziwe“ pieniądze, „prawdziwy“ mężczyzna może zarobić tylko na interesach, na spekulacji, na sfinansowaniu jakiegoś rewolucyjnego wynalazku.

Miał on wręcz dziecinną wiarę w tak zwane cuda techniki, a jedną z przyczyn tej naiwności był brak harmonijnego i solidnego wykształcenia, cecha wielkiej części także tych ludzi, którzy głoszą wiarę w „naukę“. I na różne pomysły techniczne, które nigdy nie chciały się zrealizować, topił swoje dochody. (Lecz gdy zgłosił się doń wynalazca telefonu, Bell, Twain go wyśmiał, mówiąc, że choć nieraz mogą go ludzie uważać za naiwnego, przecież „idiota nie jest“. Taki wynalazek nie ma żadnych szans... Gdyby był wówczas pomógł Bellowi choć kwotą 500 dolarów, w niedługim czasie spełniłoby się jego aż chorobliwe marzenie i zostałby milionerem). Pisał tak wiele, że na pewien czas stracił władzę w prawej ręce. Zastosował wtedy edisonowski wynalazek fonografu, żeby jak najwięcej naprodukować, powierzając fatygę pisania sekretarzom. Lecz nawet fonograf nie pomógł. Trzeba było ogłosić bankructwo. Twain powęźmie morderczą turę odczytów po całym świecie i (uczciwy syn uczciwego ojca) spłaci długi do ostatniego centa. Pomimo to wciąż będą w nim odżywały techniczne nierealne schematy i ciągoty. Jednak finan-

sowy doradca, który wziął w swe ręce jego interesy — a był to typowy amerykański rekin przemysłowy, jeden z tych, których Twain tak zażarcie „zwalczał” — zawsze w porę umiał go ocalić przed nowymi niepotrzebnymi stratami.

Przez całe życie Twain będzie wykazywał rozdarcie wewnętrzne, niepojęty brak równowagi i niekonsekwencje w tym w co wierzył, w tym jak postępował, w tym co pisał. Niejedno już pióro usiłowało rozplątać zadziwiającą zagadkę, jaką stanowi jako człowiek i pisarz. Uczynił to np. Edgar Lee Masters w miazdzącej monografii pod tytułem „Portret”. Na przeciwnym biegunie stoi Van Wyck Brooks ze swą znaną książką „The Ordeal of Mark Twain”. Udręka Marka Twaina. Słynny krytyk amerykański z takim przejęciem stosował wobec Twaina (jak i innych pisarzy) chwytły freudystowskie i psychoanalityczne aż sam popadł w psychiczny mrok i chorobę umysłową. I dopiero wyleczywszy się, zmienił nieco sąd o pisarzu, na bardziej zrównoważony i krytyczny. — Może więc lepiej nie wdziierać się w tajemnice drugiego człowieka i poprzestać na prostym stwierdzeniu, że nie umiemy pojąć i nie potrafimy wytłumaczyć niepokojącej zagadki Marka Twaina.

V.

„Znałem Emersona, Lengfellowa, Lowella, Holmesa, znałem ich wszystkich i całą resztę naszych mędrców, poetów, wieszczów, krytyków i humorystów. Byli podobni jeden do drugiego, podobni do innych ludzi pióra. Lecz Twain to ktoś jedyny i niepowtarzalny — Lincoln naszej literatury”.

Tak napisał William Dean Howells, znakomity i zapewne najbardziej wpływowy krytyk literacki, jakiego Ameryka miała od czasu swej wojny domowej. Tym strzelistym zdaniem zamykał swój długi, piękny esej pt. „Mój Mark Twain”.

Howells był wiernym i oddanym przyjacielem autora „Huckleberry Finna”, lecz nie był to przyjaciel zaślepiony i bezkrytyczny. I jego sąd zawiera wciąż trafną sugestię właściwej pozycji Twaina w literaturze i kulturze amerykańskiej, przede wszystkim zaś w literaturze. Zwłaszcza zestawienie z Lincolnem mówi natychmiast o jego oryginalności i amerykańskiej rodzimoci.

O Lincolnie powiedziano, że jest nie tylko największym Amerykaninem, lecz tym, który „stworzył Amerykę amerykańską”. Twain zaś zapoczątkował amerykańskość amerykańskiej literatury. Obaj byli samoukami. Obaj wzrastali w warunkach Ameryki przejściowego okresu, w warunkach raptownie olbrzymiejącego kraju, który przestawał być faktem lokalnym, a stawał się fenome-

nem światowym. Obaj zogniskowali w sobie cechy tego mijającego i minionego już za ich życia okresu, dali mu wyraz, stali się jego symbolami. Lecz równocześnie obaj — każdy na swej płaszczyźnie — okres ten przerastali, rozsadzali, i użyli jako gleby pod bujną przyszłość. Lincoln wpłynął zasadniczo na całość dalszych dziejów Ameryki, a tym samym, pośrednio, na taki a nie inny kształt świata. Twain zaważył twórczo na dziejach amerykańskiej literatury. A choć różnił się wagą człowieczeństwa, ciężarem, rozmiarem, zakresem i skutkami wpływu, podobnie łącząc w swych naturach owe zadziwiająco sprzeczne cechy amerykanizmu: optymizm z pesymizmem i humor z melancholią, choć ta ostatnia nie miała u Lincolnia cech owej wrzącej złości, charakteryzującej Twaina w jego starszych latach. I w tym jeszcze do siebie podobni, że najpierw zdobyli uznanie ze strony szerokich rzesz, a dopiero później przyszło głębsze zrozumienie ich roli przez koła intelektualne.

Howells dojrzał w Twainie znakomitego, oryginalnego pisarza już wtedy, kiedy inni intelektualni amerykańscy wciąż jeszcze traktowali go jako literacką nicieś. Był to dla nich gazeciarski humorysta, z drażniącą skłonnością do przesady i burleski, który pisał językiem nazbyt, ich zdaniem, bliskim zwykłej mowie, a nawet rozmowie, żeby można się w tym było dopatrzeć wartości literackiego stylu, a co dopiero historycznego przełomu w dziejach stylu literackiego. Taka była opinia o nim, kół intelektualnych oraz „prawdziwych” pisarzy i krytyków, związanych z Bostonem, Harvardem i Yale. A więc tych, którzy się uważali, i byli uważani, za mózg, sąd i smak Ameryki. To jest niemal wszystkich z wyjątkiem Howellsa, Nortona i Childa. Ale może i ci ostatni uważaliby za przesadę dziś już obiegowe zdanie, że połowa najlepszej literatury amerykańskiej od owych czasów aż do dziś płynie wprost z największego jej arcydzieła, jakim jest „Huckleberry Finn”...

Natomiast dziś czytający świat nie interesuje się wcale owymi amerykańskimi pięknoduchami, którzy pogardliwie wzruszali ramionami, gdy w ich obecności wymieniano nazwisko Twaina. Sama Ameryka zimno odnosi się do owych Longfellowów i Lowellsów. Ich uczona proza i akademicka poezja, echo i kopia Europy, jest tylko historycznym wspomnieniem, lecz bez historycznego znaczenia. Natomiast spontaniczna, samorodna twórczość amatora, jakim był Twain, samouka, o którym nawet nie można powiedzieć, że przez parę lat chodzili do lokalnej szkółki ludowej, gdyż w rzeczywistości przez parę lat z niej uciekał: zapoczątko-

wać miała historię rodzimej prozy amerykańskiej.

„Utwór klasyczny to taka książka, którą wszyscy chwala, lecz której nie czytają”, powiedział w jednym ze swych aforyzmów Twain, który chciał być chwalony, ale ... czytany. I takim pozostał do dziś dnia, jeden z rzadkich klasyków chwalonych, a pomimo to czytanych. I to jak jeszcze! Przeglądając świeżo odpowiedni tom katalogu w British Museum, zdumiałem się zobaczywszy ilość coraz to nowych edycji jego najlepszych rzeczy, wydawanych bez przerwy, bez względu na przemijające gusta literackie.

Zresztą i za życia cieszył się Twain w Anglii większym uznaniem, niż we własnym kraju, i uznaniem bez porównania bardziej uniwersalnym. Wszystko niemal, co wychodziło spod jego pióra, znajdowało entuzjastycznych czytelników we wszystkich warstwach społecznych i na wszystkich poziomach umysłowych. A krytyka angielska szybko dostrzegła artyzm i nowość jego stylu, walor jego niewymuszonej prozy, jej tok swobodny... bo troskliwie obmyślony i wykalkulowany, co krytyka amerykańska doceni znacznie później.

Nie tylko Bernard Shaw wynosił go wysoko; Thomas Hardy wieścił w nim amerykańskiego Swifta. W 20 lat po śmierci Twaina, Shaw powiedział słowa następujące: „Wielkiego człowieka od człowieka pospolitego odróżnia wyczuwanie wartości. Jest ogromna różnica pomiędzy wiedzą a inteligencją. Tysiące uniwersyteckich profesorów wie olbrzymio wiele, ale ludzie ci nie umieją docenić faktów prawdziwie ważnych. Mark Twain i ja nigdy nie mieliśmy wielkiego wykształcenia. Jednak obaj staliśmy się znanymi pisarzami, ponieważ obaj zdobyliśmy ów dar trafiania na takie rzeczy, które są naprawdę ważne”.

Tylko jedna z rzeczy Twaina nigdy nie znalazła uznania w oczach Anglików i nie zdobyła sobie wśród nich popularności — „Yankes na dworze Artura”. Prymitywizm tej burleski, naiwna wiara autora w cudotwórczą moc techniki i mechaniki i zupełna nieznamość cywilizacji i dziejów średniowiecza odstręczyły Anglików od tej książki. Zato we Francji ta właśnie błaznada zdobyła sobie największą poczytność. Dowiedziawszy się o tym, Shaw skwitował rzecz kwaśną uwagą: „Nno, tak! Francuzi to tacy śmieszni ludzie, very funny people”.

Lecz kiedy już mowa o tej książce:

W pewnej chwili ów Yankes, który ze swej ząbkującej cywilizacji technicznej XIX. wieku dostał się nagle niemal w początki średniowiecza, zauważa, że w ustroju feudalnym 6 ludzi na 1000 łamie swój bat o plecy pozostałych bli-

Lata walki na obczyźnie o niezależność polską

B.D.I.C.

„Materiały historyczne“ Kazimierza Sosnkowskiego

Członek Organizacji PPS, kierowanej przez Józefa Piłsudskiego, następnie w 1908 roku inicjator Związku Walki Czynnej, z którego wyrósł jawny Związek Strzelecki i z kolei Legiony; Szef ich przy Komendancie, potem jego współwzięci w Magdeburgu, dalej minister spraw wojskowych odbudowanej Rzeczypospolitej, przejściowo dowódca armii w roku 1920 i znowu minister organizator sił zbrojnych tworzącego się państwa; następnie inspektor armii i delegat rządu na międzynarodowe konferencje; we wrześniu 1939 dowódca zaimprovizowanej armii, walczącej do ostatnich wystrzałów na przedpolach Lwowa, skąd przedziera się w przebraniu na Węgry i do Paryża; na emigracji członek rządu, następca Prezyden-

ta R.P. i po śmierci gen. Sikorskiego naczelny wódz, zdymisjonowany za rozkaz piętnujący bierność aliantów wobec Powstania Warszawy, wreszcie po wojnie inicjator Aktu Zjednoczenia, Kazimierz Sosnkowski to dziś senior czołowych osobistości polskich ubiegłego sześćdziesięciolecia, żywa i wspaniale zapisana karta dziejów Polski w XX wieku. „Materiały historyczne“, dotyczące postaci tej miary muszą stanowić pierwszorzędną wartość dokumentarną i równocześnie wzbudzić szerokie zainteresowanie czytelników.

„Materiały historyczne“ (zebrał i przypisami opatrzył Józef Matecki, Gryf Publication Ltd., Londyn, 1966, stron 688), odpowiednio do swego tytułu nie są biografią gen. K. Sosnkowskiego, ale stanowią bogatą, aczkolwiek nie wszechstronną i kompletną do niej podstawę. Niekompletność polega głównie na bardzo ograniczonej ilości dokumentów, odnoszących się do okresu sprzed II wojny światowej. Jak płk. J. Matecki stwierdza we wstępie, trudność dotarcia do tych przedwojennych materiałów, znajdujących się — jak dorozumiewamy się — w kraju, spowodowała to ograniczenie. Mamy więc w tym zbiorze przede wszystkim dokumentację, dotyczącą wojennego i powojennego, czyli emigracyjnego okresu życia oraz działalności gen. Sosnkowskiego. Dokumentacja ta, to rozkazy, przemówienia, wspomnienia i inne wypowiedzi z rozmaitych okazji. Opublikowanym tomem — poza dwiema podstawowymi wypowiedziami — nie są objęte mowy ani dokumenty, dotyczące akcji, zmierzającej do zjednoczenia narodu. Jak informuje autor wstępu, zostanie to ogłoszone w osobnym tomie. Także na późniejszą publikację czekają rozkazy tajne (z których jeden tylko, Rozkaz Oficerski nr. 3 z 20.VIII.1944 został zamieszczony obecnie) oraz obfita korespondencja z krajem podczas wojny, za okupacji niemieckiej. Charakteryzując ogólnie „Materiały“, płk. Matecki nazywa dokonany do nich wybór „publicystycznym“.

Rekompensatą wspomnianej niepełności opublikowanego tomu jest krótki, 17 stronic łączący życiorys Generała, pióra J. Mateckiego, życiorys nazwany przez autora encyklopedycznym co do formy, „zwięzłym do samych niemal faktów. Wypowiadanie bowiem poglądów i ocen pozostawiono badaniom historycznym“. Dodatkową właściwością

„Materiałów historycznych“ Kazimierza Sosnkowskiego jest prawdopodobna jego aprobatą ogłoszonych tekstów i nawet częściowy współdziałanie bezpośredni w redakcji tomu. Część pierwsza bowiem od str. 3 do 14, datowana Arundel, styczeń 1959, a dotycząca dziejów przesilenia rządowego na emigracji w lipcu 1940, została napisana przez gen. Sosnkowskiego, jakby specjalnie dla omawianego tomu. Powyższe okoliczności nadają „Materiałom“ charakter częściowo autobiograficzny, na co wskazuje zresztą również nazwisko Generała, zdobiące tytuł księgi.

Można by zastanowić się, dlaczego więc gen. Sosnkowski, pisarz i stylistą znakomity, a rozporządzający od wielu lat czasem po temu, nie napisał — wzorem wielu innych współczesnych mężów stanu i dowódców — własnych wspomnień i autobiografii? Szukając odpowiedzi na to, nasuwające się pytanie, natrafiłem na wypowiedź, która — jak sądzę — nie tylko rzuca światło na ten problem, ale wydaje mi się kluczem do głębszego zrozumienia psychiki gen. Sosnkowskiego. Tym fragmentem, który uważam za tak bardzo charakterystyczny jest opowiadanie o pewnym egzaminie, składanym przed I wojną światową na Politechnice Lwowskiej. Opowiadanie to zawiera się we wspomnieniu, napisanym w Kanadzie, w grudniu 1944, z okazji stulecia tej znakomitej uczelni. Generał na str. 578-9 „Materiałów“ mówi o swoich opóźnieniach w studiach, spowodowanych z jednej strony wojskową pracą organizacyjną, a z drugiej — przez „mało usprawiedliwioną manię — jak dosłownie pisze — zdawania na stopień celujący“. Z „manii“ tej wyniknął m.in. opowiedziany epizod przewlekłego, trzykrotnie powtarzanego egzaminu z wykreślnej i syntetycznej geometrii u prof. Denizota. Jak gen. Sosnkowski wspomina, nie chciał się zadowolić stopniem „bardzo dobrze“ i stawał do egzaminów uzupełniających, po których jednak od równie upartego profesora podwyższenia oceny nie uzyskał.

Myślę, że ten ambitny, młodzieńczy perfekcjonizm pozostał na całe życie głęboko zakorzenioną cechą charakteru Generała. Jeśli nie zdecydował się napisać wspomnień czy pamiętników, to — ośmielam się wysunąć domysły — w superkrytycznej obawie, że nie będzie to dzieło doskonałe, najlepsze w tym rodzaju literatury. Podobnie, perfekcyj-

nych — nota bene uwaga świadcząca, że autor niemal nic nie wiedział o życiu wieków średnich, ale mniejsza o to. Dość, że tak mu się zdawało i każe mówić swemu Yankesowi: „I wydawało mi się, że jednej rzeczy potrzeba tym 994 ludziom, wdzonym za nos: mianowicie nowego ładu“. Nowy Ład, po angielsku — New Deal. Jeden z najślawniejszych zwrotów, który zrobił międzynarodową karierę, stał się wytyczną i symbolem wewnętrznych przemian w USA od 1932 roku, zapoczątkował głęboko idącą wewnętrzną przemianę kapitalizmu „rekinów“ na tak zwany „kapitalizm ludowy“, powszechny. Ów zwrot został przez Franklina Rosevelta świadomie zaczerpnięty z tej sceny z Twaina i prezydent potwierdził to w autoryzowanym wywiadzie. Lecz to tylko ciekawostka, po drodze.

I już tylko zaledwie wspomnieć można o niezwykłej popularności Twaina w Niemczech, gdzie do roku 1959 rozszło się ponad milion egzemplarzy jego książek. W Rosji ponad 3 miliony. W Ameryce łacińskiej Twain bez przerwy jest najpopularniejszym pisarzem amerykańskim...

Kiedyś, gdy jedno z pism amerykańskich zbyt szybko się pospieszyło i zawiadomiło czytelników o zgonie pisarza, Twain w liście do redakcji napisał — słowa aż zbyt często potem cytowane — że wiadomości o jego śmierci były jednak „bardzo przesadzone“... Dziś w blisko 60 lat od jego zgonu fizycznego możemy te słowa jedynie powtórzyć. Mark Twain rzeczywiście nie umarł. Przestał tylko pisać. Jan Tokarski

nizm ten — jak sądzę — nieraz hamował go w sprawach o wiele ważniejszych, zatrzymywał na rozdrożach, gdy przychodziło pobierać wielkie, historyczne decyzje. W konsekwencji utrudniło mu to odegranie przywódczej roli kierowniczej, nawet gdy rodacy powszechnie odeń tego oczekiwali. Czynna polityka bowiem nie daje pola dla posunięć, nienasuwających wątpliwości, nie ma w niej czynów, ani decyzji doskonałych. Z reguły są one w czynnej polityce wyborem zła, uznanego za mniejsze, za które trzeba jednak wziąć na swoje sumienie odpowiedzialność, przed czym wzdraga się arcywrażliwa etyka indywidualna.

Wysublimowana ta właściwość charakteru Kazimierza Sosnkowskiego, będąca praktycznym obciążeniem w czynnej polityce, jest wszakże wielkim kapitałem wychowawczym dla emigracji z jej celami na dalszą metę. Emigracji, której zadaniem jest utrzymać narodo- wy kręgosłup moralny, samodzielność polityka i odporność na obce wpływy, wierność idei niepodległości, którymi to zasadami oraz ideami przeniknięta była cała działalność Generała od pierwszych godzin znalezienia się na obczyźnie po klęskę wrześniową.

„Materiały historyczne“ więc, które zawierają wypowiedzi i dokumenty, pochodzące od Kazimierza Sosnkowskiego przede wszystkim z tego uchoźczego okresu jego życia, są nie tylko bogatym źródłem dla poznania historii sprawy polskiej podczas II wojny światowej. Są zarazem niezmiernie pouczającą, tragiczną nieraz kroniką walki o niezależność polską na terenie międzynarodowym w tym okresie. Mimo, że walka ta skazana była na klęskę, przewodnia myśl jej nie utraciła nic ze swojej słuszności. Co więcej, niezachwiana i samodzielność polityczna powinna być dla nas dalej postulatem zasadniczym i dążeniem koniecznym. Nakazy te czynią z dorobku gen. Sosnkowskiego, z jego doświadczeń i wskazań dziedzictwo bezcenne, które w miarę upływu czasu może tylko zyskiwać na wartości. Podobnie, zachowują swoją aktualność „Materiały historyczne“.

DOM POLSKI W WIEDNIU

Klub — Czytelnia —
Restauracja

Przyjemna atmosfera
Dobre miejsce spotkań
SCHELLEINGASSE 2
WIEN IV.

TEODOZYJA LISIEWICZ

W OBRONIE WŁASNEJ CYWILIZACJI

Ktoś, kto jadał dużo koniny, pewnego dnia spostrzegł w lustrze, że strzyże uchem. Zaniepokojony, udał się do lekarza. Ten, po zbadaniu, bez słowa zaczął coś pisać. „Recepta?“ — „Nie. Podanie do zarządu miasta, żeby dla celów koniecznych wolno panu było używać ulicy“.

Anegdota ta przypomina mi się, ile razy czytam dzisiaj książkę, o której koryfeusz mówi: „mocna rzecz“, „odważna“, „śmiało ujęcie“, ponieważ niektórzy wyraziciele sądów literackich, choć samozwańczy, bo bez ciężaru pracowitej przeszłości, która by ich sąd uzasadniała, niech tylko ukaże się książka bogato przetykana słownictwem płotowym, uważają że natychmiast trzeba się nią zachłystywać. W ich mniemaniu siła książki — to ordynarność; odwaga myśli — to wypisywanie wszystkich wulgarnych wyrazów w pełnym składzie liter, to nazywanie rzeczy nie po imieniu, ale w ich brzmieniu ulicznym; śmiało ujęcie — to świntuszenie w każdym zdaniu. I to nie erotyka bez ostonek, nawet nie wybujały seks, tylko zwykłe nurzanie się w błotnistej bajorze z lubością i pociąganie za sobą czytelnika. Pisarz tego typu nie ujawnia ani działania pod wpływem twórczego nakazu, ani przerostu impulsu pciowego, który — co się zdarza — kazałby mu jego niepokoję ukazać światu, tylko zdradza przykrą impotencję, jaką — bez względu na jego lata — natura go dotknęła, gdyż bywa złośliwa i mści się na tych, którzy ją paskudzą.

Takie refleksje nasunęły mi się po przeczytaniu w jednej emigracyjnej notatce, że do najlepszych książek roku 1966, ktoś zalicza również „Krótki żywot bohatera pozytywnego.“ Zgadzałem się, że książka jest pisana z takim rozmachem, że zdaje się dech zapierać, jakby pisana w ciągu 24 godzin, bez snu i jedzenia, byle jak najprędzej autor wyrzucił z siebie i w pełni ukazał przerażającą psychologię tych, od których w Polsce ludowej zależy każde życie, każda męka i każde sponiewieranie człowieka. Autor zapomina tylko, że Polska to ponad 30 milionów naszego narodu i nie można jego smutnego obrazu przedstawiać jednostronnie, rzucając reflektor tylko na typy psychopatyczne, stwarzając przez to fałszywą pojęcie, że te najlepiej obecną Polskę charakteryzują.

Ocena techniki pisarskiej i ocena książki jako czynnika dodatniego, to dwie różne rzeczy. Każda książka, je-

żeli pisana nie „do szuflady“, potrzebuje czytelnika. Dla niego jest zresztą przeznaczona. Ten — mam na myśli czytelnika przeciętnego — nie analizuje wartości jej formy, tylko podąża za akcją i szuka w niej przeżycia; czasem znów bierze książkę do ręki dla utrzymania elastyczności umysłu, czasem dla rozszerzenia horyzontu myślowego, dla żywego udziału w problemach aktualnych, a najczęściej dla pożytki, której jego intelekt potrzebuje tak samo, jak organizm jedzenia. Jeżeli kieruje się zdrowym instynktem, książki tego rodzaju jak wspomniana, odrzuci; jeżeli przeczyta do końca, będzie miał niesmak i przez długi czas idiosynkrazję do książek poleconych przez „znawców“, a jeżeli zagłębi się w nich z przyjemnością, to jest takim samym impotentem jak autor i nareszcie znalazł coś dla siebie.

Słyszy się na prawo i lewo, że świat ordynarniejsze, że coraz mniej w nim ładu potrzebnego nerwom, coraz mniej zrywów dobrego gatunku, a już zupełny zanik hodowli instynktów wyższych. Narzeka się, lecz nie robi się nic, aby temu przeciwdziałać; jakby narzekający sami już poddawali się upadkowi, sami zaczęli już strzyć uchem, do czego przyzwyczajają ich autorzy, którzy bez wnoszenia podania do zarządu miasta załatwiają fizjologiczne czynności swojej taniej „psyche“ na oczach wszystkich, a tzw. rzeczoznawcy jeszcze namawiają, żeby nikt nie stracił słowa z fenomenalnej wartości zjawiska. Brak odpowiedzialności, jaką pisarz bierze na siebie, brak wielokierunkowego zastanowienia, głębszej wiedzy, (wszystko to, zdobywa się z trudem), tego typu autorzy, dla uniknięcia wysiłku i dla szybkiego rozgłosu, zastępują słowami najniższego gatunku. Na tym nawozie sieją i kwitną, a „rzeczoznawcy“ zachwycają się plonem. Zwłaszcza ci, którzy uważają siebie za koronowanych koryfeuszów wykazują, jak zatracili zupełnie poczucie etyki i estetyki, owego zmysłu pojęcia złego i dobrego do tego stopnia, że nie widzą i nie czują już żadnej różnicy pomiędzy słowami wypisanymi na ustronnych murach a w książce. Czy dlatego, że tylko dzięki specjalnej koniunkturze, bez mozolnego przygotowania znaleźli się raptem na trybunie? Obserwując ich widzi się, że to przecież mali ludzie, a więc bez własnego zdania i, jeżeli nawet na spodzie spekulatywnej myśli czują, że coś nie jest w porządku, nie przyznają się do tego. Małości zawsze

brak odwagi cywilnej. Dlatego bezkrytycznie poddają się chamstwu, mniemając, że tą drogą podbudują swój autoritet. A chamstwo dlatego jest chamstwem, że bierze za łeb, siłą narzuca swoją wolę, a to słabszym zawsze imponuje.

Książka, którą wymieniam dla przykładu jako jedną z wielu, jest bez zapreczenia pisana żywiołowo, ale to jeszcze nie może stanowić o jej tak dużej wartości, żeby dawać jej pieczęć jednej z najlepszych, i to w jakim roku? Roku polskiego milenium, który przedstawił światu że mamy za sobą tysiąc lat szkolenia w kulturze duchowej, a nie tysiąc lat chamskiej pornografii i sadyzmu.

Tak jak istnieją w nauce zamknięte pokazy filmowe dla specjalistów, ponieważ laik mógłby je zrozumieć opacznie i przez to miałyby dla niego inne znaczenie, tak samo ma się rzecz z książkami tego typu. Niech je czytają badacze zjawisk pisarskich, psychoanalizy, badacze okresu stalinowskiego, który jest wzorem niszczenia literatury dodatkowo, ale niech nie zachęcają do ich czytania wszystkich bez wyjątku, a więc ludzi nieprzygotowanych. Po co? Każdy dojrzały mężczyzna i dojrzała kobieta zna tajniki obu organizmów, ich reakcje — starsze od dziejów świata — lecz ta znajomość jest bardzo osobista i przez wrodzone poczucie sekretu jej procesu nie wydobycją jej na widok publiczny. Mimo mojej większej sympatii do zwierząt aniżeli do ludzi, wiem — że pod tym względem pies i suczka różnią się od nas. I na tym zapewne w dużej mierze polegała dotychczas wyższość gatunku człowieka. Dyskrekcja w sprawach seksualnych jest oznaką kultury, a mówiąc prościej oznaką wychowania. Iluż to jest ludzi o nieustannie absorbującej ich nerwowo superpłciowej fantazji, których antyinstynkt przekazana gatunku znajduje upust w pięciu zmysłach używanych tylko w jednym celu. Zboczeńcy? Nie, zwykli ludzie, tylko bez samodyscypliny, bez psychicznego szkolenia, dla których jedynie ekshibicjonizm jest pełnią życia seksualnego. Proces ciągłego spalania się, jaki w nich zachodzi, nie jest wynaturzeniem, tylko prostackim brakiem hamulców. I ci, jako gatunek, stoją niżej od psa i suczki. Istnieje dla nich specjalny przemysł, specjalne lokale (bardzo zresztą dochodowe, bo żerowanie na niższych instynktach opiera się lepiej aniżeli na wyższych). Nie dzieje się to jednak na oczach ogółu, bywa zamknięte, nie tylko ze względu na przepisy policyjne, ale i przepisy narzucone przez naturę.

Francuzi mówią, że różnica między człowiekiem a zwierzęciem polega na tym, że zwierzę pije kiedy ma pragnie-

nie, je kiedy jest głodne, a sprawami seksu zajmuje się tylko we właściwym sezonie; gdy człowiek pije kiedy już wypił, je kiedy nie jest głodny, a sezon trwa u niego przez cały rok.

Wiele lat temu, po śmierci pewnego znanego malarza, znaleziono w jego tece akwarele. Wspamiętałem, ale tak pornograficzne, że złożono je w zamkniętych zbiorach, przez poszanowanie kultury malarza, poszanowanie go jako człowieka i — przez poszanowanie otoczenia. A dzisiaj? Nikt nikogo nie szanuje. Przykład systemów hitlerowskiego i tajnej policji sowieckiej pozwolił ludziom zasmakować w poniżaniu człowieka. Świat, zamiast wygrzebać się z błotnistej dna, na jakie zepchnęły go te systemy, widocznie upodobał go sobie, nie chce pójść wyżej, do światła. Jednym z takich smaków znalezionym na dnie jest właśnie reklamowanie książek które, choćby najlepiej pisane, nikogo i niczego nie szanują. Świadczyłyby to o zupełnej bezmyślności reklamujących. Chociaż? — Nie zawsze i nie każda bezmyślność bywa zupełnie pozbawiona myśli. Bezmyślny i bezkrytyczny bywa tylko ogół, jako masa, lecz rzadko kiedy sam inicjator. Kto? Zawsze pozostaje w cieniu, wysuwając tylko swoich karnych satelitów.

Napewno ktoś mnie obsmaruje, nazywając moralistką. Nie jestem. Nie gorszy mnie, przeciwnie, nawet bronię, jeżeli w książkach spotykam się z słowami wulgarnymi; czasami są konieczne dla autentyzmu obrazu jak w tej, którą wymieniałam dla przykładu. Ale książka, która od początku do końca, cała jest pisana językiem obscurnym, chociażby najwłaściwszym dla wykazania tajemników mentalności, dajmy na to Bezpieki z okresu „ciemnego“, nie jest do przyjęcia jako lektura, bo przestaje być książką.

Swojego czasu „Zmory“ Zegadłowicza wywołały burzę protestów i konfiskatę. Na emigracji kto ma konfiskować? Czy ci, którzy reklamując rzecz destrukcyjną (może nawet w dobrej wierze) odgrywają tym samym wobec masy czytelników rolę, jaką odgrywają przedsiębiorcy dyskretnych zakładów? Przecież dla zachowania w sobie poczucia etyki i estetyki nie posiadamy tu innego sprawdzianu, prócz własnej oceny, a cóż mówić o egzekutywie! W dodatku większość boi się własnego zdania jak ognia, żeby nie być posądzonym (może przez kogoś mądrzejszego?) o wsteczność albo ignorancję. Lecz skandalicznie rozwydrzone „Zmory“ zawierały jednocześnie fragmenty urzekające poetyckie, co świadczyło że kultura pisarska Zegadłowicza nie została w nim przekreślona przez niego samego, że nie wyrzekł się jej dla ekshibicjonizmu, że nadal był sobą, pisarzem

wielu możliwości. O Hłasce mówi się, że ordynarna nie do zniesienia, lecz w jego „Ósmym dniu tygodnia“, w jego „Pierwszym kroku w chmurach“ czyta się między liniami, że prawdziwa uroda życia nie jest mu obca. Jest tylko niedosiężna i dlatego wywołuje w nim bunt i nostalgię. Hłasko jest jakby swojego rodzaju upadłym, smutnym aniołem. Kto wie, czy nie dzięki zetknięciu się w niedojrzałych latach z niejednym „bohaterem pozytywnym“? Podkreślało by to tym bardziej, jak jest niebezpieczne oddanie jako lektury poleconej tego „krótkiego żywota“ szerokiemu ogółowi, przede wszystkim młodym, odbierając im przez to świeżość myśli, brudząc ich imaginację i za wcześniej niszcząc nerwowo. „Lewa wolna“ — co za słownictwo! — krzyknięto ze zgrozą. Słownictwo? W takim razie, co należało by krzyknąć o „bohaterze pozytywnym“? Przecież „Lewa wolna“, prócz serdecznych przekleństw, nawet w swoich drażliwych i niepotrzebnych scenach, jest pisana językiem cywilizowanych ludzi, których dewizą jest inteligentna wiedza życia, a nie babranie się w oborniku. Zgorszenie wywołały powieści Françoise Sagan. Ale Sagan — (najlepsza jej książka, moim zdaniem, na co oburzają się mężczyźni, to „Un certain soir“) — nigdy nie jest ordynarna. Jest to tylko erotomanka, nudna i aspołeczna; jej pisarstwo to truskawki skropione zwietrzałym arszenikiem, ale nie nawóz pod truskawki.

Dlaczego więc ogół, narzekając na panoszący się obecnie zły obyczaj i na wulgarność, nie występuje przeciwko temu? Dlaczego nie reagują ci czytelnicy, którzy nie mają mózgow zածdzonych snobizmem pro-wulgarności? Trochę więcej odwagi cywilnej i trochę więcej własnego zdania, wypowiedzianego nie tylko do znajomych przy stole kawiarnianym, mogłoby zachwiać niezmaczoną dotychczas pewnością siebie koryfeuszy. Jeżeli nadal będziemy się poddawać narzuconym zdaniom, bać się słowa „zacofany“ i jeżeli nadal będziemy się godzić potulnie na to, że w „postępowym“ wieku wszystko jest dozwolone — to pocóż nam starania o muzea, poco troska o biblioteki, wzory pięknej myśli? Powiedzmy sobie odrazu: nie ma brzydoty ani piękna, brudu ani czystości, nie ma kultury intelektu i obyczaju, jest tylko jeden wielki dom publiczny i w tym się nurzajmy.

A przecież walka z chamstwem nie jest tak trudna jak się wydaje oportunistom, których niestety więcej między nami, aniżeli ludzi z kręgosłupem. Należy tylko zdać sobie sprawę, że chamstwo rodzi się z kompleksu niższości i tak długo bywa bezczelne, jak długo się go nie zdemaskuje.

Teodozja Lisiewicz

George Mikes — węgierski książę angielskiego humoru

Umówiliśmy się w Garrick Club, starym angielskim klubie literacko-artystycznym. Przez bogato rzeźbioną bramę wchodzę do wspaniałych sal o wysokich sklepieniach, wszędzie złocenia i aksamity, a przede wszystkim — tyśiące zdjęć, karykatur i obrazów wielkich aktorów w różnych rolach. Kelnerzy we frakach i umundurowani chłopcy przesuwają się bezszelestnie po grubych dywanach.

„Do kogo, please?“ — zatrzymuje mnie grzecznie siwy pan, przy stoliku, gdy chcę przemknąć się do czysto męskiego sanktuarium. „Jestem umówiona z p. George Mikes“, staram się wypowiedzieć popularne węgierskie nazwisko jak najbardziej po angielsku. „Ou, Mr. Mikes“, poprawia mnie siwy pan, przekręcając niemilośnie nazwisko największego dzisiaj humorysty piszącego po angielsku. I wprowadza mnie do szatni „tylko dla kobiet“, gdzie pudruję nos razem z kilkoma młodymi damami.

George Mikes czekał na mnie w pełnym archaicznego czaru olbrzymim salonie, który prawdopodobnie niewiele zmienił się przez 130 lat, czyli od chwili założenia Klubu. Kryształowy „pająk“, przyćmione światło spod jedwabnych abażurów, atmosfera powagi, pewnością siebie, ciągłości. Angielski salon w angielskim starym klubie, dla Anglików. Jak twierdzi p. Mikes, cudzoziemiec może zostać Brytyjczykiem, nigdy jednak nie stanie się Anglikiem. Odnosi się to także do angielskich klubów.

George Mikes to tęgawy pan w średnim wieku, z przyjemną okrągłą twarzą i serdecznymi brązowymi oczyma. Przy krótkim zetknięciu trudno zorientować się, skąd bierze te skarby humoru, które lekką ręką rozrzuca po całym świecie. Mikes napisał kilkanaście książek i wiele poważnych esejów („Jak drapać chmury“ — o Ameryce, „Kraj Mleka i Miodu“ — o Izraelu, 1949 i 1957, „Über Alles“ — o Niemczech, „Szekspir i ja“, „Studium o hańbie“ — o węgierskiej tajnej policji, i inne), ale skarży się, że dla świata pozostanie na zawsze tylko autorem „Jak być cudzoziemcem“. Ten zbiór ciętych i pełnych humoru uwag o angielskiej hipokryzji, języku, seksie, herbacie, duszy, pogodzie i innych drogich Anglikom zwyczajach ukazał się w 27 wydaniach i został przetłumaczony na kilkanaście języków. Ostatnia jego książka o angielskich snobach (1966), napisana wspólnie z księciem Bedford (książę od 13 pokoleń!) jest best-sellerem w Ame-

ryce i cieszy się wielkim powodzeniem w Anglii, chociaż nie wszystkim przypada do gustu (ze względów snobistycznych, oczywiście).

Pamiętna aksjomu Mikesa, że „once a foreigner, always a foreigner“ i że nie ma na to rady, na pierwszy ogień biorę sprawę „przynależności“. Pytam, czy znany i aprobowany przez Anglików pisarz jest już Anglikiem, a właściwie, czy czuje się Anglikiem po blisko trzydziestoletnim pobycie w Anglii.

„Nie, odpowiada Mikes. W Anglii jednak spędziłem większą część życia, piszę po angielsku i dzieci moje są już Anglikami. Nie zastanawiam się więc nad problemem „przynależności“, tylko robię swoje i piszę. Wobec tego, że w związku z moim pobytom w Anglii nie mam żadnych praktycznych problemów, nie chcę stwarzać sobie teoretycznych. Rozumiem jednak, że dla ludzi, którzy nie mogą wyżyć w Anglii zawodowo, ta sprawa „belonging“ to bardzo ciężki, często tragiczny problem, i bardzo im współczuję“.

„Dlaczego więc jest p. Mikes członkiem Pen Klubu Uchodźców w Londynie?“ — pytam.

„Należę do tego Pen Klubu i popieram go z przyjaźni dla jego Prezesa p. Grabowskiego, i założyciela, węgierskiego pisarza Tabory. Bardzo rzadko jednak tam przychodzę. Jestem jednocześnie członkiem zarządu angielskiego Pen Klubu. Nie wróciłbym do Węgier, niezależnie od takiego czy innego ustroju, gdyż z wolnej Anglii nie wraca się do niepewnego politycznie kraju. Poza tym, gdy ktoś jest w tym szczęśliwym położeniu, że pisze w języku zrozumiałym dla setek milionów, nie wraca do języka znanego stosunkowo niewielu. Zapaściłem korzenie w Anglii i tu jest mój dom. Nostalgia? Owszem, za węgierskim krajobrazem, za poezją i kulturą. Nostalgia ta jednak wzbogaca mnie, mam bowiem dwie ojczyzny i dwa zaplecza kulturalne.“

George Mikes przyjechał do Anglii w r. 1938, w okresie kryzysu monachyjskiego, jako wysłannik węgierskiej gazety. Z wybuchem wojny kazali mu zostać w Anglii. Początkowo pracował w dziale węgierskim BBC, a od roku 1951 — jako „free lance“ pisarz.

Na moje pytanie, co wedle niego stanowi istotę humoru, odpowiada: „Określenie istoty humoru należy do filozofów, ja po prostu piszę humorystycznie, bo zawsze i wszędzie widzę grotesk i humor. Tak jak piękno, humor znajduje się w oczach patrzącego, to spotkanie widza z obiektem czy z problemem.

Napisałem w swoim czasie książkę o obzarstwie, „Śmiertelna Pasja“, i posłałem ją Koestlerowi, który powiedział mi, że to temat dla Kafki. Prawda, o grzechu obzarstwa mógłby napisać Kafka albo Koestler, bardzo poważnie i głęboko, ja podszedłem do tego od strony humorystycznej, chociaż mój bohater w końcu umiera z przejedzenia. Wszystko zależy od tego, jak się kto patrzy na rzeczy. Ludzie mówią, że poczucie humoru to błogosławieństwo, moim zdaniem jednak, to nie jest prawda. Sarkazm, ironia, nawet pokryte warstwą humoru, mogą stanowić złośliwą albo niegodną obronę. Prawdziwy humor musi posiadać umiar i sens proporcji, a to jest zwykle związane z wewnętrzną skromnością i pewnego rodzaju pokorą (humility), które są godne szacunku.“

Popijamy „long drinka“ i p. Mikes opowiada mi jakiś angielski dowcip, którego pointę trudno mi złapać, tak samo zresztą, jak to ma miejsce ze wszystkimi innymi dowcipami angielskimi. Wobec czego zadaję pytanie, czym różni się angielski humor od innych?

„Anglicy osiągają humorystyczne efekty przez „understatement“ i stworzenie odpowiedniej „atmosfery“, wyjaśnił mi „węgierski książę angielskiego humoru“, podczas, gdy np. Amerykanie czy Europejczycy żydzi widzą humor w przesadzie. Drugi specyficzny aspekt angielskiego humoru to, że Anglicy umieją śmiać się ze siebie samych. Pod tym względem podobni są do europejskich Żydów, ale gdy żydowskie samokrytyczne żarty były na ogół apologetyczne — Żydzi uważali siebie za śmieszne postaci i co najmniej połowa z nich zgadzała się pod tym względem z antysemitami — to Anglicy w głębi serca uważają się za najlepszych i największych na świecie i dlatego właśnie mogą pozwolić sobie na wykpiwanie własnych śmieszności.“

PIOTR GUZY

ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Wyd. Instytut Literacki
w Paryżu

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

„Nieodwracalne“ staje się odwracalnym

W 1966 r. wydano w Polsce pośmiertnie II-gi tom „Ekonomii politycznej“ Oskara Langego.

W tomie tym tak samo jak w I-ym*) Lange nic nowego nie wnosi do nauki ekonomii, albowiem powtarza jak za „panią matką“ to co w tej dziedzinie powiedzieli w ostatnich czasach wybitni ekonomiści na Zachodzie. Książka ta, pomimo jej kompilacyjnego charakteru, ma jednak duże znaczenie, zwłaszcza że Lange autorytatywnie stwierdza, iż przedstawione przez niego prawa ekonomiczne mają zastosowanie zarówno w gospodarce „socjalistycznej“ jak i „kapitalistycznej“. Przede wszystkim dział dotyczący analizy matematycznej praw ekonomicznych i procesów produkcji ze zrozumiałych względów (głównie nieznamość języków obcych) dla większości z nich byłoby niedostępny. Mało tego jest, ale w każdym razie coś jest. Może powodem było to, że książka nie została przed śmiercią autora zakończona.

Bardziej charakterystyczną jest rzeczą, że w tomie II-gim poza Marksem, który jeszcze pozostaje na ołtarzach, prawie całkowicie zniknęli inni prorocy i święci marksistowsy (o Leninie są tylko nieliczne napomknienia), a przede wszystkim nie ma ani jednej wzmianki o Stalinie, którego nazwisko było powtarzane w tomie I-szym do znudzenia i obrzydzenia przy każdej możliwej i niemożliwej okazji i sposobności. Prawdopodobnie pisał tom I-szy jeszcze za życia Stalina, a w czasie oddania go do druku nie mógł dokonać poprawek, które musiałyby być równoznaczne z napisaniem nowej i innej książki i to o szczerzej treści i rozmiarach.

Jedno tylko nie udało się Langemu. W II-gim tomie potępił w czambuł zgodnie z nauką Marksa „motyw zysku“, pomimo, że stosownie do „nowej i odkrywczej“ doktryny „przodujących w świecie“ ekonomistów sowieckich należy to obecnie zalecać i wychwalać. Widocznie Lange pisał na ten temat przed „najnowszym wynalazkiem“ sowieckim, a wydawca przeoczył ten rażący archaizm podczas przygotowywania książki do druku.

* * *

Bardziej rewelacyjną i ciekawą jest wydana o rok wcześniej (1965) książka Adama Schaffa pt. „Marksizm a jedność ludzka“.

*) Por. mój artykuł w „Orle Białym“ Nr. 15/16 z 1960 roku.

Ten fanatyczny do niedawna bigot-marksista oraz zatwardziały i bezkompromisowy stalinista uległ nieprawdopodobnej metamorfozie i stał się, nie wstąpił, nie tyle heretykiem i rewizjonistą, ile jawnym zaprzacaczem wszelkiej wiary marksistowskiej we wszystkich jej odcieniach, które znajdują wyraz w licznych sektach marksistowskich.

Tak jeszcze niedawno, bo w 1960 r., Schaff pisał w „Przeglądzie Kulturalnym“ w związku z wydaniem I-go tomu „Ekonomii politycznej“ Langego: „Za jedną rzecz jestem tu autorowi wdzięczny — za Stalina, za wydobycie tego co jest wyraźnym wkładem Stalina do omawianych w pracy zagadnień... Stalin — cokolwiek by mu się zarzucało był i pozostanie wielkim politykiem i wielkim teoretykiem. Nie ma powodów i nie należy tego zamazywać i przemilczać...“**)

Nie upłynęło 5 lat — uwzględniając czas potrzebny na wydrukowanie książki — a już Stalin stał się w oczach Schaffa powodem nieszczęść całego świata komunistycznego. Wprawdzie Schaff nie wymienia nazwiska tyrana (byłoby to zbyt rażące), ale pisząc o okresie „tzw. kultu jednostki i to we wszystkich krajach socjalistycznych“ stwierdza niedwuznacznie, że o niego mu chodzi. Bo cóż innego mogą znaczyć takie słowa jak: „Była to przecież historia potwornej alienacji, gdy siły stworzone przez człowieka w najlepszej wierze i w najszlachetniejszych intencjach humanistycznych wyrwały mu się z ręki i jak wroga potęga zaczęły druzgotać i niszczyć swych twórców“. Powiedziane dosadnie i niedwuznacznie.

Nie oszczędził też Schaff Marksa. Wszystko czego uczył i co pisał Marks jest po prostu utopią. Wywody i twierdzenia, a raczej proroctwa Marksa, że po zlikwidowaniu prywatnej własności i nastaniu komunizmu ustanie alienacja i wyzysk człowieka przez człowieka, nie będzie sprzeczności interesów ludzkich, wszyscy ludzie będą równi pod względem ekonomicznym, zniknie państwo, wierzenia religijne i „fetyzizm towarowy“, powstanie bezklasowe społeczeństwo, nie będzie różnicy między pracą fizyczną a umysłową, wszyscy śmiertelnicy będą opływać w dostatki i szczęście doczesne itp. — są według Schaffa wytworem niezdrowej wyobraźni i fantazji romantyka i utopisty.

**) Por. mój artykuł w „Orle Białym“ Nr. 32/33 z 1960 roku

Najbardziej razi Schaffa proroctwo Marksa, że w świecie komunistycznym „nawet czynności związane z talentem, jak np. malarstwo staną się domeną wszystkich“. Słowem stwierdza, co jest oczywiste, że zwykły robotnik nie będzie mógł jednego dnia kopać rowy, a drugiego malować obrazy o wysokiej wartości artystycznej.

Nie ustanie też alienacja robotnika i wyzysk człowieka, nie nastąpi zrównanie wszystkich ludzi pod względem ekonomicznym, pozostanie „fetyzizm towarowy“ itp. Jeżeli zanikną tradycyjne klasy społeczne to na ich miejsce „pojawią się nowe podziały społeczne i skomplikowana stratyfikacja“, które niewiele będą się różniły od poprzedniego stanu rzeczy, albowiem „całkowita równość ludzi pod każdym względem jest fikcją.“

Na tle powyższego razi Schaffa „rozdźwięk między słowem a czynem“ tych, co rządząc Polską „ludową“ opływają w bogactwa i dostatki, podczas gdy szary człowiek żyje w nędzy. Uważa to za szkodliwe dla sprawy komunizmu, albowiem „najgorszą przysługę sprawie oddają ci kaznodzieje, którzy prawią o wodzie, a sami piją wino“. Istotnie, podczas gdy w Anglii rozpiętość między najmniej zarabiającymi a najlepiej opłacanymi za pracę, po ściągnięciu progresywnego podatku, układa się jak 1 do 10, w krajach bolszewickich stosunek ten dochodzi do 1 do 50.

Państwo nie tylko nie zaniknie, lecz wręcz przeciwnie jego znaczenie i funkcje niepomierne wzrosną, wskutek konieczności regulowania wszystkich stosunków ludzkich i potrzeby utrzymania dyktatury proletariatu przy władzy za pomocą „aparatu przymusu“.

Nie wierzy też Schaff, że po „zbudowaniu“ komunizmu nastąpi powszechne i jednolite szczęście ludzkości, albowiem szczęście jako będące „domeną wyboru“ jest rzeczą indywidualną i rzadko osiągalną, przy czym to, co jednemu przynosi szczęście, dla drugiego może być wielkim nieszczęściem. Błędne i daremne więc są usiłowania czynników sprawujących władzę w krajach „socjalistycznych“ uszczęśliwienia ludzi przy pomocy nakazów i dekretów biurokracji i aparatu administracyjnego.

Słowem, cała doktryna Marksa jako będąca utopią nie ma sensu i nie może mieć praktycznego zastosowania. Nie należy go jednak za to ostro krytykować i potępiać, a niekiedy nawet wyśmiać, jak czynią niektórzy zachodni „reakcjonści“ (Orwell, Huxley,

Dziła i inni), albowiem „Marks, nie był prorokiem, lecz uczonym“ i to wielkim. Nie ujawnia jednak Schaff jaką wartość może mieć dla nauki doktryna „geniusza“, który pisał utopijne banialuki i bzdury.

W związku z powyższym dużą winę ponoszą sami uczeni-marksiści, którzy interpretując utopijne kanony i myśl swego mistrza stosują „ziudną i sprzeczną z własną jego nauką... próbę obrony nieomyślności Marksa z pozycji dogmatycznej interpretacji jego pism“. Daje to, między innymi, żer propagandzie antymarksistowskiej i ośmiesza „wielką ideologię i doktrynę“.

Nie należy jednak tym, co głosi propaganda antykomunistyczna zrażać się i przejmować się, trzeba dalej kontynuować pracę nad rozwojem myśli marksistowskiej w atmosferze nieskrępowania przez czynniki polityczno-administracyjne, albowiem „bez wolności dyskusji i badań, marksizm kostnieje i przestaje się rozwijać“. Innymi słowy, badacze marksizmu muszą być „rewizjonistami“ i nie powinni być za to gnębieni i tępieni przez „dogmatyków“.

Na początku swej kariery „naukowej“ Marks w bardzo ostrych słowach skrytykował i potępił cenzurę pruską, która niewątpliwie hamowała i często udaremniała postęp naukowy w każdej dziedzinie wiedzy ludzkiej, a nawet literatury i sztuki. Do niedawna te wywody i żale Marksa stanowiły tabu w krajach bolszewickich. Nie wolno było ich omawiać i cytować w żadnych rozprawach marksistowskich, a nawet nie były drukowane w zbiorowych dziełach Marksa.

Obecnie Schaff przytoczył obszerny wyjątek z rozprawy Marksa o cenzurze, zgadzając się z nim całkowicie i stwierdzając, że krytyka ta odnosi się nie tylko do cenzury pruskiej z pierwszej połowy XIX. wieku, lecz również do wszelkiej cenzury i po wieczne czasy.

Nie do pomyslenia bowiem jest, aby nauka, literatura i sztuka, których domeną i celem jest „poszukiwanie prawdy, często przy pomocy metody prób i błędów“, mogły się rozwijać w ramach „dekretowania“ przez czynniki polityczno-biurokratyczne. Nauka więc i sztuka winny się rozwijać w atmosferze absolutnej wolności „wymiany poglądów i swobodnej dyskusji“, albowiem „nikt nie zna i nie może znać z góry jej rezultatów i jedyną drogą prowadzącą do prawdy jest droga poprzez ścieranie się przeciwstawnych poglądów, poddawanych stałej weryfikacji przy pomocy kryterium praktyki“.

Są to rzeczy banalne i zrozumiałe same przez się. Charakterystyczne jest tylko to, że obecnie w Polsce wolno o tym pisać.

Prawdopodobnie w celu zamydlenia

oczu, lub udobruchania cenzora Schaff kwalifikuje swe powyższe poglądy, przyznając że w kwestiach ideologii marksistowskiej nauka, literatura i sztuka winny podlegać cenzurze i nadzorowi bolszewickich czynników polityczno-administracyjnych. Nie należy jednak „ingerować nigdy ponad potrzebę“.

Powstaje jednak kwestia kto ma decydować o tym, kiedy i w jakim zakresie ta „ingerencja“ jest „ponad potrzebę“. Jest tu bowiem sytuacja podobna do tej w bajce, gdy notablowie gryzoniów uchwalili jednogłośnie i entuzjastycznie, aby w celu uniknięcia mordowania przez kota myszy zawiesić mu na szyję dzwonek. Po zakończeniu jednak posiedzenia ich pewność siebie i entuzjazm zostały ostudzone przez zapytanie najbardziej nierozgarniętej myszy: „Ale kto podejmie się dokonać tego?“

Są różne sposoby „wykiwania“ cenzorów. Za czasów carskich pisarze rosyjscy krytykując i potępiając tyranie carów pisali o tyranii cesarów rzymskich i wschodnich despotów. Michaił Butaszewicz-Pietraszewskij opracował słownik polityczny, w którym pod pozorem wyjaśnienia znaczenia słów zastosował skuteczną propagandę antycarską. Brak wykształcenia i głupota cenzorów też walczyły w objęciu cenzury. Były wypadki nieprzepuszczenia przez cenzurę książek naukowych z dziedziny matematyki tylko dlatego, że było w treści dużo kropek. Podejrzewano, że stanowią one szyfr. Z drugiej strony cenzura przepuszczała książki o treści niezmiernie szkodliwej dla carskiego reżymu, wskutek niezrozumienia przez cenzorów ich treści. (Np. „Kapitał“ Marksa). Byli niewątpliwie tacy cenzorzy, którzy świadomie pozwalali na druk „trefnych“ książek. Cenzor bowiem (nawet listów) czytając logiczne i mądre wywody przeciwników reżymu, któremu służy, nabiera z biegiem czasu tych samych poglądów i przekonań, które są wyrażane w materiale przez niego cenzurowanym i w duchu sam staje się rewolucjonistą i wywrotowcem. Dla chleba prostytuuje się nadal, ale to jest inna sprawa. Stanowi to jednak potencjalne niebezpieczeństwo i zagrożenie systemu i reżymu bolszewickiego jako pięta Achilleusa, na której zneutralizowanie nie ma rady i sposobu.

Nie było jednak wypadku, aby przez cenzurę w jakimkolwiek kraju „socjalistycznym“ przeszła dotąd książka o treści tak wyraźnie, surowo i bezwzględnie krytykującej bolszewicki system polityczno-społeczny i jego teoretyczne go twórcę.

Wprawdzie Schaff pisze o sobie, że jest fanatycznym i czystej krwi marksistą oraz że marksizm jest najwięk-

szym i najwspanialszym osiągnięciem ludzkości w skali światowej, a o Marksie, że był największym geniuszem na przestrzeni dziejów i że chodzi mu tylko o obronę czystej nauki o marksizmie, aby ten nieprześcigniony „izm“ nie skostniał i nie zeszytniał, lecz jego niezrównane zasady rozwijały się i kształtowały się zgodnie z duchem czasu i postępem. Marks bowiem nie będąc prorokiem, nie mógł wszystkiego przewidzieć, co z biegiem czasu już nastąpiło i nastąpi w przyszłości. Pisząc to musiał jednak Schaff liczyć się z tym, że nawet człowiek najbardziej powierchownie znający doktrynę Marksa zauważy, iż obala on w ten sposób nie tylko mit, lecz również główną zasadę i ostoję marksizmu, a mianowicie doktrynę determinizmu materialistyczno-historycznego, będącego jedną z podstawowych i zasadniczych filarów kanonów wiary marksistowskiej.

Takie „bujanie gości“ nie mogło oczywiście wprowadzić w błąd nawet najbardziej tępego cenzora, a inteligentny cenzor, ewentualnie dzielący poglądy Schaffa, nie zaryzykowałby utraty posady wskutek niemożliwości wytłumaczenia się, iż nie rozumiał treści książki, która jest aż nazbyt wyraźna i jasna. Zresztą twierdzenie, że geniusz pisał utopijne bzdury wygląda na kpiny ze zdrowego rozsądku. W każdym razie za czasów Stalina, a nawet Chruszczowa książka ta nigdy nie ujrzała by światła dziennego.

Z powyższych przesłanek nasuwa się wniosek, że nastąpi ogromne przemiany w świecie komunistycznym i to co było dotąd „nieodwracalne“ zgodnie z doktryną o determinizmie materialistyczno-historycznym Marksa staje się odwracalnym w drodze szybkiej postępującej ewolucji, która jest tolerowana przez kapłanów wiary marksistowskiej.

Schaff daje do zrozumienia, że wolne i nieskrępowane badania marksizmu i jego swobodny rozwój przyczynią się do ułatwienia i przyspieszenia „budowy socjalizmu“, a potem, po wykonaniu tego trudnego i kosztownego zadania, „budowa komunizmu“ nie będzie następcza wielkich trudności. Pozostaje jednak fakt, że obecnie w Polsce „buduje się socjalizm“ w całkowitym oderwaniu od doktryny i nauki Marksa. Socjalizm ten bowiem ma wszelkie znamiona feudalizmu.

Poza wydaniem i stosowaniem w praktyce typu feudalnego ustawy o użytkowaniu wieczystych gruntów państwowych przez osoby budujące na nich domy***) przymusowe dostawy produktów rolnych przez chłopów dla państwa są podobne do świadczeń dla pa-

***) Por. mój artykuł w „Orle Białym“ Nr. 32 z 1967 roku.

nów feudalnych. Ten sam charakter mają tzw. „czyny społeczne“, polegające na bezpłatnej pracy przymusowej dla bolszewickich panów i władców. Ostatni 5-letni plan gospodarczy z roku 1965 r. przewiduje wartość „czynów społecznych“ na z górą 17 miliardów złotych, który niewątpliwie będzie wykonywany, a może nawet przekroczony.

Inny aspekt, wiele mający wspólnego z feudalizmem ma ustawa z dnia 1 stycznia 1966 r. o reorganizacji Gromadzkich Rad Narodowych. Ustawa ta nakłada na zwierzchność Gromadzką ciężar i obowiązek wymiaru i ściągania od chłopów, globalnie wyznaczonych przez państwo, podatku gruntowego, należności Państwowego Funduszu Ziemi, funduszu gromadzkiego, opłat elektrycznych, melioracyjnych, składek na rzecz Państw. Zakładu Ubezpieczeń i podatku od nieruchomości. Przepisy te żywo przypominają instytucję „obszczyzny“, czyli wspólnoty wiejskiej za czasów carskich w Rosji. Ma to wydźwięk bardzo niepokojący i złowrogi.

We wstępie do swej książki Schaff pisze, że obecne jej wydanie jest skrótem jego większej pracy pod tym samym tytułem. Chodziło mu o to, aby po usunięciu treści teoretycznej szerszy ogół społeczeństwa mógł ją łatwiej zrozumieć. Wiadomo jest jednak, że pierwsze wydanie zostało natychmiast wycofane po pojawieniu się książki na półkach księgarskich, wskutek tego iż zawierała za dużo obrazoburstwa i herezji. Na początek wystarczy to, co wydrukowano w skróconej wersji. Jeżeli nie nastąpi w przyszłości zamrożenie tej dość obfitej odwilży, prawdopodobnie dowiemy się niebawem więcej ciekawych rzeczy o prorokach marksizmu i wstępcach ich wyznawców z ust tych, którzy już utracili lub utracą wiarę.

Jeżeli odwilż będzie dalej trwała, wywrze ona niewątpliwie wpływ na układ stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych w kierunku większej liberalizacji i modernizacji. Nie wykluczone jest też, że prądy zmierzające do feudalizacji kraju nie tylko zostaną zahamowane, lecz nawet rozwijający się obecnie feudalizm zostanie zastąpiony czymś lepszym, nowocześniejszym i bardziej ludzkim. Przecież Schaff ustawicznie wysuwa postulat ochrony godności człowieka i jego indywidualności. Chodzi mu o to „by w umysłach ludzi socjalizmu utrwaliła się zasada, iż człowiek jest dobrem najwyższym...“ Tak nikt, nigdy dotąd nie pisał w krajach opanowanych przez bolszewików. Pisano tylko o dobru ogółu, którego człowiek, jako nie mający własnego oblicza, miał być jedną ze składowych części.

Aleksander Stambrowski

JAŃ ADAMSKI

B.D.I.C

INFILTRACJA WROGIEJ IDEOLOGII W SZEREGI PARTYJNE

W ciągu lutego br., odbyły się w całym kraju tzw. wojewódzkie, partyjne konferencje sprawozdawcze. Zgodnie ze statutem partii, konferencje odbyć się muszą co dwa lata, a na porządek dzienny składają się: sprawozdanie pierwszego sekretarza wojewódzkiej egzekutywy partii, dyskusja i wybór nowych władz na następne dwa lata.

Celem tych konferencji jest przegląd osiągnięć w dziedzinach, gospodarczej, politycznej, socjalnej i kulturalnej, przy czym główny nacisk położony jest na wyniki w dziedzinie uświadczenia ideologicznego, a tu właśnie pierwszy sekretarz musi się przyznać samokrytycznie do niedociągnięć, podać ich przyczyny i podać, w jaki sposób zamierza braki naprawić.

Sprawozdania z konferencji, zamieszczone w prasie, zawierają zawsze pełny tekst przemówienia pierwszych sekretarzy, mało natomiast można się z nich dowiedzieć o przebiegu dyskusji i krytycznych uwagach delegatów.

Kierownictwo partii przywiązuje do tych konferencji wielką wagę, bowiem na każdą z nich deleguje albo członków Politbiura albo sekretarzy centralnego komitetu. Ich przemówienia, zawierające wytyczne polityki partii zamieszcza prasa w całości.

Okres przed konferencją jest dla egzekutywy okresem wielkiego niepokoju, bowiem od jej wyniku zależy egzystencja, na dalsze dwa lata, wszystkich odpowiedzialnych, dobrze płatnych aparatczyków partyjnych. Pierwszy sekretarz, niezależnie od utraty stanowiska, na którym dyryguje on, a nie przewodniczący wojewódzkiego prezydium rady narodowej (wojewoda) całym województwem, może utracić i mandat poselski, wpływ i diety poselskie, a jego podwładnym sekretarzom grozi przeniesienie „do produkcji“. To też w swoich sprawozdaniach starają się przedstawić wyniki w jak najlepszym świetle, a jeśli krytykują pewne zjawiska ujemne, to powtarzają krytykę wyrażoną już wcześniej przez kierownictwo partii.

INFILTRACJA OBCEJ IDEOLOGII

Na tegorocznych konferencjach sprawozdawczych, zarówno członkowie władz naczelnych partii jak i pierwsi sekretarze podnieśli w swoich przemówieniach jako główną przyczynę niepowodzenia akcji, zmierzającej do zdobycia

„serc i umysłów“ dla polityki partii: infiltrację wrogiej ideologii w szeregi partyjne. Wprawdzie ta przyczyna jest już dziś tak stara, jak sama partia, niemniej stanowi ona dowód, że partia do tej pory nie mogła uporać się z tym groźnym niebezpieczeństwem, które zagraża jednoci partii. A z przemówień wynika jasno fakt, że w miarę, jak partia rośnie liczebnie, w jej szeregach wzrasta brak dyscypliny, rosną nieporozumienia i rośnie liczba wydalonych z partii albo za brak zainteresowania sprawami partyjnymi, albo za czyny kolidujące z etyką partyjną, albo z przepisami prawa karnego.

Trudno, oczywiście, zrozumieć, w jaki to sposób infiltracja wrogiej ideologii wpływa na wzrastającą liczbę popełnianych przestępstw gospodarczych, o których mówią sprawozdania głównej komisji kontroli partyjnej, na rozpanoszenie się kliki kacyków partyjnych, przekupstwo i kumoterstwo, zwłaszcza, że podobne zjawiska obserwuje się we wszystkich krajach demokracji ludowej, nie wyłączając związku radzieckiego, służącego im jako model.

Widocznie, sytuacja wewnątrz partii musiała ulec znacznemu pogorszeniu, skoro na konferencji sprawozdawczej w Krakowie, czołowy jej ideolog, Zenon Kliszko podkreślił z całym naciskiem, że od podniesienia na wyższy poziom działalności ideowo-wychowawczej wśród społeczeństwa, a szczególnie młodzieży, zależy przyszłość narodu, kraju i państwa i jego miejsce w Europie. Podstawowym kapitałem marksistowsko-leninowskiej partii jest, według Kliszki, ofiarność i całkowite oddanie się sprawie socjalizmu. Toteż partia nie uznaje różnic w poglądach na podstawowe założenia programowe i ideologiczne. Jedność ideologiczna obowiązuje wszystkich członków partii, jeśli chcą działać w jej szeregach.

A na konferencji sprawozdawczej stołecznej egzekutywy partyjnej, sam Gomułka przypomniał delegatom, że ośrodki wrogiej propagandy usiłują siać niewiarę w siły socjalizmu. Ośrodki te działają często przez różne organizacje społeczne, udzielając im milionowych subwencji. Stąd w walce z wrogą ideologią potrzebna jest większa ofensywność, potrzebna jest mocniejsza dyscyplina partyjna, ważne jest, aby partia i jej członkowie demaskowali metody wroga i jego fałszywe oblicze. Ale Gomułka również ujawnił, że ostatnio

wydalono z partii 52 członków, którzy zajmowali odpowiedzialne stanowiska kierownicze w administracji gospodarki narodowej.

W toku swego przemówienia Gomułka powrócił również do oklepanego tematu, do pomocy, jakiej kraje socjalistyczne udzielają narodowi wietnamskiemu w jego walce z imperializmem amerykańskim. Nie ujawnił, również i tym razem, że poza dotacjami, jakich udzieliły i udzielają Wietnamowi północnemu i tzw. partyzantom polskie związki zawodowe, Polska ludowa miała się zobowiązać do udzielenia temu krajowi pomocy w kwocie 30 milionów dolarów.

INFILTRACJA NIE TYLKO SPRAWĄ LOKALNĄ

Wydawałoby się, że wroga ideologia zagraża tylko w Warszawie i Krakowie. Jednak z przemówień innych członków kierownictwa partii, np. Wichy w Zielonej Górze, Jarosińskiego w Białymstoku, Szyra w Opolu, „żelaznego“ Waniolki w Lublinie, wynika, że i tam już wróg zdołał kraść się w szeregi partyjne. A zatem jak Polska długa i szeroka, od Bugu po Odrę i Nyse, wróg działa w partii od wewnątrz.

Spośród przemówień członków kierownictwa partii, niektóre zasługują o tyle na wzmiankę, że ilustrują one mentalność mówców. Tak np. w Zielonej Górze, Wicha oświadczył że zapewnienie krajowi niezbędnej ilości zbóż i dalszy rozwój hodowli, zależeć będzie w dużej mierze od politycznej działalności instancji partyjnych, zaś Jarosiński w Białymstoku domagał się od tamtejszej egzekutywy doskonalenia metod politycznego kierowania gospodarką. Członkowie egzekutywy winni inspirować wszelką działalność gospodarczą, społeczną i kulturalną oraz kontrolować ją. Ale trzeba również walczyć z przejawami zła, bierności i karierowiczostwem, a ponadto, nie należy ingerować w szczegółowe załatwianie spraw, należących do władz administracyjnych.

Cenzura wyjątkowo przepuściła fragmenty przemówień niektórych delegatów; między innymi zwracali oni uwagę na trwonienie setek milionów złotych w inwestycjach, których z powodu pewnych braków nie wykańcza się, oraz na ignorowanie przez organizacje partyjne samorządu robotniczego. Jeden z delegatów wskazał na sytuację w niektórych państwowych gospodarstwach rolnych, gdzie na 100 hektarów użytków rolnych przypada tylko dwóch robotników. Stara kadra się wykrusza i nie ma dopływu młodych ludzi. W jednym tylko województwie białostockim jest 12 tysięcy gospodarstw indy-

widualnych, czekających na młodych ludzi, którzy powinni po rodzicach przejąć gospodarstwa.

GŁOS MAJĄ KIEROWNICY WOJEWÓDZKIEJ PROPAGANDY PARTYJNEJ

Przytoczyliśmy tenor przemówień sekretarzy wojewódzkich egzektyw i członków kierownictwa partii. Widocznie jednak, za aprobatą komitetu centralnego dopuszczono również do głosu kierowników propagandy, odpowiedzialnych nie tylko za liczebny wzrost szeregów partyjnych, lecz przede wszystkim za ugruntowanie wśród członków ideologii marksistowskiej. W marcowym numerze Nowych Dróg zabrali w tej sprawie głos główni propagandziści z Poznania, Łodzi, Koszalina, Opola i województwa warszawskiego.

Zebrań partyjne winny być szkołą partyjnego myślenia, pisze szef propagandy partyjnej w Poznaniu. Ale organizacje partyjne nie umieją zorganizować tych zebrań. Zebrania cechuje nastroj drętwy, albo milczenia. Za wiele czasu poświęca się sprawom gospodarczym i zawsze zabraknie czasu na omówienie spraw ideologicznych. Jednak, najsłabszym punktem w kształceniu ideologicznym jest fakt, że nie zdołaliśmy zbliżyć się do ludzi, zatrudnionych poza gospodarką narodową. Również i praca członków frontu narodowego i Ligi kobiet pozostały bez wyniku. Brak nam wykładów, a wykłady, tych, których nam się przysyła są albo za trudne do zrozumienia, albo pączną banalami.

Próbowaliśmy przekonać robotników, że ich praca jest nie tylko źródłem ich utrzymania, ale stanowi również wkład do naszego bogactwa narodowego, żali się sekretarz propagandy w Łodzi. Jednak nasze argumenty nie wywarły na słuchaczach wrażenia, a rezultat naszej pracy był minimalny. Udział ludności w naszych zebraniach kurczy się, piszą propagandziści z Warszawy i Opola. Nie potrafimy reagować szybko na wrogą propagandę kapitalistyczno-burżuazyjną. Szczególnie silny wpływ wywiera ta propaganda na młodzież, która jest bardzo dobrze zorientowana o życiu na zachodzie i usiłuje dostosować do niego swój styl życia; a już najsilniejszy wpływ wywierają tu filmy zachodnie, głównie amerykańskie.

Pytałem naszych chłopów, dobrych gospodarzy i ludzi uczciwych, dlaczego nie przystępują do partii, pisze szef propagandy z Opola. Ich odpowiedź była krótka: jesteśmy pracującymi chłopami i nie mamy czasu dla partii. Zresztą, partia chłopom nie pomaga.

A wreszcie, główny propagandzista z Koszalina, Baranek, usiłował tłumaczyć się wobec władz partyjnych, w

jaki to sposób on starał się podnieść atrakcyjność zebrań zwoływanych przez lokalne organizacje partyjne. I tak np. na zebraniach dla uczczenia tysiąclecia Polski, przedstawiono słuchaczom wielkie osiągnięcia Polski ludowej. Na innych zebraniach złożyliśmy hołd bohaterom Związku radzieckiego i podkreśliliśmy więzy braterstwa, łączące nasz kraj z krajem rad. Przypomnieliśmy, że zgodnie ze statutem partii, każdy jej członek winien być jej agitatorom i propagatorem jej programu politycznego. Co więcej, wsi Zakrzewo, najbardziej patriotycznej wsi w naszym województwie, która zdołała oprzeć się fali germanizatorskiej Rzeszy niemieckiej, nadaliśmy order Sztandaru Pracy. A mimo tych wszystkich wysiłków udział ludności w naszych zebraniach stale maleje.

W taki jednak sposób, przynajmniej jeden z szefów propagandy partyjnej, w swojej naiwności, wyjaśnił istotny powód malejącego zainteresowania ludności zebraniami, zwoływanymi przez partię. A w tym samym czasie Gomułka, a za nim i inni członkowie kierownictwa partii usiłują tłumaczyć to zjawisko, infiltracją wrogiej ideologii w szeregi partyjne.

Jan Adamski

NOWOŚCI!

Tom 141

BIBLIOTEKI KULTURY

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

Cena: £1.0.0, \$3.00

Tom 142

BIBLIOTEKI KULTURY

ALICJA

ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE

PEWNEGO ŻYCIA

Cena: £1.4.6., \$3.50

DEKOMPOZYCJA PARTYJNEJ POLITYKI KULTURALNEJ

DO ciekawszych zjawisk w wewnętrznych stosunkach rządzącej Polską partii należy bez wątpienia powołanie do życia we wrześniu ub.r. „Miesięcznika Literackiego“. Jego geneza jest wcześniejsza, wiąże się bowiem z krakowskim zjazdem Związku Literatów w grudniu 1965, na którym powstanie „ideowo-literackiego pisma“ zapowiedział T. Hołuj, dzisiejszy zastępca naczelnego redaktora „Miesięcznika“. Ważniejsze, że głównym animatorem i inicjatorem nowego wydawnictwa był członek politbiura Z. Kłiszko, który mówiąc — z racji zjazdu — o „inspirującej roli partii w literaturze“, wypowiedział się za stworzeniem pisma „poświęconego ideologicznym problemom polityki kulturalnej“.

„Z POZYCJI PARTII“

„Miesięcznik“ powstał więc z inicjatywy władz partyjnych, które najwidoczniej uznały, że cytowanego wyżej zadania nie spełniają lub nie mogą spełniać inne od dawna istniejące partyjne miesięczniki, a więc ani teoretyczny i polityczny organ KC PZPR „Nowe Drogi“, ani dla „niezaangażowanych“ głównie odbiorców redagowana przez J. Iwaszkiewicza „Twórczość“. Również tygodniki takie, jak „Polityka“ M. F. Rakowskiego czy „Kultura“ J. Wilhelmiego nie zadowalały partyjnych kierowników polityki kulturalnej, którzy chcą, aby pismo — jak czytamy w programie deklaracji „Miesięcznika“ — „walczyło przeciw reakcji międzynarodowej i własnej, niezależnie od tego, czy ubiera się w szaty nowoczesności czy tradycjonalizmu“. Pismo „pragnie kształtować socjalistyczną kulturę... z pozycji polityki partii i jej generalnej linii“, zapewniając, że model tej kultury „rodzi się równoległe do twórczej myśli naukowej i politycznej nowoczesnego komunizmu“. Użycie terminu: komunizm — jest interesujące w okresie, w którym pisma partyjne unikają raczej tego określenia.

Pismo redagowane przez kierownika radia warszawskiego i b. ministra kultury W. Sokorskiego, otrzymało więc od władz partyjnych polecenie ubojwienia polityki kulturalnej komunistów. Wystartowało — dodajmy — w okresie rosnącego niezadowolenia i fermentów w partyjnym środowisku literatów i intelektualistów oraz w przededniu tzw. kongresu kultury polskiej, z którym partia związała swoje nadzieje.

Minęło pół roku, mamy przed sobą siedem zeszytów „Miesięcznika“ (każdy

ok. 130 stron o nakładzie 15.800 egz. w marcu br.), warto więc szukać odpowiedzi na pytanie, jak nowe pismo wiązuje się z poruczonych mu przez władze partyjne zadań.

„SAMOKRYTYKA“

Dominantą dotychczasowej „produkcji“ ideologicznej „Miesięcznika“ jest niewątpliwie samokrytyka. Ta metoda należy — jak wiadomo — do żelaznego repertuaru dialektyki partyjnej. Taktyka tej metody — gdy komuniści omawiają zachodzące wewnątrz ich partii procesy — polega na swoistej rotacji ocen. Na pierwszy ogień idą oczywiście pochwały i apoteoza rozwoju, jakim cieszy się rzekomo ideologia marksizmu-leninizmu w społeczeństwie. Potem następuje ostrożna korekta tej apoteozy i wyliczanie błędów i braków w omawianym rozwoju. Gdy ta autokrytyka grozi przekreśleniem chwalonego przed chwilą dorobku ideologii, powraca się do gloryfikacji systemu, aby następnie podjąć na nowo samokrytykę. I tak w kółko.

Otóż to, co uderza w dotychczasowej kampanii ideologicznej „Miesięcznika“, to stanowcza, ostentacyjna — chciałoby się powiedzieć — przewaga samokrytyki. Równowaga w rotacji pochwał i przygan została zachwiana. Reprezentatywnym pod tym względem jest ten numer, który wydano w październiku ub. roku na otwarcie wspomnianego wyżej „kongresu kultury“. Najprawdopodobniej chodziło o wywołanie pewnego rodzaju wstrząsu wśród uczestników tego „kongresu“, któremu patronowała partia: spójrzcie, jak dalecy jesteśmy od stworzenia modelu socjalistycznej kultury...

Wieloletni i główny ideolog tego modelu p. S. Żółkiewski (w art. pt. Plan spożycia i model kultury) z naciskiem powtarza, że partii nie udało się wypracować wzorca takiej kultury. Polityka kulturalna PZPR jest „bez planu“, co gorsza, stanowi mechaniczną sumę chaotycznych poczynań, które wywołują nieustający kryzys tej polityki. Żółkiewski zresztą sam — jako planista kultury — jest pełen rozterki. Przyznaje mianowicie, że „rozwoju kultury nie da się zaplanować“, że dotychczasowy nadmiar sztywnego planowania zahamował twórczość, ograniczył bowiem wolność. Wśród tych sprzeczności stworzenia modelu „socjalistycznej kultury“ napotyka na nieprzewidywane trudności. Stąd eskapizm autora. Doradza uczestnikom „kongresu“, aby pod-

jęli „próbę skonstruowania modelu kultury polskiej w roku 1990-2000“...

Niemniej ostrym w samokrytyce jest żarliwy zwolennik interwencjonizmu literatury w kształtowaniu „socjalistycznej“ kultury, krytyk W. Maciąg, który w ślad za cyklem swoich artykułów o literaturze „Polski Ludowej“ w krakowskim „Życiu Literackim“ podjął w „Miesięczniku“ zagadnienie: „Czy literatura ma obowiązki?“. Literatura — głosi Maciąg — jest po prostu nieobecna „w toczącej się walce ideowej“, milczy, wyjałowiona i pozbawiona myśli oraz impulsów społecznych. Literatura w dzisiejszej Polsce to tylko rzemiosło i pokaz talentyzmu, to „hobby“ kilku tysięcy pięknoduchów i profesjonalistów. Pisarze nie mają odwagi „być ideologami, rewelatorami ukrytych niepokojów współczesnego społeczeństwa“. Literaturze odebrano przywilej przemawiania w imieniu społeczeństwa. Co gorsza, autorzy tłumaczą czytelnikowi, że konflikty światopoglądowe, moralne i obywatelskie w „Polsce Ludowej“, to w gruncie rzeczy abrakadabra „chaosu czy wręcz absurdu, że człowiek jest w szponach konieczności i pozostaje mu co najwyżej ironizować o wszystkim“.

URZĘDOWY OPTYMIZM

Jakże w świetle tych samooskarżeń, których nie szczedzą sobie partyjni mandaryni kultury wyglądają slogany propagandy, usiłującej przekonywać opinie polską i zagranicą o historycznych osiągnięciach komunistycznej polityki partyjnej?

Powstaje też pytanie, co temu skrajnemu pesymizmowi Żółkiewskiego i Maciąga przeciwstawiają optymiści w „Miesięczniku“ na powitanie „kongresu kultury“. Poeta Ernest Bryll w wierszu „Powrót“ sztydzi z literatury postromantyków, którzy jak Lenartowicz tylko „świerszczą“ lub jak Deotyma „pohukują w wierzbinię rymów“ i przeciwstawia im Norwida, który „uwierzył w mądrość wnuków“. Bryll sugeruje: „Cóż. Odgadł“. Należy się domyślać, że — według Brylla — Norwid „odgadł“ mądrość agentów Moskwy, którzy dziś z jej mandatu sprawują rządy w Polsce. Biedny autor „Fortepianu Szopena“, apostoł najgłębiej pojętego katolicyzmu, samotny, ezoteryczny poeta, wielbiciel Krasńskiego — w roli genialnego przepowiadacza mądrości Bieruta i Gomułki...

Inny optymista, J. Kossak w artykule pt. „Niepokój zachodniej kultury“, przeciwstawia biadaniom Żółkiewskiego

(i wielu innych „kulturologów partyjnych, jak np. J.J. Wiatr, Z. Bauman), skarżące się na „konsumpcyjne“ ambicje i predylekcje kulturalne dzisiejszego społeczeństwa w Polsce — materializm mieszczańskiego Zachodu, gdzie ilość wypiera jakość w kulturze, a dolar jest miernikiem sukcesu... Nie przekonywająca to pociecha, chociaż charakterystyka tendencji cywilizacyjnych na Zachodzie nie pozbawiona jest słuszności.

DEKOMPOZYCJA IDEOWA

Ale ta „zaangażowana“ w optymizm urzędowy poezja czy krytyka Zachodu — jest tylko marginesem. Samooskarżenia i gorzkie żale nad własną dekompozycją trwają nieprzerwanie w dalszych zeszytach „Miesięcznika“. Tonacja samokrytyki odzywa się raz po raz. Rozbrzmiewa w nawrotach do tematyki, podjętej dwa lata temu przez A. Schaffa (pokajanego — jak się zdaje — i pogodzonego już z partią, jak o tym świadczyłyby jego ostatnie artykuły w prasie PZPR), tematyki, dotyczącej pogromu osobowości ludzkiej w systemie komunistycznym. T. M. Jaroszewski w artykule pt. „Powrót do źródeł“ (nr. 4, 1966) domaga się wśród powodzi sloganów — „szans i możliwości pełnej realizacji marksistowskiego humanizmu“, „podjęcia ideowej dyskusji na temat perspektywy osoby i wspólnoty w dzisiejszym społeczeństwie“. Cóż bowiem stąd, że na Zachodzie obserwować można „depersonalizację życia jednostek“ poprzez kulturę masową, skoro „socjalizm“ w tej kulturze niczego lepszego nie ofiarowuje, przeciwnie — wykazuje „deformacje w rozwoju ruchu robotniczego“.

B. minister oświaty, W. Bieńkowski w artykule pt. „Czy jesteśmy zdeterminowani?“ (nr. 1, 1967), wskazuje, że krzyżowanie się sprzecznych, antagonistycznych wpływów wychowawczych na młodzież (szkoła-rodzina), narusza u niej wewnętrzną równowagę, wywołuje stany neurotyczne, frustrację, itp. Kierownik Ośrodka Metodycznego Nauk Politycznych prof. M. Żychowski w tym samym numerze „Miesięcznika“ (w artykule pt. „Polityka a nauka“) widzi wyjście z dekompozycji ideowej w wskrzeszeniu „przedmiotów ideologicznych“, przez samą partię ostro ongiś potępianych. Zabiegiem kosmetycznym ma być unaukowanie tych przedmiotów pod maską „podstaw nauk politycznych“.

LAMENT DESPERATA

Ale rekord w katastroficznej ocenie sytuacji, w jakiej znajduje się kultura w dzisiejszej Polsce osiągnął redaktor naczelny pisma W. Sokorski, w marcowym zeszycie „Miesięcznika“, w arty-

kule pt. „O co chodzi?“ Jest to już lament desperata. Nic tu nie pomaga wspomniana wyżej rotacja sądów, wplecione do ocen optymistyczne slogany o „izolacji wrogich (komunizmowi — S.M.) środowisk wewnątrz polskiego społeczeństwa“. Jak tłusta oliwa wylewa się na wierzech nie tylko posępny obraz skutków, które przynosi partyjna polityka kulturalna w Polsce, ale również rozczarowanie rozwojem sytuacji w całym świecie.

Zachód — czytamy — reprezentuje nadal przeważający potencjał gospodarczy. Stare nawyki myślowe, stare pojęcia polityczne i filozoficzne znajdują ciągle pożywkę w ekonomice państw zachodnich. „Stary świat“ rozwija się technicznie, udoskonala gospodarczo i skutecznie przeciwstawia się „dojrzeniu świadomości socjalistycznej“.

Te sprzeczne z przewidywaniami komunistycznych teoretyków pasywa w „bazie“, wywołują niepokojące autora następstwa w „nadbudowie“. Powstają trudności i spory w obozie komunistycznym. Zwątpienie i negacja rozbrajają „inteligencję twórczą“. W Polsce aktywnie wystąpił sojusznik „reakcji“ w „rewolucji przeciw państwu“: hierachia kościelna. Radiostacji monachijskiej „Wolna Europa“ dostają się od Sokorskiego cięgi za „zmiękczanie socjalizmu“, za jej marzenia i rachuby na dojsię do władzy tzw. dobrych komunistów. Najgorsze jednak, że w samej Polsce spotkać się można w środowiskach twórczych „z totalną negacją politycznej roli partii, demokracji socjalistycznej, z kwestionowaniem naszych osiągnięć w dziedzinie nauki i sztuki, kultury oraz awansu środowisk robotniczych i chłopskich“.

Jakież wyjście widzi Sokorski z tej trudnej, jeśli nie beznadziejnej dla partii — po 22 latach jej rządów — sytuacji kulturalnej? Autor jest bezradny. Wyjścia takiego — bez abdykacji

POPIERAJ FIRMY POLSKIE

A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI

U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdzie swojego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

z władzy — nie ma. Cóż więc pozostaje? Powrót do „dogmatyzmu“, do stalinowsko-bierutowego schematu, polegającego na totalnym negowaniu wolności. Sokorski oświadcza bez ogródek, powtarzając drętą mowę, jakże dobrze znaną od 1945 roku: wolności dla przeciwników reżymu nie ma i nie będzie, gdyż wolność taka oddawałaby władzę w ręce przeciwników komunizmu.

Aby zaś osłodzić tę surową prawdę, Sokorski robi dobrą minę do złej gry i z głupia frant pyta: „O co chodzi?“ — skoro „wolność“ może otrzymać każdy, kto stanie się wyznawcą marksizmu-leninizmu... Właśnie „o to chodzi“!!! — że do tego wyznawstwa poza garstką fanatyków, agentów obcych i oportunistycznych karierowiczów, nikt się w Polsce nie kwapi.

ROZKŁAD „NADBUDOWY“

Taki jest półroczny plon i dorobek ideologicznej walki, do której kierownictwo partii zmobilizowało i powołało do życia „Miesięcznik Literacki“. Jest to bilans zasługujący na baczną uwagę.

Samokrytyka, której — jak na razie — poświęcone jest przede wszystkim nowe pismo, może być świadectwem siły, ale również słabości. W moim przekonaniu, gdy do negatywnie wobec Rosji i komunizmu ustosunkowanego społeczeństwa dodać potęgującą się atomizację i dezintegrację wewnętrzną samej partii — samokrytyka ta obnaża bezsilę i postępujący paraliż narzuconego Polsce systemu.

Lektura „Miesięcznika“ jest pouczająca i upoważnia do jednego jeszcze wniosku. Rozstrzygnięcie padnie, jak słusznie zresztą przewidywano na zeszłorocznym „kongresie kultury“, nie na (ulegającej zresztą również rozstrojowi) „bazie“, tj. na gospodarczym fundamencie systemu komunistycznego, ale na obszarach „nadbudowy“, a więc w świecie wartości duchowych, bez których życie człowieka staje się bezsenssem, a których niewola polityczna i komunizm nie są zdolne dać społeczeństwu.

Stefan MękarSKI

OKRUCHY WSPOMNIENI^{B.D.I.C} „Z NIELUDZKIEJ ZIEMI“

WDZIĘCZNOŚĆ

TRABIONY przez prasę zachodnią liberalizm bolszewicki, ma trudną drogę do moich uszów. Wiadomości stamtąd przenikające przeczą niejednemu. Zdarzenie prawdziwe z r. 1939 zapewne niedalekie jest prawdy teraźniejszej, dotychczas tam stosowanej, że lepiej przyskrzynić stu niewinnych, niżeli zezwolić ujść jednemu winnemu. Szlachetniejsze ludzkie uczucia nie mają, jak i nie miały dostępu do bolszewickich bonzów.

Do przepelnionej celi nr. 52, w lwowskich Brygidkach wepchnięto w pierwszych miesiącach 1940 roku Bolesława C., nauczyciela z Worochty. Szkoła w której uczył stała tuż na granicy, od niej dzielił ją dosłownie jeden krok. Nie uciekał, nie poczuwał się do żadnej winy, przeciwnie spodziewał się raczej uznania i wdzięczności od bolszewików. W domu ojca jego, w Poroninie, mieszkał „Wielki Lenin“ i to zdawało się być tarczą dla niego. Wierzył, że aresztowano go przez omyłkę i po pierwszym przesłuchaniu zostanie zwolniony, gdy tylko odwoła się do przeszłości. Ufał bolszewickiej wdzięczności. Dobiął się o przesłuchanie, które jakoś nie nadchodziło i dla niego, jak i dla wszystkich innych dni wlokły się jednoznacznie, wśród brudu i coraz więcej panoszących się wszy i pluskiew. Posepniął nasz nauczyciel, twarz zaczęła się wydłużać, spadały z niej faldy tłuszczu, ubranie było coraz obszerniejsze. Ulęgę znajdował w opowiadaniu, jak to Lenin mieszkał u nich. Nosił się z tym od jednego towarzysza do drugiego, tak jak on zamkniętego bez określonych bliżej przewinień. Pocieszali go niektórzy, inni wyśmiewali jego naiwną wiarę w bolszewicką wdzięczność.

Nadszedł w końcu dzień, w którym wezwano go na przesłuchanie. Wrócił do celi po dwóch czy trzech godzinach, bez opuchniętej twarzy, ale przygaszony, ponury. Ciężko usiadł w swoim kącie, naciskany zewsząd pytaniami, zaczął opowiadać. Przesłuchujący go enkawudzista po spisanu jego rodowodu, zajęcia, różnych dat, kazał mu ówukrotnie powtórzyć wszystko co wiedział o pobycie Lenina w Poroninie. Przesłuchanie zakończył słowami — wot durak — i polecił odprowadzić go do celi. Opowiadanie swe powtarzał i w obecności jakichś wyższych bolszewickich figur. Kończyły się nieodmiennie wzruszeniem ramion obecnych przy przesłuchaniu, oraz typowym zwrotem przesłuchującego — wot durak

Przewieziono mnie na Zamarstynów

i jako wroga narodu poddano katowskim przesłuchaniom. Bez sądu zawędrowałem na Kołymę. Tam dowiedziałem się od współwięźniów, że i nasz nauczyciel podzielił mój los.

W czasie kampanii włoskiej natknąłem się na niego. Gradem rosyjskich przekleństw, gdyż te jedynie są najdosadniejsze, zlorzeczył bolszewickiej wdzięczności.

ZAMARSTYNÓW

W lwowskim byłym garnizonowym więzieniu przy ul. Zamarstynowskiej znalazłem się w celi 69, tzw. pojedynce, na której drzwiach jeszcze polska tabliczka głosiła 46 i pół metra sześciennego kubatury. Wtrącono mnie tam jako 33-go. Żelazny piec i „parasza“ kubel na nieczystości i odchody, zabierały wiele miejsca. Spaliśmy jak sardynki w pudełku. Na środku celi leżał powstaniec, staruszek Baczyński, znany we Lwowie, chodził w mundurze pułkownika, zawsze w kaloszach i z parasolem.

Jednego dnia rano strażnik bolszewicki nazywany przez nas Tyszyna, który gwar w celi uciszał słowami tysza, tysza, pukając do drzwi — wszedł do celi z kartką, wywołując więźnia na bukwę (literę) B.

Porucznik Barski, komendant celi podał swoje nazwisko. „Niet“ odparł strażnik. Podał nazwisko Buczyński paroch z Jarmoliniec, aresztowany wraz z dwoma córkami, za ugoszczenie prezydenta Mościckiego w czasie przejazdu przez jego wioskę. „Niet“ — wtedy podał swe nazwisko Baczyński. Strażnik zażądał od staruszka jego ubrania i koszuli. Zdziwiło nas to wielce i wywołało rozmaite komentarze.

Po dwóch czy trzech godzinach wszedł strażnik „Tyszyna“ przynosząc płk. Baczyńskiemu odprasowane ubranie i nalegając ażeby szybko się ubrał powiedział: „Idiosz na swobodu tolko do Rasjeji — dzieś Polszy nie budiet.“

Zaczerwieniony i zaperzony pułkownik, krzyknął: — „Durniu, ciebie nie było, a Polska była! Ciebie nie będzie, ale Polska będzie zawsze“.

K A L O S Z E

W Buchcie Nachodce, dokąd ściągnięto mnie z Kołymy, dla dalszego śledztwa, spotkałem się z sędzią lwowskim, który obdarzał mnie przyjaźnią już od Brygidek i Zamarstynowa.

Amnestią zwolniła nas 14-stu, z Buchty-Nachodki uraczeni przez bolszewików chlebem i śledziami, jechaliśmy

na południe do armii polskiej. Komendantem naszym był kapitan rezerwy, inżynier lwowskiego radia.

Znowu z tytułu przyjaźni opiekowałem się mało zaradnym sędzią i jak poprzednio jego dobrze wypchanym worem, z którego niczego nie uronił, choć krył pożądliwe skarby: ubranie, bieliznę i trzy pary mocnych butów.

Dokument podróży upoważniał nas do korzystania z bolszewickich stołówek stacyjnych, do miski jagieł i kromki chleba. Pociąg włócił się wolno, stolówki były rzadkie. Przy postojach pociągu, odważniejsi rozbiegali się po pobliskich chałupach w poszukiwaniu pożywienia. Wracając z takiej wyprawy, zgubiłem buty, dopędzając ruszający pociąg. Buty z samochodowych opon powiązanych drutem były wytworem wysokiej bolszewickiej techniki.

Zguba zmusiła do jęklivych błagań sędziego o buty. Po długim namyśle, sędzia wyjął z wora kalosze i podając zaznaczył z naciskiem, że je tylko pożyczycza. Przysięgłem solennie zwrócić.

W drodze ulotnił się nasz patron-komendant, wołał widocznie podróżować bez kłopotów z myszkującą za żerem niesforą bandą. Pozostaliśmy jak rozbitki, bez chleba i wody na przestworzach bolszewickich. Bez żadnych dokumentów, narażeni na powtórne zesłanie do łagrów, wyteżaliśmy spryt, by uniknąć kontroli. Postanowiliśmy dobrać do jakiejś placówki polskiej, w poszukiwaniu ratunku. Dowiedzieliśmy się o naszej delegaturze w Akmolesku. Wydostawszy się chyłkiem ze stacji rzuciliśmy się na poszukiwanie tej Mekki. Głód doskwierał, więc z radością przyjąłem propozycję obywatela bolszewickiego kupna moich błyszczących kaloszy. Nabywcą był wysiedlony wykładowca uniwersytetu kijowskiego. Dał 500 rubli i swoje stare chodaki. Kupiliśmy chleba do syta.

Przy transakcji nie było jednak sędziego, chleb jednak dostał.

W delegaturze nowy zawód, zaciąg do wojska wstrzymany. Udając specjalistów różnych broni, po wielu trudach uzyskaliśmy skierowanie Wojenkomatu do Buzułuku. Sędzia chory pozostał w Akmolesku.

Odwieszony i umundurowany pełniłem pewnego dnia służbę, gdy przybył nowy transport, w nim sędzia. Przygody z ucieczką naszego komendanta, jak i przejeżdżenie kaloszy sędziego rozniosły się już szeroko. Poszukałem sędziego, ale miast serdecznego, przyjacielskiego powitania, padło z ust sędziego groźne pytanie; Olek, gdzie moje kalosze? „Zjadłeś je wraz z nami!“ Odpowiedź moja wywołała ogólną wesolość, chociaż oblicze sędziego zasępiło się po tak wielkiej stracie.

Aleksander Moroz

PRZYGODY UCZNIA WITA STWOSZA

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

NA INSTYTUT IM. SIKORSKIEGO

„Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Stanisława LISA, zgodnie z wolą wdowy p. Heleny Lisowej, złożyli następujące ofiary na Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego:

Brodzka Katarzyna 5,00 F., dr Chowaniec Czesław 30,00 F., Czarnecki Marian 20,00 F., Domański Stanisław 20,00 F., Gordowski Władysław 20,00 F., Kossowski Józef 10,00 F., Krupiczka Tadeusz 30,00 F., Paczyński Jadwiga i Stanisław 30,00 F., inż. Serafiński Jan 20,00 F., Tysowscy Urszula i Gustaw 30,00 F., dr Wilczek Rudolf 30,00 F..

Razem: 245,00 F., a równowartość w kwocie £18.00 przekazano na Instytut Historyczny im. gen. W. Sikorskiego.“

Teatr dla dzieci i młodzieży „Syrena“ jest bodaj najbardziej twórczym warsztatem scenicznym jaki mamy na emigracji, biorąc pod uwagę ciągłość jego przeszło 5-letniej pracy i dorobek 15 premier — jak to nam podał w przemówieniu wstępnym dr W. Czerwiński, przewodniczący Rady Artystycznej teatru. Mając do czynienia z pozornie łatwą, a w istocie nieuchwytną widownią, kroczy on od jednego przedstawienia do drugiego zwycięsko zmagając się z podwójnymi trudnościami: swego tworzywa twórczego i materialnymi, pod świadomym swego celu kierownictwem artystycznym i reżyserkim R. Kowalewskiej. Tym razem osnowa opowieści o „Wielkiej przygodzie małego Wawrusia“ osnuta na powieści „Historia żółtej cizemki“ Antoniny Domańskiej (niesprawiedliwe kompendia nie podają nazwisk klasyków naszego dzieciństwa) w adaptacji Jadwigi Otwinowskiej była na scenie Teatru Rudolfa Steinera źródłem największych kłopotów, jakie sprawa przejście od epickiej narracji do dramaturgii. Wielkiemu charakterowi autorki adaptacji scenicznej, jej pedagogicznemu doświadczeniu i wyrobieniu pisarskiemu przypisać można osiągnięcie wyniku zadowalającego. Godzi on bowiem wierność osnowie przygód pastuszka Wawrusia, w wyniku których staje się utalentowanym uczniem mistrza Wita Stwosza, z wymaganiami akcji dramatycznej i barwności widowiska.

Po przydługiej ekspozycji, którą wypadałoby streścić i ruchowo ożywić, widowisko uzyskuje chwalebne tempo z chwilą wkroczenia na scenę niedźwiedzia, zbójców czy linoskoczków, wznosząc się, aż do monumentalnej sceny końcowej przedstawiającej dwór i obraz Wita Stwosza, przy dźwiękach „Zdrowaś Maria“ z opery „Wit Stwosz“ Ludwika Philippa, odśpiewanej przez S. Pieczorę, seniora. Jest to szczytowe, osiągnięcie scenograficzne F. Matyjaszkiewicza. Wielką pomocą w oddaniu właściwej atmosfery epoki są kostiumy projektowane i wykonane przez Jadwigę Matyjaszkiewiczową. Składają się też one na dyskretne wprowadzenie młodej widowni nie tylko w tajniki historii nieznanego im z własnego oglądu Kraju, ale i w tajniki historii sztuki. Niezbędny zastrzyk elementu ruchowego w tym widowisku jest zasługą choreografii Janiny Jakubówny, która też bierze na siebie niejednokrotnie wykonanie swoich pomysłów, jak tu w wypadku Niedźwiedzia i Grzegorzowej.

Teatr emigracyjny w ogóle, a dla młodzieży w szczególności, musi wykazywać niezwykłą pomysłowość, aby odpowiednio dobrać obsadę aktorską dla swych widowisk. Jak można to było zauważyć na przedstawieniach omówionej poprzednio „Pięknej Lucyndy“, tak też i tutaj, u „Małego Wawrusia“, ma się do czynienia z niespodziewanymi „odkryciami“. Nie mamy tu na myśli utalentowanego Marka Pieczory (Wawrusia), który porywał już widownię na poprzednim widowisku, i tu znów się bardzo dobrze spisał, ale małą Zosię Treszkównę (Królowę), Ewę Lohman (Margosię), obok Rysia Renkawicza (Jaśka) i Kiki Somkowiczówny (Kozę). Cenny jest udział tak wytrawnej aktorki jak Barbara Reńska (Matka) i wyszkolonego aktora K. Youriewskiego (Wit Stwosz), którego swobodą na scenie była na granicy przerysowania postaci, wreszcie Michała Kiersnowskiego (Organista i Strażnik). Nie sposób omówić gry wszystkich 24 uczestników widowiska i trzeba poprzestać na ich wymienieniu: był więc Benon Łastowski (Ojciec), Bogusław Kucharz (2-gi Zbójca), Jacek Rumun Grzegorz, Artur Rynkiewicz (Kielbasiarz i Król), Irena Kowalewska (Kondusia), Wiola Hala (Wikcia), Andrzej Kamiński (Długosz), Jerzy Senko (Stanko), Marek Barański (Strażnik), Henryk Żurawiel i Bogumiła Kłakówna nie wymienieni uprzednio członkowie orszaku.

O ogromie pracy i poświęcenia wymaganego od wszystkich uczestników, jak również od rodziców młodocianych aktorów, świadczy fakt, że do zgrania tej całości trzeba było aż tyle różnorodnych elementów scenicznych. Ponadto trzeba jeszcze wspomnieć o akompaniamentie organowym B. Czaplickiego, i technicznym nagraniu O. Lisiewiczowej, jak również o bardzo ważnych efektach świetlnych A. Gołębińskiego i J. Jasika, licznych rekwizytach pod opieką p. H. Mielżyńskiej. Bardzo skomplikowana organizacja znajdowała się w rękach Zarządu „Syrena“ pod przewodnictwem T. Sulatyckiego. Dla sprawiedliwości trzeba dodać, że z pomocą lokalową na próby przyszło S.P.K. i Polski Ośrodek Młodzieżowy.

Na gorzką pociechę „Syrena“ można by dodać, że uznając niezwykłą wagę tej postaci teatru dla młodzieży, czynniki brytyjskie postanowiły w tym roku przeznaczyć na jego odpowiednik angielski niebagatelną sumę £100.000. Jakie cuda wyrabiałaby „Syrena“ za — powiedzmy — jedną dziesiątą tej sumy?

J. Ostrowski

Z RÓŻNYCH DZIEDZIN

B.D.I.C

PAPIEROWE UBRANIA

Wkrótce będziemy nosić papierowe ubrania. Będą one kombinacją amerykańsko-francusko-angielską. Amerykanie wynaleźli papier, Francuz opracował projekt modelu, a londyńska fabryka przystąpiła do produkcji papierowych ubrań. Pomysł tego rodzaju ubrań wzbudził duże zainteresowanie, a zarazem wątpliwości. Wyobraźmy sobie sytuację, w której komuś takie papierowe wdzianko nagle pęka na dwie połowy w czasie przyjęcia, albo co będzie, jeśli ktoś niebacznie zbliży się zbyt blisko cudzego papierosa? Na szczęście, takie rzeczy bierze się pod uwagę. Papier będzie zawierał substancję opóźniającą palenie się, tak że w najgorszym wypadku papieros wypali tylko dziurę, również nie trzeba będzie obawiać się, że poły ubrania rozerwą się łatwo.

Jedyną trudność stanowi kolor. Na razie nie można jeszcze osiągnąć deseni o mocnym kolorze. Koszt sukni wieczorowej wyniesie około 25 szylingów. Kolorowe sukienki letnie będą kosztować około 12 sh., a strój dziecięcy ok. 5 sh. Oczekuje się, że sukni papierowej będzie można użyć przeciętnie trzy razy. Przystąpiono już do fabrykacji papierowych kamizelek, które będą miały zastosowanie przy pracy w chłodnej temperaturze, gdyż mają one lepiej chronić przed zimnem.

Wkrótce także pojawią się meble papierowe, które będą niepomierne tańsze od drewnianych i metalowych. Np. wygodny fotel będzie kosztować około £2.10.0.

LUDZIE I PROTEINY

Świat, w którym żyjemy cierpi na niedostatek żywności. Co najmniej 300 milionów ludzi przymiera głodem i każdy dzień przynosi około 10.000 zgonów z tego powodu. Zaludnienie globu naszego wyraża się cyfrą ok. 3.250 milionów i wzrasta o 200 tysięcy dziennie. Według ostatnich ocen w roku 1995 ludność ziemi osiągnie 6.500 milionów.

Z tej statystyki wynika, że pod koniec tego wieku zagadnienie wyżywienia ludności ziemi będzie sprawą nie do przezwyciężenia. Można przyjąć, że postępujące w takim stopniu zagęszczenie ludności musi doprowadzić do masowego głodu, epidemii, których medycyna nie potrafi opanować albo do totalnej wojny. Dla uniknięcia tych nieszczęść musi nastąpić nie później niż na początku XXI. wieku ścisła kontrola urodzeń.

Nawet wśród pesymistycznych demografów panuje przekonanie, że tego rodzaju kontrola jest możliwa i realistyczna.

W niektórych państwach została już wprowadzona w życie. W Japonii np. przyrost ludności w latach 1947-55 zmniejszył się o połowę. Kontrola przyrostu naturalnego w skali światowej będzie wymagała bardzo energicznej akcji.

Jakiegokolwiek kroki będą przedsięwzięte w niedalekiej przyszłości, znawcy twierdzą, iż w ciągu najbliższych 40 lat produkcja musi zwiększyć się czterokrotnie, aby sprostać potrzebom.

PLASTYCZNE ZĘBY

W Stanach Zjednoczonych prowadzi się prace nad zastąpieniem stosowanych sztucznych szczek przez zęby pla-

styczne. Dr Milton Hodosh, lekarz dentystryczny Brown Unieversity, twierdzi, że otrzymał doskonałe rezultaty stosując materiał zwany polymethylmethacrylate. Zęby plastyczne wszczepione w łożysko naturalnego zęba nie powodują żadnych szkodliwych następstw. Funkcjonują dobrze i nie budzą zastrzeżeń z estetycznego punktu widzenia.

GÓRY I DŁUGOŚĆ ŻYCIA

Fizjologowie odkryli, że ilość długolatków wzrasta w miarę, jak z równin posuwamy się w górę. Tak np. w Azerbejdżanie w okręgu Nagorny Karabakh (wysokie pasma górskie, szybkie rzeki i źródła mineralne) procent ludzi w bardzo podeszłym wieku jest trzykrotnie większy niż przeciętnie.

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego: A. Pomorski

Rp.
Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data: Poznań 2.1.1966
Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

Autor tej rubryki pragnie na wstępie uprzedzić czytelników, że na życzenie Redakcji będą oni musieli rozstać się z dawną postacią tej rubryki. Zamiast możliwie pełnego przeglądu wydarzeń kulturalnych polskiego Londynu pismo pragnie mieć mniej szczegółowy i bardziej selektywny rzut oka na ważniejsze zagadnienia bieżące. Na końcowym etapie 45-letniej nieprzerwanej działalności dziennikarskiej, po 25 latach pracy w piśmie i 15-latach nieprzerwanego prowadzenia kroniki, najpierw tygodniowej a potem miesięcznej, autor jej musi zamknąć ten okres pracy. Podejmuje on próbę prowadzenia nowej rubryki w przeświadczeniu, że nadal tego zadania nikt nie byłby gotów się podjąć.

PLASTYKA: W nieustającej powodzi bieżących wystaw plastycznych uwypuklić należy pokaz rysunków pt. „Z teki londyńskiej“ inż. arch. Jerzego Faczyńskiego w sali Polskiej YMCA. Nazwisko to znane jest czytelnikom „Orla Białego“ z zamieszczanych na jego łamach reprodukcji rysunków. Stanowią one chlubną kontynuację wielkich tradycji artystycznych polskiej twórczości architektonicznej, której szczytowym przedstawicielem był Stanisław Noakowski. Faczyński ma poza tym w dorobku swej przeszło 20-letniej działalności w W. Brytanii rekordową liczbę 39 kościołów zaprojektowanych i wybudowanych w Walii, Lancashire, Dorset, Cheshire, a kościół w Leyland N.M.Panny zdobył mu powszechne uznanie. Działalność jego dopiętnia liczne dzieła sztuki zdobniczej, witraże i płaskorzeźby. Podobno próbuje też swych sił w poezji. Zebranych na otwarciu gościom przedstawili artystę dwaj jego koledzy: inż. arch. W. Rago, podnosząc chlubny poziom polskiego wyższego szkolnictwa w zakresie architektury w porównaniu z miejscowym, i art. mal. prof. M. Bohusz-Szyszko, który mówił o walorach plastycznych jego rysunków.

K. Pacewicz, twórca teki poleskiej, pod pseudonimem Augustus Pack wystawił cztery obrazy w National Society Gallery i jeden w Cassell Gallery, co jest małym ułamkiem jego bogatego dorobku. Ulubioną jego tematyką są z wielką delikatnością oddane widoki jego kraju lat dziecińczych. Wystawa K. Burchardtowej i S. Witorzeńcowej w zacisznej Richmond Hill Gallery pozwoliła ocenić męski rozmach jednej malarki i kobiecą delikatność drugiej, przy wspólnym wielkim poczuciu koloru i kompozycji.

Po wystawie w Barrett Gallery Danuta Gierc (-uszkiewiczówna) miała piękny pokaz swych nowych prac o wzbogaconej romantyczności ujęć w sali Domu P.O.S.K. (dawniej Techników). Na kiermaszu w sali kościoła św. Andrzeja Boboli rozchwytywano jej artystyczne pisanki wielkanoce. W „Doctor's Re-

staurant“ odbył się pokaz prac M. Spasowicz wespół z F.V. Clakke. Niewątpliwie największym liczbowo pokazem plastyków emigracyjnych była wystawa Zrzeszenia Plastyków Polskich w Cassell Gallery. Złożyło się na nią 66 prac 31 artystów, w tym 13 kobiet, dających syntetyczny obraz plastyki emigracyjnej, choć bynajmniej nie wyczerpując listy najbardziej znanych malarzy i rzeźbiarzy polskich w Londynie. Niemal równocześnie odbywała się wystawa współczesnej grafiki polskiej z Kraju w Reed House na Piccadilly, również bardzo bogato obelana. Dział ten musimy zamknąć wzmianką o otwarciu przez F. Marynowicza wystawy poświęconej prac fotograficznym Ludwika Mellerera w Polskiej YMCA, bardzo charakterystycznej dla tzw. polskiej fotografii na emigracji.

ODCZYTY: Na przelomie między życiem plastycznym a intelektualnym wyrażającym się w ruchu odczytowym postawić należy wieczór w ramach „Spotkań posoborowych „PKSU“ „Veritas“, na którym prof. M. Bohusz-Szyszko z wielką swadą i znajomością tematu mówił o „Sztuce religijnej a współczesności“. Poważny udział przedstawicieli duchowieństwa świadczy o tym, jak żywe jest to zagadnienie i jak pogłębia się ściśle katolickie życie intelektualne. Innym przejawem tego był odczyt prof. A. Jonschera, wybitnego fizyka młodszego pokolenia, który w sali ratusza na Ealingu mówił nt. „Potrzeby świadomej postawy świeckich w Kościele“. Na poprzednim wieczorze z tej serii p. S. Dobrostański przedstawił „Prawdę o całunie turyńskim“.

Z zalegających omówień odczytów Polskiego Tow. Historycznego na pierwszym miejscu należy wymienić cykl płk. K. Czachowicza o „Wojnie Napoleońskiej“. Najpierw omówiono „Genezę i zasady“, a potem „Planowanie i dowodzenie“. A w Kole W.S.Woj. referent przedstawił „Wojskowość mongolską“. Na zebraniu „Broń i Barwa“ płk. B. Mincer mówił o odznakach wojska polskiego. Na 11 marca przypadł odczyt urządzony przez Instytut Józefa Piłsudskiego w „Ognisku“ prof. T. Ko-

marnickiego pt. „J. Piłsudski i polska racja stanu“. Kolejne zebranie P.T.H. poświęcone było odczytowi p. J. Weinsteiny pt. „Łowcy archiwów w II wojnie światowej“. Znacznie wcześniej odbyło się zebranie, na którym prof. R.L. Lewitter z Cambridge w formie wykładu uniwersyteckiego mówił nt. „Traktat wiedeński 1719 r. i próby powstrzymania ekspansji Piotra I.“ Na zebraniu zaś P.T.N. zamiast referatu prof. dr L. Kosa-Rabcewicz-Zubkowskiego pt. „Wybitni Polacy w Kanadzie XVIII i XIX w.“ z powodu nieprzybycia prelegenta do Londynu sekretarz wydz. humanistycznego dr J. Żmigrodzki dzielił się swymi wrażeniami z kilkuletniego pobytu w Kanadzie. Przewodniczył prof. J. Gawenda.

Związek Pisarzy Polskich rozpoczął cykl wieczorów poświęconych twórczości ośrodków zamorskich. Zaczęto „Wieczorem polskiej prozy i poezji z Ameryki Łacińskiej“. Przewodniczyła T. Lisiewicz, a p. I. Bielatowiczowa podała sylwetki A. Bobkowskiego, F. Czernyszewicza, W. Gombrowicza, J. Jennego, J. Kossowskiego, C. Straszewicza, J. Surynowej-Wyczółkowskiej i J. Woszczyzna. Utwory ich czytali: B. Reńska i uczniowie Warsztatu Teatralnego ZASP, K. Koziełłowa, J. Gąsiorek, H. Żurawiel i Z. Kołodziejki. Ten trochę przeładowany, ale nie mniej pożyteczny wieczór był dobrze skomentowany i interpretowany. Największy oddźwięk u słuchaczy mieli A. Bobkowski i C. Straszewicz. Wydany ostatnio tegoroczny numer „Biuletynu Organizacyjnego“ Związku jest wyjątkowo bogaty w treść.

MUZYKA: W dziale muzyki uwaga melomanów skupiona była na koncercie Warszawskiej Orkiestry Filharmonicznej, na którym — podobno na życzenie agenta angielskiego — grano przeważnie popularne utwory rosyjskich kompozytorów i tylko fragment 2 Symfonii K. Szymanowskiego. Krytyka angielska nie ukrywała swego zdziwienia podkreślając wysokie walory kompozycji Szymanowskiego, które mają ugruntowane uznanie na Zachodzie. W ogóle muzyka polska przeżywa swój renesans i muzykologia emigracyjna stara się ten fakt utrwalić w świadomości ogółu. Dlatego ubolewać należy, że przez jakąś omyłkę techniczną wypadł z poprzedniej kroniki następujący ustęp ze sprawozdania o wieczorze poświęconym monumentalnemu wydaniu wierszy C. Norwida:

„Wieczór dopelnio skomentowane przez dr C. Halskiego wykonanie urywku nagranych na magnetofon „Pasji św. Łukasza“ Krzysztofa Pendereckiego. Zawodna aparatura techniczna nie

(dokończenie na stronie 29)

błędów nienawidzi blasku wiary katolickiej... Wiadomo też, że niekiedy utożsamiano nocnego ptaka z samym Księciem Ciemności. W Chinach wierzą, że porywa dusze zmarłych. W takiej chyba roli przedstawia ją brązowe naczynie rytualne uformowane w jej postać z czasów dynastii Chou, — w stylu trafne połączenie realizmu i konwencji — dziś słuszny powód do chluby Victoria and Albert Museum.

A przecież przebywanie ptaka w ciemności jest usprawiedliwione. Więcej: słuszne. On jeden umie dawać tam sobie radę. Oczywiście są też samej barwy co oczy Ateny. „Sowa — powiada Erazm z Rotterdamu — była niegdyś drogą sercom Ateńczyków, którzy poświęcili ptaka Atenie, z racji oczu zielono-niebieskich, dzięki którym rozróżnia w ciemności to, czego inne ptaki nie mogą dojrzeć. Uważało się ją więc za dobry omen“.

Sowią mądrość (a może tylko roztropność?) chwali też, choć nie wiadomo czy z przekonaniem, Baudelaire w specjalnie im poświęconym sonecie:

...Leur attitude au sage enseigne
Qu'il faut en ce monde qu'il craigne
Le tumulte et le mouvement;

L'homme ivre d'une ombre qui passe
Porte toujours le châtiment
D'avoir voulu changer de place.

...Ich postawa mędrca ostrzega,
Że w świecie tym lękać się trzeba
Zgiełku i ruchliwości;

Człowiek cieniem ulotnym pijany
Zawsze karę ponosi
Za żądze zmiany.

To w uświadomieniu własnej mądrości ma swe źródło sowa дума. Chciałoby się rzec: „słuszna дума“, gdyby nie to, że każda дума jest, w istocie,

(dokończenie ze str. 28)

pozwoiliła zdać sobie w pełni sprawę z wartości utworu“.

O nowinkach w zakresie ruchu filmowego na emigracji może będzie jeszcze sposobność wspomnieć w nowej rubryce w niedalekiej przyszłości.

ZMARLI: Aktorstwo polskie na emigracji okryte zostało ostatnio potrójną żałobą. Do podanej już poprzednio wiadomości o śmierci art. dr. J. Rymszy-Szymańskiego (1900-1967), doszły w następnych tygodniach zgony dwu dalszych członków ZASPU: zasłużonego sekretarza Witolda Sikorskiego (1912-1967) oraz jednego z seniorów aktorstwa emigracyjnego Władysława Prus-Olszowskiego (1897-1967), do ostatnich czasów bardzo popularnego wśród naj-
młodszych widzów teatru „Syrena“.

J. Ostr.

słuszna. Дума nieusprawiedliwiona to pycha. Niestety, z wyrokiem 80-letniej słuszności trzeba najczęściej czekać długo, nieraz całe życie. Niekiedy dłużej nawet. Wiadomo, że zazwyczaj złym jest sam sobie sędzią, człowiek. Najczęściej zbyt łagodnym, niekiedy za surowym, zawsze kapryśnym. Ale gorszymi odeń są otaczający go ludzie. Szczególnie, jeśli jednostka jakaś wyrasta ponad nich. Z bliska widać tylko ułomności, śmieszności, przywary. Trudno. Pepek kolosa jest zabawny, a nie często bliscy obserwatorzy sięgają olbrzymom wyżej niż do pępka.

Jest jednak jedna, oczywista różnica między pychą a dumą: Gdy pierwsza szuka zaspokożenia i potwierdzenia u innych, upokarza słabszych od siebie, żebrze o oklaski (jeśli nie umie kupić ich lub zdobyć) wrzeszczy i wydana jest bez reszty na łaskę tłumu, o tyle druga mileży. Nie ufa pochwałam. Co fa się chętnie w samotność, by cieszyć się sobą i cierpieć.

— Musi więc być łatwo je rozróżnić? — Byłoby łatwo, gdyby nie to, że Los nie znoszący podziałów oczywistych kazał obu zamieszkać wspólnie w każdym niemal sercu. Zmagają się więc. Walczą. Ale, jak to siostry-bliźniaczki, są do siebie zdumiewająco, choć powierzchownie tylko, podobne. Dlatego nawet sam człowiek — pobojuwisko w tej walce — nie łatwo może się zorientować, która zwycięża.

Ale dar widzenia w ciemności, „jasno-widzenia“, to dar niewątpliwy. Jeśli w ciągu wieków pomawiano sowę o pychę, to chyba przez pomyłkę, lub przez zawiść, a także przez lęk. Zalety rzadkie wydają się nie — czy nadnaturalne: czai się wokół nich pokusa, by je wiązać z siłami nieczystymi, z magią. Zagłada Merlina i rola w niej urodziwej Nimue niech służy za przykład.

Sowy, to tradycyjne towarzyszkiczka-równie, nosicielki (w istocie raczej mieszkanki) koszmarnego snu. Pełno ich w pędzlem i ryłcem zapisywanej wyobraźni Goyi, szczególnie w Los Caprichos. Ze wszystkich istot przerażających, tylko człowiek występuje tam częściej. Obsiadły choćby złowieszczym stadem śpiącą postać przedstawiającą zapewne samego artystę. Tytuł brzmi: „Gdy usypia rozum, budzą się potwory“. Koty i nietoperze dopełniają groźnej sceny. Nie ma w niej ani jednego stworu nadnaturalnego, owego „potwora“ z tytułu. Artysta siłą talentu narzucił nam wizję demonów, strzyg, upiórów. Wizję — nie wizerunek. Na jedno też jeszcze zwrócił uwagę: Człowiek śpi snem ściganego, ale sowy mają oczy szeroko rozwarłe: czuwają. Widzą wszystko. Nawet w świecie bajki. W nim przede wszystkim.

Liczne sowy rozpierają się też w mistycznym i makabrycznym świecie — otchłani Hieronima Boscha. Tam ich emblematyczność jest szczególnie oczywista i czytelna. Tryptyk „Ogród Rozkoszy“ najlepszym jest tego przykładem. W skrzydle prawym, opowiadającym o stworzeniu Pierwszych Ludzi i Raju ptak-symbol umieszczony jest w samym środku kompozycji, wewnątrz różowego koła stanowiącego podstawę Drzewa Życia. Piękno i radość światła, który ledwie wyłonił się z chaosu i nicości, obracają się wokół szarego uosobienia namysłu, jak wokół osi.

W części środkowej, przedstawiającej tryumf zmysłowego uroku, w owym właśnie „ogrodzie rozkoszy“ sowa i puszczyk umieszczone są symetrycznie po dwóch stronach wielkiej kompozycji. Pierwsza — po prawej — zatopiona jest napoly w jasnej wodzie jeziora, kipiącej namiętnością nagich ciał. Samotnik-człowiek, który wzgardził łatwą uciechą przytuła się czule do

(ciąg dalszy na str. 30).

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Najkosztowniejsza przeprowadzka

Gen. de Gaulle postawił na swoim. Zgodnie z jego żądaniem, wysuniętym w pamiętnym „aide memoire“ z 9 marca 1966 r., wszystkie atlantyckie, amerykańskie i kanadyjskie oddziały, sztaby, szkoły i urzędnicy tyłowe opuściły obszar Francji do 31 marca br. Ich translokacja pod nazwą „Freloc“ odbyła się sprawnie i bez wypadków.

Komuniści (i to nie tylko francuscy) triumfują! Wszak od początku byli przeciwni przystąpieniu Francji do NATO i od lat wypisywali na murach i płotach antyamerykański slogan „Ami, go home“. Wprawdzie oddziały amerykańskie nie odplynęły „do domu“, a jedynie przeszły do Niemiec, Belgii lub Wielkiej Brytanii, niemniej Francję opuścili i centralny odcinek NATO został swego naturalnego, tzn. francuskiego, zaplecza pozbawiony.

Ostatnim fragmentem tej wymuszonej, kosztownej i ewentualnie w następstwie przemiennej przeprowadzki było ściągnięcie, w dniu 30 marca br. flag NATO i 15 dotychczas do tej organizacji należących narodów w miejscu postoju naczelnego dowództwa atlantyckiego, w Rocquencourt pod Paryżem. Dokładnie w 15 lat, 8 miesięcy i 7 dni po przekazaniu tamtejszych pomieszczeń generałowi Eisenhowerowi przez ówczesnego prezydenta Francji — Auriola! Obecny jej prezydent, sprawca tej eksmisji, gen. de Gaulle, wolał w tej ceremonii nie uczestniczyć. Ograniczył się do wysłania na nią szefa połączonych sztabów, gen. Aillereta, który wygłosił bardzo suche przemówienie, i do pożegnalnego przeglądu reprezentacyjnego oddziału amerykańskiego w Paryżu nazajutrz, podczas którego udekorował gen. Lemnitzera Wielkim Krzyżem francuskiej Legii Honorowej.

Te, gesty, oczywiście, nie, zmieniły

IN TENEBRIS

Uosobienia Wiedzy. Sowa wpatrzona jest uważnie w parę kochanków zamkniętych w kryształowej kuli. W bystrym, nieco drapieżnym, a może tylko nieubłaganiem chłodnym spojrzeniu utrwala się obraz uniesienia, któremu nie jest sądzona trwałość. To tylko ten obraz zostanie — na przestrożę... a może tylko na świadectwo.

Po lewej puszczyk rozsiadł się w gnieździe uwitym niedbale na głowach tanecznej pary, zrosnionej jakby i targanej konwulsjami. Oczy jego nie śledzą otaczających go orgii: patrzą w nas — widzów i świadków.

(dokończenie w nast. numerze)

faktu, że, jak się wyraził gen. Lemnitzer, przeniesienie „Shape“ do Casteau w Belgii zamknęło pewien okres historii! Potwierdził to protest francuski przeciw zamierzonemu wciągnięciu także flagi francuskiej na maszt przed nowym pomieszczeniami Shape w Casteau. Francja nie chce mieć żadnego formalnego związku z wojskową organizacją NATO, choć z jej sieci radarowej (RADGE) i z amerykańskiego puklerza atomowego nadal korzystać będzie.

Zanim naczelną dowództwo sił atlantyckich opuściło Rocquencourt, przeszły na nowe mp. wszystkie inne sztaby atlantyckie i amerykańskie, dotychczas w Francji stacjonowane, a mianowicie:

— dowództwo centralnego odcinka z Fontainebleau do Brunssum w Holandii,

— dztwo sił amerykańskich w Europie z St. Germain en Leye do Stuttgartu w Württembergii,

— dtwo lotnictwa kanadyjskiego z Metz i Murville do Lahr w Badeni i — i atlantycka Szkoła Sztabowa z Paryża do Rzymu.

Tylko biura sekretariatu Naczelnej Rady Atlantyckiej, które mają być przeniesione do Brukseli, choć gen. de Gaulle im gościny nie wypowiedział, pozostaną w Paryżu do października.

O ile już przeniesienie, a zwłaszcza zainstalowanie tych centralnych sztabów i instytucji pochłonie sporo pieniędzy, o tyle translokacja oddziałów, służb i ruchomych instalacji pochłonie już i pochłonie zawrotne sumy. Zwłaszcza, że trzeba wybudować pomieszczenia i szkoły dla rodzin, nieraz bardzo licznych. Tak np. z Shape przeniosło się do Belgii wraz z 3.000 oficerów i szeregowych 5.500 żon i dzieci. Do tego dochodzą instalacje nieruchomości, które kosztowały setki milionów i za które, jak rzekomo niepotrzebne, Francja nie chce odszkodowania zapłacić, choć Shape będzie musiał na miejsce niektórych z nich wybudować nowe. Co gorsze, Francja nie chce ani ich konserwacji, ani ich ponownego udostępnienia w razie wojny gwarantować. Zgadza się jedynie na dalsze korzystanie przez NATO z benzynociągu St. Nazaire — Zweibrücken i na przeloty samolotów „atlantyckich“ uprzednio zgłoszone — i zaaprobowane. — Niektóre swoje poligony udostępniła na podstawie dwustronnej umowy, ale na razie tylko oddziałom zachodnio-niemieckiej „Wermacht“.

Wróćmy jednak do rozmiarów i kosztów faktycznie dokonanej przeprowadzki. Objęła ona — poza integrowanymi sztabami — 35.000 żołnierzy i lo-

tników amerykańskich, około 2.000 lotników kanadyjskich oraz blisko 1 milion ton różnorodnego sprzętu wojskowego i lotniczego z 46 lotnisk i składnic lądowych, w tym olbrzymich składnic w Evreux, Chateauroux i Poitiers, oraz z 4 baz morskich, 3 podziemnych central dowodzenia i niezliczonych stacji telekomunikacyjnych, naprawczych, sanitarnych, nawigacyjnych, benzynowych itd. Oczywiście nie wszystkie urządzenia można było zdemontować, a radarowe pozostawiono — zgodnie z umową o wspólnej eksploatacji.

Ani wartości zabranego sprzętu, ani kosztów samej translokacji, ani wartości pozostawionych urządzeń, w tym 2.000 kilometrów benzynociągów i 10 systemów podziemnych kabli nie można dokładnie ocenić. Tak samo nie sposób przewidzieć, ile milionów kosztować będzie wybudowanie nowych instalacji w Niemczech, Belgii, Holandii i wielkiej Brytanii.

Tak czy inaczej wymuszona przez gen. de Gaulle przeprowadzka kosztować będzie miliony, jeśli nie miliardy dolarów, pozbawi Francję dopływu dewiz o rocznej wartości 110 milionów funtów i osłabi front atlantycki. Jedynie komuniści oraz sklepikarze, restauratorzy i hotelarze niemieccy, belgijscy itd. na niej zarobią.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

POPIERAJ FIRMY POLSKIE!



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W.11.

Tel. BAT 0879

Rzeczony techniczny ostatnich dekad i jego rewolucyjny wpływ na wszystkie dziedziny, życia, ludzkiego, sięga, naturalnie, również, w, sposób, nieukniony, i dramatyczny w niezwykle ważną dziedzinę, a mianowicie dziedzinę metod nauczania. W styczniu br. Sir Alec Ashby, b. profesor botaniki na uniwersytetach w Sydney i Manchesterze, a obecnie Master of Clare College w Cambridge, omawiał to zagadnienie w dorocznym wykładzie im. Józefa Wünscha w Haifie w Izraelu i określił nadchodzące zmiany jako czwartą rewolucję w długiej, bo od zarania ludzkości trwającej, historii nauczania. Bo pierwszą rewolucją było przejście z nauczania „domowego“, rodzinnego, w którym zasadniczą rolę odgrywały zwyczaje plemienne, obrządk, tradycje, legendy i bezpośrednie dostarczenia starszych — do nauczania zbiorowego dzieci zebranych w szkołach przez zawodowego nauczyciela. Drugą rewolucją było wprowadzenie słowa pisanego, — dzieł pisanych lub przepisywanych — jako pomocy nauczania; Sokrates sprzeciwiał się tej innowacji, bo według niego, słowo pisane na zapytanie ucznia zawsze daje tę samą odpowiedź, nie może wdawać się w dyskusję, a przecież dyskusja, dialektyka z gramatyką i retoryką były dla Greków instrumentem nauczania i rozwijania umysłu. Trzecią rewolucję spowodował wynalazek druku, którego wynikiem było większe upowszechnienie i udostępnienie nauki. Obecnie stoimy w zaraniu czwartej rewolucji, bardziej doniosłej i zasadniczej niż poprzednie, której wynikiem będzie głęboka transformacja całego systemu nauczania. Wobec nowej rzeczywistości zmiany są konieczne i pożądane, ale jak każda nowość, kryją element niebezpieczeństwa, i jak na razie, nie jest jeszcze wiadomo, jaką będzie ta transformacja.

Proces obecnych zmian jest wynikiem postępu w dwu dziedzinach: technologicznej, która dała nam transistor, telewizję wideo-taśmę, komputer i umożliwiła te zmiany; społecznej, która przez rozwinięcie zasady egalitaryzmu i wynikającego z niego buntu przeciw elicie uczyniła je koniecznymi. Pierwszą konsekwencją tego jest zagadnienie wydajności zarówno materialnej (budynki itd.), jak i personalnej (uczniowie). Pojęcie zwiększenia wydajności zrozumiałe w odniesieniu do produkcji technicznej jest mniej przyjemne i niełatwe do określenia, jeśli chodzi o wykształcenie i rozwijanie umysłu ludzkiego. Istnieje już wiele nowoczesnych technicznych pomocy nauczania które, powodują — jak to określił Komeński 300 lat temu — że nauczyciel uczy mniej, ale uczeń korzysta więcej. Amerykańskie doświad-

czenia wykazały, że studenci odnoszą tyle samo korzyści z wykładów „żywych“, co i z telewizyjnych, czywideo-taśmowych, pod warunkiem, że wykładowca w czasie oryginalnego wykładu ma przed sobą żywe audytorium, czyli atmosferę wzajemnego kontaktu ze słuchaczami. Ten wynik nie jest nieoczekiwany, bo taki wykład telewizyjny czy wideo-taśmowy zasadniczo nie różni się od tradycyjnego, poza rozszerzeniem w przestrzeni (tely) i w czasie (wideo-taśma) i te dwa instrumenty są pomocami nauczania o bardzo dużej wartości dydaktycznej.

Istnieje jednak inny aspekt nadchodzących zmian, który zawiera element nowości w teorii nauczania, mianowicie programowane instrukcje, których pełna wartość nie jest jeszcze wiadoma. Polegają one na rozczłonkowaniu procesu uczenia na bardzo drobne stopnie traktowane pojedynczo i kolejno z oceną „dobrze“ albo „źle“ na każdym; przejście do następnego uwarunkowane jest „dobrą“ odpowiedzią na poprzedni. B.F. Skinner na uniwersytecie w Harvard stosując tę metodę potrafił wyuczyć gołębie wygrywania melodii na dziecinnym fortepianie, nagradzając każde prawidłowe kolejne dziobnięcie, ziarnkiem grochu. W podobny sposób można nauczyć dzieci skomplikowanych nawet przedmiotów i jest wiadomo, że tzw. skrzynkę nauczania, skonstruowanych na tej zasadzie można użyć do nauki np. elementarnej chemii organicznej, statystyki itd. Główną słabością programowych instrukcji jest to, że faworyzują one pamięciowe uczenie, które gra tylko bardzo określoną rolę w nauczaniu; gołębie można nauczyć wygrywania melodii, ale nie można ich nauczyć rozumienia muzyki. Co gorsza, programy te nagradzają tylko odpowiedzi zgodne z programem; uczeń z umysłem oryginalnym, inkwizycyjnym, dociekającym, nie znajdzie satysfakcji w takim uczeniu się. Nadto świadomym celem twórców takich programów jest wprowadzenie stopni tak prostych, żeby uczeń nie mógł zrobić błędu; a przecież błędy są nieodzownym elementem doświadczenia i uczenia się.

Maszyny nauczające są jeszcze w bardzo pierwotnym stanie rozwoju, i jeśli z czasem będzie możliwe skonstru-

owanie maszyny bardziej wyrafinowanej, która będzie zdolna do dyskusji z uczniem, a nie tylko wynagradzać ortodoksyjne odpowiedzi, pozwoli to na pewne odbiegnięcia od programowej „prawomyślności“. Są przecież działy dydaktycznego nauczania, które przy ich pomocy student może lepiej opanować w swoim własnym czasie i według własnego uznania, pozostawiając nauczycielowi czas na bardziej subtelne czynności nauczania. Przy użyciu komputera jest możliwa konstrukcja wyrafinowanych maszyn, wyposażonych w większą znajomość faktów, niż najlepszy nauczyciel może posiadać, jak również pozwalających na pewien zakres odbiegnięcia od ortodoksji: komputer niewątpliwie zrewolucjonuje nauczanie w wielu kierunkach. Ale, ostrzega profesor Ashby, „grupy ludzi, które w przyszłości będą kontrolować wyrafinowane programowanie maszynowych programów nauczania, zwłaszcza w humanistyce i naukach socjologicznych posiadają przerażająco potężny wpływ na umysły młodzieży“. Programy wydane przez wielkie syndykaty edukacyjne (prywatne czy państwowe) mogą się stać nową prawomyślnością i narzucić jeden monolityczny system ortodoksji.

Słuszność ostrzeżeń profesora Ashby ilustruje doświadczenie indoktrynacji przeprowadzone ostatnio w Australii z 300 dziećmi dwunastoletnimi w 5 szkołach. Nauczanie odbywało się przy pomocy programowanych instrukcji i dotyczyło fikcyjnej rasy ludzi, Jawasów żyjących na mitycznej wyspie na północnym zachód od Australii. Przedmiotem doświadczenia było wykazanie o ile użycie sugestywnych słów może wpłynąć na ustosunkowanie się do przedmiotu nauczania. Jednej grupie dzieci podawano fakty o Jawasach w słowach przyjemnych, tak obiektywnych jak było to możliwe; drugiej opisywano Jawasów w słowach nieprzyjemnych, obrzydzących, okrutnych. Po skończonym doświadczeniu powiedziano dzieciom, że cała historia była zmyślną, ale mimo tego wiele z grupy drugiej zachowało zdecydowanie wrogi stosunek do Jawasów.

Oczywiście, przykładów masowej indoktrynacji mamy wiele w historii ostatnich czasów, np. Hitler Jugend, Red Guard, Komsomol itd. Wiadomo również, jak wielki wpływ na kształtowanie się opinii publicznej ma telewizja. Tym groźniej więc przedstawia się perspektywa programowego nauczania, jako narzędzia kontroli społecznej w rękach stosunkowo małej grupy ludzi celem narzucenia monolitycznego systemu ortodoksji.

**Złóż ofiarę
na
Bibliotekę Polską
W LONDYNIE**

KRONIKA SPOŁECZNA

NACZELNA RADA HARCERSKA

W dniach 31.III.—2.IV. br w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie odbyło się zebranie Naczelnej Rady Harcerskiej, w którym wzięli udział przedstawiciele harcerstwa z Australii, Kanady, Stanów Zjednoczonych i Europy. N.R.H. jednomyślnie uchwaliła następującą deklarację:

1) Związek Harcerstwa Polskiego prowadzący działalność poza granicami Kraju jest nieprzerwaną kontynuacją pod względem prawnym i ideowym Harcerstwa Polskiego, powstałego w Polsce i działa na podstawie statutu z r. 1936.

2) Zgodnie ze statutem, naczelnym zadaniem Z.H.P. jest wychowanie młodzieży na Polaków w myśl Prawa i Przynależności Harcerskiego. To stanowisko jest jedynym uzasadnieniem prawnym i jedyną podstawą moralną do utrzymania samodzielnego istnienia naszej organizacji w wolnym świecie. Ta właśnie zasada, niezmienna w historii i tradycji naszego Związku upoważnia nas do odrzucenia osławionego cyrkularza nr. 40 Światowego Komitetu Skautowego, żądającego rozwiązania naszej organizacji i włączenia naszych jednostek do organizacji poszczególnych krajów oraz odrzucenia podobnych żądań na odcinku skautingu żeńskiego.

3) Harcerstwo wychowuje młodzież w lojalności do kraju zamieszkania.

4) Zgodnie z uchwałą w Enghien w r. 1946, powziętą przez pierwszą po wojnie N.R.H. z udziałem przedstawicieli wszystkich terenów, nie wyłącza się Szarych Szeregów, Z.H.P. jest organizacją niepodległościową. Stoi na stanowisku walki o niepodległość i w tym zakresie współpracuje z organizacjami i władzami na emigracji reprezentującymi interesy Narodu i Państwa Polskiego.

5) Harcerstwo z tytułu swych założeń i celów, jak również metody wychowawczej jest organizacją elitarną. Elitarność ta jest otwarta dla tych, którzy są gotowi przyjąć wysokie wymagania w zakresie harcerskiej służby Bogu, Polsce i bliźnim, realizowane poprzez harcerski styl życia.

6) Harcerstwu nie są obojętne sprawy polskiej młodzieży nie objętej naszą organizacją i dlatego współpracuje z innymi organizacjami i instytucjami zajmującymi się tymi zagadnieniami.

7) Harcerstwo u swoich podstaw jest organizacją demokratyczną. Wyraża się to przez uprawnienia konferencji in-

struktorskiej wybierającej delegatów na N.R.H., która z kolei wysłuchuje i przyjmuje sprawozdania Władz Naczelnych, udziela absolutorium, pobiera uchwały i dokonuje wyboru Naczelnych Władz Związku. Jednocześnie jednak w realizacji swoich zadań wychowawczych Harcerstwo jest organizacją rozkazodawczą.

Zadania, które sobie stawiamy są trudne i wymagają dużego wysiłku, wyraźnej i zdecydowanej postawy ideowej od wszystkich członków Związku, a przede wszystkim od Starszyny Harcerskiej. Od karnej postawy i braterskiej współpracy grona instruktorskiego zależą dalsze losy naszej organizacji.

N. R. H. wybrała przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego harcmistrza Ryszarda Kaczorowskiego.

W związku z ustąpieniem ze stanowiska przewodniczącego Z.H.P. harcm. Z. Szadkowskiego, Rada powzięła jedynomyślną uchwałę:

Naczelna Rada Harcerska na zebraniu w dniu 2.IV.1967 r. pragnie złożyć wyrazy harcerskiego i braterskiego podziękowania za pełną poświęcenia pracę Druhowi Hm. Zygmuntowi Szadkowskiemu ustępującemu Przewodniczącemu Związku Harcerstwa Polskiego.

Druh harcmistrz Zygmunt Szadkowski pełnił obowiązki Przewodniczącego Z.H.P. przez okres 13 lat. Pełnił je szczerze, całym sercem, z pełnym poświęceniem. Druh harcmistrz Zygmunt Szadkowski dobrze zasłużył się Harcerstwu.

Naczelna Rada Harcerstwa pragnąc wyrazić swoje uznanie, nadaje Druhowi hm. Z. Szadkowskiemu członkostwo honorowe Naczelnej Rady Harcerskiej.

WALNE ZEBRANIE POLSKIEGO OŚRODKA

Przy licznych udziałach członków i przedstawicieli organizacji odbyło się w sali Domu P.O.S.K. drugie doroczne Walne Zebranie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Po uczczeniu przez zebranych pamięci dwóch zmarłych członków: śp. gen. Tadeusza Bór-Komorowskiego i śp. art. dram. Witolda Sikorskiego, przewodniczącym zebrania wybrano mec. Stanisława Wąsika.

Wszechstronne sprawozdanie z działalności władz Ośrodka złożył jego przewodniczący prof. inż. R.L. Wajda stwierdzając m.in., że obecnie liczba członków wynosi 300, w tym 90 organizacji i że ogólna wartość majątku nieruchomości Ośrodka wynosi:

£141.389.00. — Po czym mówca zatrzymał się dłużej nad dwoma zagadnieniami, które absorbowwały uwagę władz Ośrodka: nad sprawą przejęcia

i zabezpieczenia bytu Bibliotece Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych, oraz nad sprawą Domu Polskiego, którego uzyskanie jest stałą i główną troską Ośrodka.

Dokoła tych spraw rozwinęła się dyskusja. W wyniku wyborów do władz przewodniczącym Polskiego Ośrodka został ponownie prof. inż. R.L. Wajda. Wyłoniono też Nową Radę Ośrodka w składzie nieznacznie zmienionym. Z grona jej członków nastąpi w najbliższym czasie ukonstytuowanie się nowego Zarządu.

KONCERT NA RZECZ PITSFORD

4 czerwca br. o godzinie 7.15 wieczorem w New Queen Elisabeth Hall (tuż przy Festival Hall, znanym Polakom z kilkakrotnych „Dożynek“, odbędzie się koncert Andrzeja Czajkowskiego.

Koncert ten, na którym znakomity ten artysta odegra utwory Szopena, Szymanowskiego, Bacha i Szumana, przeznaczony jest na rzecz „Szkoły Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu“ w Pitsford.

Ta zasłużona szkoła polska potrzebuje pomocy dla dalszego istnienia i rozbudowy, którą prowadzi od lat. Obchodzi właśnie swe 20-to lecie istnienia.

Szkoła powstała w roku 1947 z inicjatywy kapłana i uczonego; ks. dr Stanisława Bełcha. Z początkowej liczby 35 uczennic, doszła w chwili obecnej do 160. Obejmuje szkołę powszechną, gimnazjum i internat, posiada pełne prawa szkół angielskich.

Zadaniem szkoły oprócz ogólnego wykształcenia jest należyte przygotowanie młodzieży żeńskiej do obecnych warunków życia, a zarazem wychowanie jej w duchu katolickim i polskim.

Wiek uczennic od 7 do 18 roku życia. Oprócz przedmiotów ojczyźstych wykładanych w języku polskim, program obejmuje wszystkie przedmioty zazwyczaj zdawane na egzaminie maturalnym „General Certificate of Education“, Ordinary and Advanced Level (Oxford). Uczennicom, których rodzice sobie tego życzą, szkoła umożliwia naukę gry na fortepianie, tańca (klasycznego i regionalnego) oraz dodatkowych obcych języków. Nowoczesna sala gimnastyczna, boiska i korty, zapewniają odpowiednie warunki do sportu i gier.

Zakład położony poza miastem, w dużym parku, ma bardzo dobre warunki zdrowotne. Istnieją następujące organizacje: Krucjata Eucharystyczna, Sodalicia, Harcerstwo, kółka młodzieżowe. Organizowane są wycieczki, wyświetlanie filmów, wyjazdy do teatrów, przedstawienia i obchody okolicznościowe, zawody sportowe.

(dokończenie na str. 33)

O dwóch bohaterach oceanów i mórz

GDY NINIEJSZY numer „Orła Białego” będzie od 10 dni w rękach Czytelników, cała Anglia witać będzie z dumą jednego ze swych wielkich bohaterów oceanów i mórz: 65-letniego Sir Francis Chichester'a. Dokonał on czynu niezwykłego i chyba niepowtarzalnego: bo w samotności opływa od kilku miesięcy kulę ziemską na łodzi żaglowej, która właściwie powinna mieć załogę 9 osób, by łódź należycie obsłużyć i sprostać wszystkim trudnościom i niespodziankom, jakie zwykle morze takim śmiałkom spleta. W moich oczach jest to największy wyczyn sportowy XX-go wieku! I nie chciałbym używać zbyt górnolotnych słów, choć nie będzie przesady w stwierdzeniu, że w tej niezwykłej podróży jest wiele bohaterstwa także.

Sir Francis pożegłował najpierw do Australii — z portu angielskiego. Po-

KRONIKA SPOŁECZNA

Przełożoną jest Matka M. Berchmans, kapelanem ks. Wacław Kołodziejczyk T.J., dyrektorką Matka Bożena. Dużo cennej pomocy otrzymuje Szkoła od Koła Rodzicielskiego i Koła Absolwentek.

Koncert Andrzeja Czajkowskiego, który odbędzie się w nowoczesnej, niedawno wzniesionej, sali „New Queens Elisabeth Hall“, i poprzedzony będzie dwoma przemówieniami, zorganizowany został przez komitet, na czele którego stanęła pani Helena Marcinek, a sekretarzem honorowym jego jest kpt. Jan Gurawski. Wydany będzie „Program“ koncertu, który winien zostać stałą pamiątką tej pięknej imprezy.

Ceny miejsc dostępne. Od 5 szylingów do 20 szylingów. Należy jednak spieszyć się z ich nabyciem, gdyż duża ilość biletów została już rozprzedana. W „Programie“ koncertu będzie deklaracja Towarzystwa Przyjaciół Szkoły w Pitsford, którą, prosi o to Komitet Koncertu, powinni się zainteresować ci wszyscy, którym nauka i wychowanie młodych Polaków leży na sercu.

Bilety zamawiać można:

Mrs. O. Marcinek, 2, Onslow Gardens, London S.W. 7.

Jan Gurawski, 5, Chiswick Common Road, London W. 6.

„S.P.K.“, 20, Queens Gate Terrace, London S.W. 7.

„Polish Hearth“, 55, Exhibition Rd., London, S.W. 7.

tem — po krótkiej przerwie — nabrał na nowo sił, gdyż był wyczerpany burzliwą podróżą na wodach mórz południowych, i — ku zdumieniu wszystkich — oświadczył, że zamierza na falach morskich wracać do Anglii — innym wprawdzie szlakiem. Z krótkich i raczej suchych sprawozdań wysyłanych drogą radiową do dwóch pism angielskich: londyńskiego „The Times“ i tygodnika „The Sunday Times“, dowiadujemy się zaledwie coś niecoś o szalonych burzach, które samotny żeglarz angielski i jego niezawodna „Gypsy Moth IV“ przeżywa, często — nie wiedząc gdzie się znajdują, w jaką stronę płyną i czy dnia następnego ujrzą światło dzienne czy wschodzące słońce. Co mnie najbardziej zdumiewa, to wiek żeglarza. Pomyślmy tylko: by mieć 65 lat i wypuścić się w taką podróż, trzeba być chyba szaleńcem. Albo tak zakochanym w morzu, jak właśnie Sir Francis Chichester, (tytuł Sir'a dostał od królowej po przypłynięciu do portu australijskiego), dla którego morze nie było żywiołem obcym.

Nie wiem, który odcinek podróży był najtrudniejszy — pewnie było ich wiele, że jednak opłynięcie słynnego Cap Horn, a więc najdalej wysuniętego cypla Południowej Ameryki było szczególnie niebezpiecznym wyczynem — nie ulega żadnej wątpliwości. Jest to bowiem pas groźny, z powodu potężnych burz, podwodnych skał, zmiennych wiatrów, a nawet gór lodowych. Wyprawy dla opłynięcia Cap Horn kończyły się w zasadzie śmiertelnie, w wyjątkiem jednej podjętej samotnie w r. 1943 przez Argentyńczyka Vito Dumasa, który — jak przyznaje szczerze Sir Francis — był zawsze jego bohaterem. Takim samym bohaterem stał się obecnie Sir Francis.

Toteż cały świat — a zwłaszcza Anglia — czekał z największym napięciem i niepokojem na wiadomości z tego odcinka podróży, zakończonej — jak już dzisiaj wiemy — więcej niż szczęśliwie, mimo, że olbrzymie fale przetaczały się poprzez pokład małej Gypsy Moth IV:

Gdy piszę te słowa (24 kwietnia) Sir Francis ma już najniebezpieczniejsze odcinki swej podróży poza sobą. Obecnie pruje — jeśli można się tak wyrazić — raczej bezpiecznie na znacznie spokojniejszych falach oceanu atlantyckiego, w stronę wyspy angielskiej, mając za sobą ponad 10.000 mil od chwili opuszczenia wybrzeża australij-

skiego (Sydney). Jeszcze „tylko“ 5 tysięcy mil samotnej podróży — oby szczęśliwie! — i na pewno olbrzymie tłumy witać go będą około 19 maja w Plymouth. Że po królewsku — nie wątpię, że tylko na takie powitanie zasłużył — rzecz chyba oczywista.

Gdy czytam szczegóły tej — chciałoby się powiedzieć romantycznej — podróży, zastanawiam się zawsze nad jednym: w jaki sposób ten niezwykły żeglarz spędza dzień, kiedy śpi, jak się odżywia, co robi w chwilach szczególnego zmęczenia, a może nawet rozpacz, gdy morze huczy wkoło niego, gdy otacza go ciemność, gdy zawodzą stery, a na zachmurzonym niebie nie widać gwiazd, które wskazywałyby kierunek? co wtedy? Może dowiemy się o tym nieco więcej z książki, którą Sir Francis na pewno napisze i która powinna być bestsellerem. Powiedział przy jakiejś okazji Sir Francis, że podjął się takiej śmiałej podróży dlatego, by wyrwać się ze świata współczesnego, by oderwać się od codzienności, by — po prostu — być sam na sam i zapomnieć, że istnieje jakiś inny świat — poza morzem. Można wierzyć, choć można także zakładać, że gdy podróż zakończy szczęśliwie, zbierze zasłużenie niejedną grosz, zwłaszcza, że różne firmy zapatrzyły go w najrozmaitsze artykuły żywnościowe, przyrządy żeglarskie, nieprzemakalną odzież itp., na które Sir Francis nie musiał wydać grosza, co także umożliwiło mu pokrycie „kosztów podróży“. Ponieważ wszystko w jakiś sposób zdało egzamin i wytrzymało sól morską i różne inne próby, firmy będą musiały solidnie zapłacić Sir Francis — i słusznie — za taką reklamę.

Chichester zbliża się obecnie do kontynentu afrykańskiego. Im bliżej będzie wybrzeża angielskiego, tym częściej spotykać będzie okręty morskie, samoloty pasażerskie, a pewnie i takie, które różne pisma wysyłać będą, by informować swych Czytelników o położeniu „Gypsy Moth IV“. W tej chwili Sir Francis płynie „pod pełną parą“, to znaczy wszystkimi sześcioma żaglami w stronę Anglii, odżywiając się owocami, sokami, nawet kartoflami i cebulą. Że raz po raz wychyla na własne zdrowie — i oczekującej go w Plymouth rodziny — kieliszek ginu lub whisky, któżby się temu dziwił?

Niech mu to wyjdzie na zdrowie, na żelazne zdrowie, którym — mimo niemal sędziwego już wieku — zaimponował całemu światu!

Paweł Hećciak

Blaski i cienie obecnej Warszawy

Nawet nam, którzy znamy obecną Warszawę tylko z albumów „Stolicy“, „Życia Warszawy“, i innych czasopism krajowych, opowiadań jej mieszkańców lub relacji naszych „turystów“, wiadomo, że przypomina ona coraz mniej naszą Warszawę przedwojenną. Mimo, że leży nad tą samą „Wisłą“, że odbudowano z gruzów Starówkę i niemal wszystkie pałace i kościoły, że układ jej głównych arterii został z grubsza zachowany, że nazwy jej dzielnic, ulic i placów przeważnie nie uległy zmianie, wreszcie, że jest znów stolicą i największym miastem polskim. Jest miastem innym nie tylko dlatego, że zamieszkuje ją przeważnie inni ludzie, albo że odbudowane gmachy nie mają patyny, albo że się dorobiła kilku wspaniałych oraz nowoczesnych osiedli i wieżowców z monstrualnym i z odległości 50 kilometrów widocznym „Peckinem“ na czele. Jest miastem innym także dlatego, że zmienił się jej klimat polityczny, jej nastrój zbiorowy i jej ustrój społeczny. Z beztrojskiej Warszawy, otoczonej częściowo nędznymi przedmieściami i wielką dzielnicą żydowską staje się stopniowo nowoczesnym, ale „zgleichszaltowanym“ miastem, w którym jednak jeszcze niełatwo żyć, choć już łatwiej w pierwszych latach powojennych, o koszmarnych latach wojennych nie mówiąc. Ponadto otoczył Warszawę zasłużony nimb miasta bohaterskiego, męczeńskiego i niezniszczalnego, bo jak Feniks z popiołów znów powstałego.

Do tej imponującej całości świata odbudowy i rozbudowy Warszawy przyczynił się, oczywiście, cały kraj, bo z jego podstawy kiesy szło na nią w pierwszych latach powojennych nieproporcjonalnie dużo pieniędzy. Dziś, Warszawa nie jest już tylko konsumentem, lecz znów także poważnym wytwórcą narodowego dochodu oraz kołem napędowym życia jakże zmienionego kraju.

PLANY ROZBUDOWY

Choć mimo trzykrotnie większego jej obszaru Warszawa nie osiągnęła jeszcze przedwojennego stanu zaludnienia (1,350.000), jej potencjał produkcyjny jest daleko większy od przedwojennego a to dlatego, że zwłaszcza w okresie przedpaździernikowym forsowano bez opamiętania rozbudowę przemysłu, kosztem wygod mieszkańców. Powstała w ten sposób ogromną dysproporcję między możliwościami wytwórczymi a warunkami mieszkaniowymi, komunikacyjnymi i usługowymi próbowano wpraw-

dzie w następnych pięciolatkach gospodarczych zmniejszyć, jednak poprawa w tych dziedzinach była niewystarczająca. Toteż nowy plan pięcioletni, sięgający aż do roku 1970, kładzie zwiększony nacisk na budowę mieszkań i rozbudowę komunikacji i urządzeń usługowych, ogranicza dalszy dopływ ludności i nie tylko nie przewiduje tworzenia nowych urzędów i wytwórni przemysłowych (poza polskim „Fiatem“), ale przeciwnie zmierza do ich częściowej deglomeracji, tzn. ewakuacji poza obręb miasta. Rzecz inna, że istniejące wytwórnie mają być w tym okresie częściowo rozbudowane lub unowocześnione.

Czy plan ten, przewidujący m.in. zwiększenie ilości mieszkań z 375.000 do 450.000, otwarcie 140 sklepów, 3 domów towarowych i 40 szkół, pomnożenie miejskich ośrodków komunikacyjnych (do 1.670 autobusów, 918 tramwajów i 128 trolejbusów), wybudowanie nowych gmachów, dworców, pomników i ulic, wreszcie zwiększenie przemysłowego potencjału miasta o 47 procent, zostanie choćby w przybliżeniu wykonany, jest raczej wątpliwe. Nie tyle dlatego, że suma 40 miliardów złotych, przewidziana na inwestycje prawdopodobnie nie wystarczy, ile dlatego, że notoryczne brakorobstwo i zła dystrybucja surowców i towarów obniża jakość i opóźnia wykonanie zamierzonych inwestycji. Zwłaszcza w budownictwie spółdzielczym. Nawet w razie wykonania tego planu i przyhamowania dopływu ludności, która nie ma przekroczyć 1,3 ml, wskaźnik zagęszczenia mieszkaniowego zmniejszy się tylko nieznacznie i duży procent zatrudnionych w Warszawie będzie musiało nadal spoza jej obszaru dojeżdżać. Na marginesie warto tu dodać, że w 1965 roku dojeżdżało do pracy aż 158 tysięcy osób.

Nie zanosz się również na to, by do 1970 roku poprawiła się dostatecznie sytuacja w dziedzinie usługowej, tzn. pod względem ilości, pojemności i przeciętnego poziomu warsztatów naprawczych, restauracji, sklepów, hoteli, szpitali, łaźni itd. Chyba, że dopuszczona zostanie w większym stopniu inicjatywa prywatna, na co się niestety nie zanosz. Prawdopodobniejsza jest większa poprawa pod względem wyposażenia miasta i jego mieszkańców w telefony, kanalizację, wodociągi, łaźienki, wygodki itd., choć i na tym polu poziom zachodnich miast podobnej wielkości nie zostanie osiągnięty. Nie zni-

kną również, choć się zmniejszą, kłopoty komunikacyjne, bo kolejki podziemnej nadal nie będzie, i bo rozbudowa stacji obsługowych, garaży i parkingów strzeżonych nie dotrzymuje kroku wzrostowi ilości pojazdów.

Jak przedstawiać się będzie sytuacja aprowizacyjna, narazie wystarczająca, oraz zaopatrzenie sklepów, wciąż jeszcze szwankujące, zależeć będzie od różnych czynników, niezależnych od warszawskich władz miejskich.

Wróćmy jednak do stanu obecnego. Nim przypatrzymy się blaskom i cieniom obecnej Warszawy, kilka słów o jej osobliwościach.

Osobliwości. Największymi osobliwościami są bodaj następstwa powiększenia obszaru miasta o 300% (do 446 kilometrów kwadratowych). W rezultacie mamy w jej obrębie: 12.000 hektarów ziemi ornej, 6.000 ha lasów, 2.000 ha łąk, 6 państwowych folwarków, 6 państwowych gospodarstw leśnych, 5.000 koni, 6.000 bydła, 18.000 świń i 1.200 owiec. Dalszym następstwem technicznego powiększenia obszaru „miasta“ jest fakt, że na 2.168 kilometrów jezdni „ulicznych“, aż 843 kilometry mają tylko gruntową nawierzchnię i że spośród 250 skrzyżowań dróg z torami kolejowymi jest tylko 30 dwupoziomych, ergo niezależnych.

Do osobliwości można także zaliczyć, że Warszawa jest (obok Łodzi) najbardziej „kobiecy“ wielkim miastem polskim (tylko 580.000 mężczyzn, a 672.000 kobiet), że ma najmniejszy przyrost naturalny, zaledwie 2 na 1.000 mieszkańców), a najwyższy procent rozwodów (trzykrotnie wyższy niż przeciętna Polski), że aż 61% jej mieszkań składa się z 1 do 2 izb, wreszcie, że nadal najgorzej przedstawiają się jej „przedpokoje“, tzn. dworce główne, port lotniczy i ulice wlotowe. Osobliwością jest także mnożenie tramwajów, gdy na Zachodzie one znikają lub już zniknęły.

Cienie, czyli bolączki. Ponieważ o wielu brakach i bolączkach była już mowa przy charakteryzowaniu planu dalszej rozbudowy, wspomnę tu tylko o najistotniejszych, dotychczas nie poruszonych, jak nadmiar urzędów, brak hoteli i łóżek w szpitalach, przestępczość oraz obsługa w sklepach i jadłodajniach.

Nadmiar urzędów i ich przeważnie superbiurokratyczne urzędowanie zaliczają Warszawianie do największych plag. W samej tylko „czystej“ administracji państwowej, na której czele stoją aż 22 ministerstwa, oraz w wymia-

rze sprawiedliwości pracuje ca 50.000 urzędników obojga płci. Do tego dochodzą biura partyjne oraz niezliczone centrale, kierownictwa, komitety, instytucje, komisje, biura pełnomocników rządu itd. Niektóre mają dodatek „Główny“ i posługują się najchętniej skrótami swych nazw, których wymówić nie sposób, jak np. G.U.K.P.P. i W. lub G.K.W.F. i T., co oznacza Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk względnie Główny Komitet Wychowania Fizycznego i Turystyki. Chyba nikt nie wyzna się w tym gąszczu biur dostatecznie, więc znalezienie właściwego i kompetentnego urzędu, czyli wędrówka od Annasza do Kajfasza zabiera niemało czasu. Że niemal wszystkie te szacowne instytucje bronią się przed przeniesieniem poza Warszawę, jest rzeczą zrozumiałą. Toteż Pełnomocnik Rządu dla spraw deglomeracji dotychczas niewiele wskórał.

Hoteli jest zaledwie 13. Na domiar złego dysponują one tylko 4.250 łózkami. Choć do tego miasto uruchamia w sezonie zbiorowe sypialnie i część turystów lokuje się w prywatnych kwaterach, zaś różne urzędy posiadają duże „resortowe sypialnie“ dla swoich delegatów z prowincji, niektóre na 300 do 400 osób, felietonistka „Życia Warszawy“, Barbara Seidler, słusznie nazwała ten dla turystyki zabójczy stan „czarną rozpacz“.

O ile ilość lekarzy i aptek jest już bezwzględnie wystarczająca i nawet b. duża, o tyle mała pojemność 34 istniejących szpitali (tylko 12.600 łóżek) sprawia nielada kłopoty i niewątpliwie powiększa śmiertelność, tak czy inaczej większą, niż w innych wielkich miastach polskich.

Wreszcie, pomijając takie bolączki, jak ciasnota mieszkaniowa, często fatalny stan nowych domów, brak rzeźmiśników, nierówne zaopatrzenie niedostatecznie licznych sklepów, przeciążenie środków komunikacyjnych, często niegrzeszna obsługa itd., trzeba jeszcze przypomnieć o tym, że mimo energicznej kontrakcji ze strony M.O., czyli policji, zarówno pod względem przestępczości, jak pod względem pijaństwa, pieniąctwa i rozpowszechniania chorób wenerycznych, zwłaszcza kiły, Warszawa dzierży niechlubny prym w Polsce.

Blaski. Mimo tych i innych, niewymienionych bolączek i braków obecnej Warszawy ogromna większość jej mieszkańców niewątpliwie nie tylko ją kocha, ale jest z jej postępu i osiągnięć dumna. Sarka oczywiście na ciasnotę, różne mankamenty, biurokrację, chamstwo, chuligaństwo, zakłamanie prasy, omnipotencję rządzącej partii, wyzysk ze strony „uspołecznionego pracodawcy“ i Moskwy itd., ale z dumą wylicza imponujący zaiste dorobek. Głównym tytułem do dumy jest oczywiście fakt,

że w centrum miasta jest coraz mniej pustaki i rumowisk, że dawny ocean gruzów czy ceglanych szkieletów przystoczył się już w pulsujący życiem i dość sprawnie funkcjonujący organizm i że nowe arterie, budowle, bulwary i mosty nadają Warszawie charakter nowoczesnego i znów zachodniego miasta.

Oczywiście martwi Warszawiaków, że nad miastem dominuje swym ogromem i wschodnim stylem architektonicznym brzydki, choć pożyteczny „Pałac Kultury“ i że Zamek Królewski nie został i nie rychło zostanie odbudowany. Za to raduje ich pieczołowita odbudowa Starówki i „osi saskiej“, kościołów i pałaców, w tym Łazienek, Wilanowa, Królikarni, rozbudowa Teatru Wielkiego, utworzenie lub wystawienie niektórych pomników, wreszcie wzniesienie licznych wieżowców, osiedli, szkół, pawilonów, fabryk i stadionów.

A ponadto może radować mieszkańców Warszawy — i nas na równie — nie mniejszy dorobek naszej stolicy na polu naukowym i kulturalnym. Wystarczy przytoczyć, że posiada ona obecnie 13 wyższych uczelni, 53 szkoły licealne, około 200 szkół i kursów zawodowych, ponad 220 szkół podstawowych, 25 muzeów, 131 punktów bibliotecznych, 17 teatrów, 1 unowocześnioną filharmonię, około 60 kin oraz bardzo liczne instytucje i towarzystwa naukowe.

Budujące jest również ilościowo bogactwo prasy (19 gazet i blisko 900 periodyków) oraz wydawnictw książkowych. Niestety, jak wiadomo, znaczna ich część, tak samo jak pewna część instytucji poprzednio wymienionych, zamiast szeregować prawdę, jest z musu tylko tubą partyjnej maszyny propagandowej, bo wspomniany powyżej G.U.K.P.P. i W. czuwa i bezwzględnie interweniuje.

Zato już bez zastrzeżeń pocieszający jest fakt, że już ponad 700 kilometrów (czyli jedna trzecia) warszawskich ulic i dróg ma ulepszoną, tzn. asfaltową nawierzchnię jezdni, że oświetla je już ca 42.000 latarni, że istnieją aż 23 domy akademickie, że obszar parków powiększył się do 660 hektarów, że ilość ambasad i poselstw zagranicznych wzrosła do 43, że ogród zoologiczny, całkowicie zlikwidowany w 1944 roku, ma już więcej ssaków i ptaków, niż miał przed wojną, że potencjał warszawskich zakładów przemysłowych rzekomo wzrósł od 1950 roku 13-krotnie, wreszcie że warszawski węzeł kolejowy został już niemal całkowicie zelektryfikowany a tabor rzeczny znacznie powiększony.

Czy liczne i z niebywałą pompą przeprowadzane defilady, festyny i powitania oficjalnych gości zagranicznych są dla ludności Warszawy źródłem radości, jakim by były w innych warunkach jest natomiast więcej niż wątpliwe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.
Great Britain

POLSKA KSIĄŻKA W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

POLSKIE PISMO W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.
Great Britain.

U w a g a : Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

KRAJ KONTRASTÓW

Gdzie prawo krytyki staje się przywilejem biurokratów, bezmyślność bije wszelkie rekordy, zaś osiągnięcia techniczne stają się postrachem użytkowników.

NARODOWE KOPYTO

W Instytucie Przemysłu Skórzanego rodzi się „Polskie Kopyto Narodowe“, czyli okazowy przymiar do produkcji butów odpowiadających polskim stopom.

Przyjęto także zasadę, że każdy nowy model produkowanego w kraju obuwia musi być odtąd przymierzany co najmniej przez sto osób, zanim zostanie skierowany do produkcji masowej.

Ktoś dowcipnie dorzucił radę, aby odpowiedni dyrektor z produkcji lub ktoś z jego bliskich musiał w nowym modelu pochodzić nieco po mieście, co da jeszcze pewniejszą gwarancję przystosowania obuwia do potrzeb użytkowników.

CESARSKIE ZAMÓWIENIE

Wytwórnia porcelany „Krzysztof“ pracuje obecnie nad serwisem zamówionym przez szacha perskiego Rhezę Pahlewi. Będzie to największy serwis, wykonany kiedykolwiek w Polsce, gdyż jest to komplet obiadowy na dwa tysiące osób. Samych talerzy będzie w nim aż sześć tysięcy.

POZNAĆ PANA PO CHOLEWACH

„Głos Wyrzeża“ przytoczył niecodzienną odpowiedź pewnego zakładu przemysłu drzewnego na pismo Zakładów Telewizyjnych. Oto jego treść: „W odpowiedzi na Wasze pismo czuję się w obowiązku wyjaśnić, że dyrektor Z. nie pracuje w naszym zakładzie na stanowisku dyrektora, lecz na czelnego dyrektora i jako taki nie mógł przyjąć do wiadomości Waszej korespondencji...“

GÓRA

ARCHEOLOGIA i ETNOGRAFIA

Według ostatnich danych Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, w tym roku wybiera się na studia wyższe około 70 tysięcy maturzystów. Ponieważ o przyjęcie na studia ubiega się również około 28 tysięcy maturzystów z lat poprzednich, daje to razem blisko 100 tysięcy kandydatów na 39 tysięcy miejsc. Praktycznie rzecz biorąc, na jedno miejsce wypada od 2 do 3 kandydatów.

Największą ilość zgłoszeń rejestrują archeologia i etnografia, gdzie na ka-

żde miejsce jest przeszło trzech kandydatów. Najmniejsze zainteresowanie u „młodzieży budzą“ matematyka, astronomia, fizyka i chemia. Inaczej mówiąc, odkąd wymyślono maszyny do liczenia, młode pokolenie Sarmatów woli się grzebać w wykopaliskach.

ZÓŁWIE TEMPO MOTORYZACJI

Obecnie zarejestrowanych jest w kraju 2,247.000 pojazdów mechanicznych z czego półtora miliona stanowią motocykle. Samochodów osobowych jest 289 tysięcy, a ciężarowych 220 tysięcy. Wyliczono też, że prywatny park samochodowy liczy obecnie ćwierć miliona wozów. Władze zapewniają, że stan motoryzacji zwiększył się w ostatnich 10 latach aż 10-krotnie.

Dużo to, czy mało?

Najlepiej odpowiedzą na to porównania. Na jeden samochód przypada w danej chwili 130 mieszkańców kraju, czyli tylu ilu przypadało w roku ... 1911, a więc 56 lat temu. Anglia osiągnęła to natężenie motoryzacji jeszcze w r. 1922. Obecnie na jeden samochód przypada w Polsce 6 razy więcej osób niż wynosi średnia światowa. Jest więc szerokie pole do nadrabiania opóźnień.

GENIALNE

ROZWIĄZANIE TECHNICZNE

Fabryka w Zakrzowie zacznie wkrótce dostarczać do sklepów nowy model lodówek „Yeti“ skrzyżowany z kuchenką elektryczną lub gazową. Teoretycznie ciepło wydzielane przez lodówkę będzie powodować gotowanie i pieczenie. Nowa kuchnia-lodówka ma być bardzo oszczędna w zużyciu energii i — co niemierniej ważne — przy ciasnocie polskich mieszkań zajmuje minimalną ilość miejsca.

Ale szczytowym osiągnięciem tego modelu jest co innego. Jeśli — jak przewidują złośliwi — ten cud techniki będzie się psuł, to znaczy, że lodówka będzie grzać, a kuchenka mrozić, nie ma nic prostszego, jak wypiekane ciasto przenieść z piekarnika do lodówki, a przeznaczoną do zamrożenia wódkę, z lodówki do piekarnika. Ta prosta ra-

da jednego z najważniejszych pism ekonomicznych w kraju ma podwójną wymowę: chwałą pomysłowość wynalazku, jednocześnie wystawia świadectwo jakości sprzętu codziennego użytku, produkowanego na rynek wewnętrzny.

NADSPODZIEWANE ZYSKI

Jednym z najlepiej prosperujących przedsiębiorstw krakowskich jest — proszę się nie śmiać — Izba Wyrzeżeń. W ubiegłym roku placówka ta przekroczyła o ćwierć miliona złotych wyznaczony jej plan wpływów finansowych, osiągając przychód 2,100.000. Przekroczono także zaplanowane wpływy do budżetu miasta. Wynika stąd, że władza ludowa odkryła wreszcie niezawodny sposób prowadzenia dochodowego przedsiębiorstwa.

DWA CENNIKI i CZYN SPOŁECZNY

W Kolbuszowej przy budowie ośrodka zdrowia, w ramach tzw., czynu społecznego, konieczne było, w myśl obowiązujących przepisów wyposażenie go w własne ujęcie wody. Za znalezienie wody, fachowcy, z Krakowskiego Przedsiębiorstwa Geologicznego zażądali 400 tysięcy złotych. Miejscowy różdżkarz dokonał tego odkrycia za 70 złotych i o różnicę tych dwóch sum zmniejszył wartość czynu, ograniczając w ten sposób rozmiary ofiarności publicznej.

Z różdżkarza chcą korzystać inne miejscowości, a Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Geologicznemu grozi deficyt.

SKANSEN

WIATRAKÓW i PIEKARNI

Jak informuje prasa, powstaje koło Warszawy skansenowskie muzeum chleba. Gromadzi się tam rozmaite stare żarna, wiatraki i urządzenia piekarnicze. Urządzenia te będą czynne, tak, że zwiedzający będą mogli próbować okazów pieczywa jadanego przez naszych przodków, w innych epokach. Specjalny pawilon wystawowy zgromadzi pieczywo polskie od piastowskich podpłomyków i kołaczy aż do współczesnego bochenka z zapieczoną myszą z piekarni uspołecznionej nr. X.

Dziennikarze krajowi wyrażają przypuszczenie, że taka ekspozycja muzealna może mieć praktyczny wpływ na poprawę jakości współczesnego wypieku.

ZEGARY KWARCOWE

Zakłady Opracowania i Produkcji Aparatury Naukowej podjęły antyimportową wytwórczość pierwszych polskich zegarów kwarcowych. Instrumenty te będą nowocześniejsze i łatwiejsze w użyciu, niż zagraniczne. Wskazują

Czy jesteś członkiem SPK ?

JAK TO BYŁO POD NARVIKIEM

Tragiczne wypadki kampanii wrześniowej 1939 roku, podważyły silnie morale polskiego żołnierza, jednak nie załamały. Pierwszym uczuciem, które po przekroczeniu granic Rzeczypospolitej targnęło jego duszą i wyrwało go z chwilowego odrętwienia i beznadziejnej rozpacz, to uczucie zemsty, to chęć odwetu na tych, co nas niszczyli i znęcali się nad Polską we wrześniu 1939 roku. Toteż, gdy w Świętokrzyskich Górach nie przebrzmiały jeszcze echa ostatnich strzałów Hubalowych kawalerzystów, a na terenie Francji zaczęły rozwijać się sztandary nowo-organizowanej Armii Polskiej, kto żyw, w kim grała krew żołnierska i w czym sercu zatlił święty

znicz słusznej zemsty, biegł tam na zew Naczelnego Wodza, by stanąć znów w szeregach i kontynuować walkę z odwiecznym wrogiem tam, gdzie można go będzie dopaść. Zleciało się polskie żołnierstwo, jak stado orłów, by wypatrzyć wroga, co zniszczył ich gniazda, by na niego runąć i szarpać mściwymi szponami, gdzie tylko się nadarzy okazja. A było ich dwóch: Jeden zbrojny w potworny miecz krzyżacki, zbroczony od wieków toczoną krwią mężów, niewiast i dzieci słowiańskich, drugi zaś chytry azjata, co ciężko ranną w nierównym walce, lecz twardo broniącą swych progów Rzeczypospolitą obezwładnił zdradzieckim od tyłu ciosem. Obaj, upojeni zwycięstwem nad swą pierwszą ofiarą i pogodzeni w swych światoburczych zamiarach poczęli kontynuować swoje krwawe dzieło niszczenia ludzkiej kultury i gwałcenia ludzkich praw do wolnego bytu.

W zimowych miesiącach 1939 roku rozpoczął się bohaterki dramat Finlandii, na którą rzucił się rosyjski kolos. A kiedy mały ten w stosunku do potęgi napastnika naród stanął po rycersku w obronie swej niepodległości kładąc pokotem tysiące wroga w walce o każdą piędź ziemi, w szeregach polskich we Francji zabrzmiało znów historyczne hasło: „Za naszą i waszą wolność“. Poczęto organizować z ochotników jednostkę bojową Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich, która jako część posiłkowego korpusu ekspedycyjnego Aliantów miała pójść w odsiecz zagrożonej Finlandii. Zanim jednak podjęte zamiary przyobleczono w realne kształty, akcję bojową na tym teatrze wojny zakończono. Osamotniona Finlandia podpisała w dniu 13 marca 1940 r. narzucone jej siłą warunki pokoju z ZSRR. W związku z tym postanowiono użyć Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich na innym teatrze wojny — w Norwegii.

W dniu 6 kwietnia 1940 r. niemiecka flota wojenna wypłynęła na morze, po czym Niemcy wykonali dwie akcje desantowe na Norwegię. Na odcinku między Trondheim a Oslo została wykonana główna operacja, przeprowadzona równocześnie z powietrza i od strony morza przy wybitnym zastosowaniu czynnika zaskoczenia. Zadaniem tej operacji było jak najszybsze opanowanie całego kraju, a w razie przeciwdziałania Norwegów — przy użyciu siły. Pomocnicza zaś akcja miała miejsce na dalekich północnych kresach Norwegii, której celem było zdobycie najbardziej północnych prowincyj kra-

ju po uprzednim uchwyceniu i zabezpieczeniu Narviku, przez który to port nigdy niezamarzająca szła do Niemiec od kilkunastu lat wysokoprocentowa ruda żelazna, wydobywana w zagłębiu szwedzkim Kiruna, podobnie jak przez port Lulea trasą bałtycką do Zatoki Botnickiej, który jednak pokryty jest lodem przez okres 5-ciu miesięcy. Obydwa te porty połączone są z Kiruną linią kolejową, przebiegającą przez 22 tunele. Istotnym jednak powodem ataku Rzeszy na Norwegię była chęć Niemców usadowienia się tam przed armią brytyjsko-francuską i konieczność utworzenia wysuniętego prawego skrzydła ataku niemieckiego na Wielką Brytanię w bitwie o Atlantyk. Kraj ten był potrzebny admiralicji Rzeszy do uzyskania baz morskich na Atlantyku, Hitlerowi zaś, aby zniszczyć upierne widmo blokady morskiej w nowym starciu zbrojnym z W. Brytanią.

W wykonaniu tych zadań zbrojnego napadu na Norwegię Niemcy w nocy z 8-go na 9-go kwietnia zagarnęli po drodze Danię, która nie stawiała żadnego oporu. Używając zaś wszelkiego rodzaju podstępów, fałszerstw i 5-tej kolumny oraz łamiąc wszelkie prawa międzynarodowe opanowali całkowicie szereg portów wzdłuż całego wybrzeża południowej Norwegii, port Narvik w północnej Norwegii, główne norweskie lotniska oraz wszelkie urządzenia łączności, zniszczyli całe lotnictwo wojskowe w liczbie ponad setkę maszyn, zaś kilkanaście nowoczesnych maszyn amerykańskich, będących jeszcze w skrzyniach dostało się w ich ręce; zniszczona też została stawiająca opór flota norweska. W walkach tych Niemcy stracili krążownik „Blücher“, a z nim całą załogę okrętu, liczne sztaby oraz zespoły przeznaczone do administracji kraju, oddziały „Gestapo“ itd. — ogółem ponad 2.500 ludzi. Stracili też lekkie krążowniki „Emden“ i kilka mniejszych okrętów.

Rząd norweski ogłosił ogólną mobilizację i zwrócił się do Aliantów o pomoc.

Dnia 9 kwietnia o świcie 10 niemieckich niszczycieli (t.j. kontrtorpedowców) weszło do Ofotfjordu w rejonie Narviku i zatopiło 2 norweskie krążowniki. Miasto zostało oddane bez walki przez zdradzieckiego komendanta garnizonu, płka Sundlo z 5-tej kolumny oddziałom niemieckim, które przybyły już wcześniej pod pokładami niemieckich statków handlowych oraz na wyżej wymienionych niszczycielach, tj. ogółem około 2.500 strzelców ze 139-go

KRAJ KONTRASTÓW

bowiem czas z dokładnością do stutyśmiejnej części sekundy.

Obywatele korzystający ze zwykłych zegarków produkcji krajowej wyrażają teraz tym większe ubolewanie, że polskie zegarki codziennego użytku nie potrafią wskazywać czasu z dokładnością do 5 minut.

WĘGIEL I KUROPATWY

Gospodarka polska ma nowy kłopot. Okazuje się, że za jedną żywą kuropatwę można dostać tyle samo dewiz, co za tonę węgla. Ale ekspozycja kuropatw nie da się zwiększyć, ponieważ nie dostawano inwestycji. Kraj nie produkuje sieci koniecznych do łapania żywych ptaków. Wprawdzie nakład na uruchomienie wytwórni tego sprzętu jest 100 tysięcy razy mniejszy, niż na wybudowanie jednej kopalni węgla, ale w Centralnym Urzędzie Planowania jeszcze się w tym nie poiąpano. Być zresztą może, że kuropatwy dbałe o własny spokój przekupiły planistów.

POMYSŁOWOŚĆ USŁUG USPOŁECZNIONYCH

Wrocławską pralnia przy ul. Kiełbasniczej, naśladując inne tego typu przedsiębiorstwa, odmawia przyjmowania do prania odzieży poplamionej. Klient obowiązany jest sam usunąć plamy z odzieży i dopiero wtedy pralnia przyjmie taką rzecz do wyprania. Trzeba jednak przyznać, że uprzejmy i życzliwy personel odpowiedzialny za wrocławski „upiór dzienny“ chętnie informuje klientów, gdzie mogą nabyć środek wywabiający plamy i jak trzeba się nim posługiwać.

Wiślan

Jäger Regiment wraz z dowódcą desantu gen. por. Dietlem, Równocześnie z desantem w Narviku Niemcy wysadzili desant w rejonie Bjerkvik i Ankenes.

W dniach 10 i 13 kwietnia okręty brytyjskie, które weszły do Ofotfjordu (dnia 10-go — 5 niszczycieli, zaś 13-go — 1 pancernik „Warspite“ i 9 niszczycieli) stoczyły bitwy morskie, w których Niemcy stracili 1 okręt podwodny, 10 niszczycieli, 1 statek amunicyjny i 6 transportowców oraz 3 niszczyciele uszkodzone, a wraz z nimi całą artylerię, wszystkie czołgi i dużo sprzętu i żywności. Po stronie brytyjskiej 1 niszczyciel został zatopiony, 1 wyrzucony na brzeg i 1 lekko uszkodzony. W rezultacie w pobliżu Narviku występował z wody cały las masztów okrętowych.

W następnym okresie flota brytyjska wspomagana przez okręty polskie przystąpiła do niszczenia wszystkich urządzeń portowych i kolei do Szwecji. W tej ostatniej akcji wyróżniły się polskie niszczyciele „Błyskawica“ i „Grom“, który w czasie działań we fiordzie Rombaken został w dniu 4 maja trafiony bombą lotniczą i zatonął wraz z częścią załogi.

Król Haakon VII wraz z rządem norweskim po opanowaniu przez Niemców stolicy Oslo, schronili się w górach na południe od miasta Elverum, a kiedy po nieudanej próbie porwania ich stamtąd przybył do Elvarum poseł niemiecki w Oslo wraz z niemieckim attaché morskim, celem nakłonienia króla do powrotu do stolicy dla objęcia władzy oraz mianowania premierem byłego ministra obrony, wodza narweskiej partii narodowo-socjalistycznej majora Vidkun Quislinga, król Haakon odmówił i po odjeździe tych Niemców wymknął się stamtąd po osłonę niezmobilizowanej dywizji norweskiej do miejscowości Hamar, przedkładając nierówną walkę nad poddanie się potężnemu napastnikowi, po czym Niemcy miasto Elverum zbombardowali. Król Haakon zmuszony był następnie cofnąć się wraz z rządem, posłami do parlamentu i bankiem Norwegii aż za koło polarne, do miejscowości Tromsø.

Armia norweska, która po przeprowadzeniu powszechnej mobilizacji młodszych roczników mogła osiągnąć liczbę 100.000 żołnierzy, a przy największym wysiłku mobilizacyjnym ponad 200.000, na skutek przerwania mobilizacji zbrojnym napadem Niemców i działalnością 5-tej kolumny osiągnęła zaledwie liczbę niespełna 30.000 ludzi, zorganizowanych w 6-ciu dywizjach, z których 6-ta dywizja o stanie liczebnym 3.000 walczyła w rejonie Harstad-Narvik w północnej Norwegii. Uzbrojenie tej armii było całkiem przestarzałe, bez czołgów, bez sprzętu przeciw-lotniczego, ani no-

woczesnego aparatu łączności. Tabor motorowy był w minimalnej ilości. Artyleria składała się z kilkunastu baterij górskich z bardzo szczupłym zapasem amunicji. Lotnictwo było wyposażone w ponad setkę samolotów przestarzałych typów. Naczelnym dowódcą tej armii był od 1931 roku generał-major Laske, który w dwa dni po inwazji został usunięty, na jego zaś miejsce objął naczelne dowództwo dotychczasowy inspektor piechoty płk. Otto Ruge, zamianowany generałem.

Na skutek opanowania przez 5-tą kolumnę wszystkich połączeń telefonicznych i telegraficznych opór 1, 3 i 4-ej dywizji norweskich ograniczył się tylko do miejscowej obrony zajmowanych przez nie obszarów w południowej Norwegii. Pozostałe dywizje stacjonujące w środkowej, wschodniej i północnej Norwegii walczyły chlubnie wspólnie z wojskami aliantów przeciw przeważającym siłom niemieckim, aż do samego końca działań na tych obszarach osłaniającą odwrót wojsk sprzymierzonych do czasu ich odpłynięcia i bijąc się aż do wyczerpania amunicji. Największą chwałą okryła się 2 dywizja, licząca 15.000 ludzi pod bezpośrednim dowództwem gen. Ruge. Opór tego oddziału umożliwił ewakuację króla i rządu, a następnie wykonanie desantów alianckich w południowej części Norwegii.

FORMOWANIE SIĘ SAMODZIELNEJ BRYGADY PODHALAŃSKIEJ

Po zażądaniu przez rząd norweski pomocy ze strony aliantów, rządy Wielkiej Brytanii i Francji postanowiły wysłać na pomoc armii norweskiej, walczącej w rejonie Narviku wojska sprzymierzonych pod nazwą „North Western Expeditionary Force“ tj. Północno-Zachodni Korpus Ekspedycyjny. Dowódcą tego korpusu został admirał floty Lord Cork and Orrery. Podlegała mu między innymi 1-sza lekka dywizja strzelców w składzie:

27-ma półbrygada strzelców alpejskich (Chasseurs Alpains),

13-ta półbrygada legii cudzoziemskiej (1-szy i 2-gi batalion),

2-gi awizjon artylerii lekkiej,

342-ga kompania czołgów,

14-ta kompania przeciw-pancerna 25 mm.,

602-ga kompania samochodowa, oraz

Samodzielną Brygadą Strzelców Podhalańskich (La Brigade du Nord), która była pierwszą polską jednostką, kontynuującą na lądzie walkę zbrojną z Niemcami, po wrześniu 1939 roku.

Dowódcą wojsk francuskich tj. 1-ej lekkiej dywizji strzelców był początkowo gen. Audet, później zaś gen. M.E. Bethouart, który został wyznaczony na

dowódcę wojsk francusko-polskich w państwach skandynawskich pod nazwą „Korpus Francusko-Polski Norwegii“.

Decyzją zorganizowania Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich w ramach korpusu ekspedycyjnego zapadła na odprawie u naczelnego wodza gen. W. Sikorskiego, w dniu 15 stycznia 1940 r. Na dowódcę brygady został wyznaczony płk. dypl. Zygmunt Bohusz-Szyszko były zastępca dowódcy Korpusu Ochrony Pogranicza, w okresie zaś kampanii wrześniowej 1939 r. dowódca piechoty dywizyjnej, a następnie 16-tej dywizji piechoty, awansowany przed wyruszeniem brygady z Francji do stopnia generała brygady.

Samodzielną Brygadą Strzelców Podhalańskich została sformowana w lutym 1940 r. na ziemi francuskiej w Bretanii. W okresie od 14-18 lutego został ustalony jej skład organizacyjny, który ulegał pewnym zmianom do pierwszych dni marca. W skład tej brygady wchodziły oddziały specjalne oraz dwie półbrygady, z których każda posiadała dwa tabaliony piechoty, kompanię sztabową i kompanię broni towarzyszącej. Trzy pierwsze bataliony zostały wydzielone z 1-ej dywizji genadierów, czwarty batalion zaś wydzielono z 2-ej dywizji strzelców pieszych, Armii Polskiej we Francji.

Przy brygadzie znajdowała się misja wojskowa francuska z pułkownikiem dypl. Molle, jako szefem oraz 13-ma oficerami łącznikowymi przy oddziałach.

Po sformowaniu się w obozie ćwiczeń Coëtquidan brygada odeszła w dniu 29 lutego do rejonu Malansac, Rochefort-en-Terre, Roc St. André, Malestroit, Ploërmel i St. Grave — miejscowości położonych przy południowym brzegu Bretanii; tam miała dokończyć swoją organizację i pogłębić wyszkolenie.

Żołnierze brygady rekrutowali się prawie w 95% z Polaków-emigrantów, zamieszkałych od lat we Francji, w jej północnych departamentach. Część ich wstąpiła do Wojska Polskiego ochotniczo, część zaś wcielono z poboru. Wszyscy stawili się do szeregów z dużym zapalem, podkreślając tym swój patriotyzm. Około setka — to byli żołnierze z oddziału im. Jarosława Dąbrowskiego brygady mięczynarodowej, którzy uczestniczyli w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie czerwonej. Stawili oni również doskonały, wysoce patriotyczny, wyrobiony społecznie i koleżeński element żołnierski. Kadra oficerska i podoficerska w stu procentach ochotnicza — to byli żołnierze z kampanii wrześniowej przybyli z Polski, aby walczyć z Niemcami, gdzie ich tylko będzie można dopaść. Nie próżno były obawy dowódcy brygady, gdy nas przestrzegali, że podwalni mogą się łatwo załamać. Wszak żołnierz pocho-

dzący z Francji, pełny uprzedzeń i nieufności do kadry z Polski i rozpity winem, trudny był do utrzymania w karbach dyscypliny wojskowej, lecz żołnierz, w którym tkwiła dusza polska, z której praca dowódców miała wykrzesać najwyższe wartości bojowe. „Ci ludzie nie przyszli tu przecież po żold i po strawne. Entuzjazm, jaki przynieśli, to surowiec wojenny, z którego mądry wódz wykuje niepośledni oręż“ (Ksawery Pruszyński — „Droga wiodła przez Narwik“). I żołnierz ten nie tylko nie zawiódł pokładanych w nim nadziei wodza, lecz zdał swój egzamin chwalebnie.

Po bardzo intensywnym szkoleniu, uzbrojeniu i wyposażeniu pododdziałów brygady w potrzebny im sprzęt bojowy w dniu 10 kwietnia 1940, odbyło się uroczyste poświęcenie i wręczenie sztandaru oraz przysięga wojskowa pododdziałów brygady, zgrupowanych na łące pod Maestroit w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza, naczelnego wodza, generała broni Władysława Sikorskiego oraz biskupa polowego Józefa Gawliny, którego sztandar brygady był osobistym darem.

Niestety na pogłębienie wyszkolenia, a zwłaszcza w walce górskiej nie było już czasu. Braki te zostały jednak nadrobione z nawiązką już w czasie walk, a to patriotyzmem, brawurą, ofiarną pracą i milczącym znoszeniem tych niewygód, na które została narażona masa żołnierska.

Wyposażenie żołnierzy brygady było na ogół solidne, lecz bardzo ciężkie.

„ZBRODNIA KATYŃSKA“ PO WŁOSKU

Po trzech wydaniach polskich, francuskim, hiszpańskim i angielskim przed dwoma laty, „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów“ z przedmową gen. W. Andersa ukazała się ostatnio po włosku. Pod tytułem „La strage di Katyn — Fatti e documenti“ książka została wydana przez Le Edizioni del Borghese — Milano. Do włoskiego wydania gen. Anders napisał specjalną przedmowę, w której przypomniawszy, zadzierzgnięte z narodem włoskim przez 2 Korpus podczas II wojny światowej i wyraził przekonanie, że tragedia katyńska znajdzie tym głębsze zrozumienie w opinii Italii. Włoska edycja, licząca 386 stronik ma staranną, estetyczną oprawę, twardą okładkę i obwolotę, a cena tomu wynosi 2.500 lirów. Publikacja ta zainteresuje też z pewnością b. żołnierzy 2 Korpusu, którzy pozostali po wojnie we Włoszech i w ogóle Polaków tam zamieszkałych.

(1)

Zamiast płaszczy były obszerne wygodne peleryny koloru khaki, wydane w przewidywaniu walk w Finlandii, wiatrówka z sukienką podpinką i kożuszek bez rękawów, jako nakrycie głowy — beret tegoż koloru. Za uzbrojenie służyły krótkie karabinki wzór 36, często się začínające, ręczne karabiny maszynowe (rkm-y) z niewystarczającą ilością magazynków, ciężkie karabiny maszynowe (ckm-y) Hotchkisa, model z 1916 r. ze strymi celownikami p/lotn., bez amunicji przeciwlotniczej i z dużymi brakami w skrzynkach amunicyjnych oraz moździerze 60 i 81 mm. Duże też były braki w sprzęcie łączności. Do transportu służyły samochody wszelkiego rodzaju, motocykle, ciągniki i 196 mułów z Algieru; brak natomiast było samochodów sanitarnych i wózków ręcznych do transportu rannych. Wydane brygadzie ciężkie kuchnie polowe nie nadawały się zupełnie do użytku w walkach górskich.

ODJAZD Z FRANCJI

W nocy z 15 na 16 kwietnia pododdziały brygady opuściły transportami kolejowymi swe dotychczasowe miejsca postoju (mp) i przybyły do przejściowych rejonów zakwaterowania w okolicach Brestu. W dniu 19 kwietnia w miejscowości Guipavas na odprawie dowódców pododdziałów padała ważkie i pamiętne słowa dowódcy brygady gen. Szyszko-Bohusza: „Nie interpretować rozkazów dowolnie, wykonywać je szybko i dokładnie. Przed tym obowiązek, a potem prawa. Nie wolno oficerowi spocząć prędzej od podwładnych. Koleżeństwo broni i dopomaganie sobie wzajemne bez specjalnych rozkazów. Idziemy dzisiaj na coś niezwykłego niedużą gromadą. Wykreślamy na mapie świata nową drogę żołnierza polskiego. Jak wielki ciężar spada na nasze ramiona! Jesteśmy jednakowo za to odpowiedzialni! My mamy dzisiaj w rękach ostatnią kartę, jaką Polska ma do wygrania. Podwładni łatwo mogą się załamać — muszą znaleźć pomoc u swoich dowódców. Podróż przed nami morską około 3.000 km. Przez morską chorobę nie może się załamać morale wojska, zwłaszcza oficera. Jedzie ze mną kilka metrów wstążek orderu Virtuti Militari i Krzyża Walecznych, gdzie i Sąd Polowy Nr. 6. Naczelnny wódz uważa brygadę za awangardę, za najpiękniejszy oddział i powierza w jego ręce spokojnie to ogromne zadanie. Nie możemy go zawieść!“

21 kwietnia w rejonie wyczekiwania brygady odbył się przegląd przez naczelnego wodza gen. W. Sikorskiego.

W dniu 23 kwietnia pododdziały brygady załadowane zostały w porcie Brest na statki transportowe: „Colombie“ — statek flagowy, „Chenonceau“

i „Mexique“, co odbyło się pod bezpośrednim kierownictwem oficerów francuskich, a na co dowódca brygady nie miał żadnego wpływu. Załadowanie to odbyło się niestety w sposób raczej turystyczny, niż taktyczno-bojowy. Płynęły bowiem do Norwegii osobno jednostki wojska, osobno ich broń ciężka, a na innych statkach amunicja do nich pomieszana według jej rodzajów lub zapasy żywności. Utrudniło to wielce osiągnięcie gotowości bojowej przez pododdziały po ich przybyciu do celu wyprawy.

Dnia 24 kwietnia o godz. 0.05 wyżej wymienione statki opuściły port Brest i wypłynęły na pełne morze w kierunku północnej Norwegii. Cały konwój uzupełniony jeszcze na wodach Szkocji wynosił 11 statków pasażerskich i towarowych oraz 12 niszczycieli brytyjskich i francuskich, stanowiących jego ochronę. Po 5-dniowym postoju na redzie portu Greenock konwój popłynął dalej na północ.

W nocy z 3 na 4 maja konwój przekroczył koło polarne. Rozpoczęły się białe noce. 5 maja po południu statki z pododdziałami brygady zakotwiczone w odległości 3 km. od miasta Tromsø, gdzie w tym czasie znajdował się król Haakon VII. wraz z członkami rządu, parlamentu i korpusu dyplomatycznego. Miasto prawie nie miało obrony przeciwlotniczej. Stąd też zapowiedziane, nagłe pojawienie się polskiej brygady wywołało zrozumiałą konsternację u władz i mieszkańców. Po odbytej konferencji władz francusko-polsko-norweskich podniesiono znów kotwice i w dniu 6 maja 3 statki statki z pododdziałami brygady w asyście niszczycieli brytyjskich wypłynęły z Tromsø Sund w kierunku na południe, gdzie w jednym z fiordów brygada miała być wyladowana. Nie nastąpiło to jednak z powodu zupełnie nieodpowiednich warunków. Toteż na rozkaz admiralicji brytyjskiej konwój wypłynął znów, już teraz bez żadnej osłony, na pełny Ocean Lodowaty, po którego wodach brygada krążyła przez dwa dni 6 i 7 maja, osiągając wysokość około 100 km. na północ od najbardziej na północ wysuniętego przylądka Europy — North Cape. Ukuto wtedy wśród żołnierzy dowcipy o „bezrobotnej brygadzie do wynajęcia od zaraz“ i o „brygadzie widmie“.

Przekreśliło to plan sprzymierzonych zniszczenia żywych sił przeciwnika w rejonie Narvik i na północ od niego przez wykonanie głównego uderzenia siłami polsko-francusko-norweskimi w ogólnym kierunku na południe, przy współdziałaniu oddziałów brytyjskich od południa półwyspu Narvik.

(Dokończenie
w następnym numerze)



Świat się śmieje

50% powołania.

Pewien londyńczyk nazwiskiem Charles Wilson przepisał własnoręcznie wszystkie tragedie i komedie Szekspira. Kiedy wiadomość o jego herkulesowym trudzie przedostała się do prasy, zapytany przez reportera, dlaczego to zrobił, Wilson oświadczył: „Zawsze odczuwałem wielkie pragnienie pisania, ale, niestety, nie mam talentu literackiego.“

Wnikliwość krytyki.

— Czy podobał się panu dzisiejszy odczyt? — Nie bardzo, mam trzy zastrzeżenia pod adresem prelegenta: po pierwsze, że czytał swój elaborat; po wtóre, że czytał źle; a po trzecie, że to co czytał, nie warte było czytania.

Gentleman.

Przepis na gentlemiana? — Wziąć noworodka, w miarę możności z rodziny angielskiej (choć nie jest to absolutnie konieczne) i oddać go pod opiekę fachowej „nurse“ przez osiem lat. Następnie przez cztery lata łąć mu skórę w „preparatory school“. Z kolei przez osiem lat miesić go w jakiejś „public school“. W końcu, dać mu odпочząć przez trzy lata w Oxford lub Cambridge. Podawać należy na zimno w fotelu jakiegoś klubu.

Private enterprise.

Laburzysta angielski w czasie zebrania politycznego oświadcza: — Kraj nasz posiada wspaniałą młodzież, która ma wszelkie dane, aby stworzyć generację przodującą w świecie. Głos konserwatysty z sali: — że mamy taką młodzież, to jest całkowicie zasługa inicyjatywy prywatnej.

Nauki polityczne.

Pewien wykładowca w następujący sposób starał się wyjaśnić swoim słuchaczom różnicę między głównymi kierunkami politycznymi:

Socjalizm — jeśli masz dwie krowy, daj jedną swojemu sąsiadowi.

Komunizm — jeśli masz dwie krowy, oddaj je państwu, a za to od czasu do czasu dostaniesz trochę mleka.

Kapitalizm — jeśli masz dwie krowy, sprzedaj jedną i kup byka. Zobacysz ile będziesz miał krów.

Czar powieści kryminalnej.

Pisarz Quentin Reynolds, zagorzały czytelnik powieści kryminalnych, podróżował kiedyś ze swoim przyjacielem. Po krótkiej rozmowie obaj przyjaciele wzięli się do lektury. Reynolds, naturalnie, zaczął pochłaniać jakiś „kryminał“. W pewnym momencie rzucił koledze pytanie: „Co takiego czytasz?“ — „Książkę o rewolucji francuskiej“ — Reynolds, nie przerywając swojej lektury: „Czy są jakieś trupy?“ „Tak — odpowiada przyjaciel — „Ludwik XVI“. „A, to ciekawe — odzywa się Reynold z nosem zanurzonym w swojej powieści — czy można się domyśleć, kto to zrobił?“

Instytut sztuki.

Krytyka sztuki znanego z głębokiego znawstwa przedmiotu, ale także z odważnych i bezceremonialnych sądów, zaprosił do swego domu powien kolekcjonista nuworysz, aby mu pokazać swój zbiór obrazów. — Po mojej śmierci — mówi nowobagacki — chciałbym ofiarować tę kolekcję jakiemuś instytutowi. Czy mógłby pan udzielić mi rady w tym względzie? — Myślę, powiedział krytyk po obejrzeniu zbioru, że powinien pan oddać te obrazy do instytutu dla ociemniałych.

Zobowiązanie.

Reklama amerykańska. Lekarz, właściciel kliniki specjalnej, zamieszcza ogłoszenie: „Jeśli moja kuracja nie doprowadzi do pełnego wyzdrowienia, zobowiązuję się pokryć kosztą pogrzebu“.

Logika szkocka

Lekarz, do którego Szkot przyprowadził swą żonę, po obejrzeniu pacjentki, oświadcza, że trzeba jej wyciąć migdałki. Zabieg ten należało przeprowadzić jeszcze za lat dziecinnych. Szkot po otrzymaniu rachunku od lekarza, wysłał go teściowi.

Zupa.

Trzej ojcowie zakonu trapistów (w którym obowiązuje nieustające milczenie) zwrócili się do swego przeora z prośbą, by im pozwolił czasem na chwilę rozmowy. Superior poszedł na ustępstwo od surowej reguły zakonnej i zezwolił najstarszemu z zakonników na jedno zdanie w roku, w dniu świątecznym. Drugiemu z nich zezwolił na odpowiedź za rok. Trzeci braciszek musiał znowu czekać rok, by zabrać głos. W pierwszym roku najstarszy braciszek powiedział do swoich towarzyszy: „Nie lubię zupy jarzynowej“. Minął rok i przyszła kolej na drugiego, by się odezwać. Powiedział on do dwu swoich rozmówców: „A ja lubię zupę jarzynową“. Kiedy wreszcie w trzecim roku ostatni z braciszków mógł skorzystać z prawa głosu, powiedział: „Nudzi mnie ta wasza dyskusja o zupie jarzynowej“.

Polecenie

Vittorio Gassman znany włoski aktor i reżyser musiał pewnego razu przyjąć do swego zespołu jakiegoś miernego aktorzyne, ale bardzo polecanego przez wpływowe osobistości. Gassman zemścił się w ten sposób, że dawał temu aktorowi bardzo krótkie role. Pewnego dnia aktor zbuntował się i wybuchnął: Panie Gassman, rolę, którą mi pan dał w tej sztuce jest poprostu śmieszna. Wszystko, co mam zrobić, to wejść na scenę i wręczyć list. Tak — powiedział Gassman — ale to jest list polecony.

Szczyście w nieszczęściu.

Notatka w dzienniku: „Karawan zboczył z drogi i spadł z kilkumetrowego nasypu. Kierowca i nieboszczyk wyszli bez szwanku“.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11, Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédee Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Liccia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

miata „obejście“. Prócz tego dostaje kombinizon do pracy, światło i pokój z meblami w osobnym budynku. Jest to najniższy zarobek chłopca w wieku od 18 do 19 lat. Za tę sumę może sobie kupić kilka par butów lub przyzwoite ubranie. Każdy z nich posiada transistor, bo gitary i harmonie wyszły z mody. Murzyn zatrudniony w hotelu ma się znacznie lepiej, a w przemyśle — zupełnie dobrze. Rząd buduje im osiedla w pobliżu dużych miast, domki rodzinne, zupełnie takie same jakie mają biali. Podatki dla nich są „symboliczne“, znikome, opieka lekarska darmo, szkoły darmo.

Danie Murzynom niepodległości nastąpiło o paręset lat za wcześnie. Ale z drugiej strony trzymanie ich w systemie kolonialnym było wyzyskiem państw kolonialnych, czego nie ma w Południowej Afryce. Tutaj zamierzają rozwijać stopniowo oświatę i uczyć czarnych, aby doszli do jakiegoś zbliżonego poziomu z białymi.

Murzyni są dziś na szczeblu świadomości szczepowej, o świadomości narodu czy państwa nie mają pojęcia. Walki pomiędzy szczepami trwają bezustannie i upłyną stulecia nim się ten kociołek wygotuje.

Do szalu mnie doprowadza paradoks, że czarnym wolno jest stosować politykę rasistowską, ale białym nie. Troska ONZ o to, by wprowadzić w Południowej Afryce i wszędzie wśród kolorowych narodów zasadę, że mniejszość nie może rządzić większością, jest w stosunku do Murzynów absurdem. O rządzeniu państwem, a jeszcze do tego demokratycznym, nie mają oni najmniejszego pojęcia. Ale obok tej całej awantury o czarnych, istnieją w Europie państwa o przeszło tysiącletniej kulturze, gdzie milionami ludzi rządzi garstka zbirów, w oparciu o bagnety — i o tym ONZ ani pary z ust nie puści. Co za perfidia!

Stefan Majewski
Durban

CZASEM LEPIEJ WCZEŚNIEJ DRUKOWAĆ

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim artykule o „Tremblince“ znalazłam omyłki, które trzeba chyba sprostować.

1) Ponieważ rękopis przesłałam Redakcji w zeszłym (1966) roku, napisałam zaraz w pierwszym zdaniu: „Tremblinka...“ wydana została w marcu br. w Paryżu“. Artykuł szedł do druku w marcu br. (1967), dodałam więc przed „br.“ literę „u“ („ub.r.“), którą zecer pominął. Byłoby pięknie, gdyby książka wydana w marcu br. została w tymże marcu lub w kwietniu omówiona w „Orle Białym“, ale tak nie było.

2) Pisząc o artykule p. Pelczyńskiej, zaczęłam zdanie następującymi słowami: „W prasie emigracyjnej omówiła...“ W druku zdanie to brzmi: „W sprawie emigracyjnej omówiła...“

Fraszki

Dwie drogi do nieśmiertelności

Jednych człowiek pamięta za wielkie zasługi,
Drugich — bo zostawili niespłacone długi.

Niez mordowany mówca

Dwie godziny z mównicy świętym ogniem dyszał;
Gdy zamilkł — to słuchaczy obudziła cisza.

Skromne życzenie

Gdybym tak mógł mieć wszystko, czego potrzebuję,
To już resztę życzeń daruję!

Westnienie odwożonego samochodem przez przyjaciela po przyjęciu

Czuwaj, mój stróżu niebieski,
Bo gaz przycisnął do deski!

RAWICZ

KRZYŻÓWKA NR 593/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) silny, doskwierający; 3) i 16) może przykuć do ziemi?; 8) towarzyska część pralni?; 10) Katarzyna; 11) imię papieża; 12) powiedział: „Pan mój i Bóg mój“ (9, 6); 15) i 18) w gorącej wodzie kąpany; 20) i 22) w szkole może wziąć ucznia za ucho, gdzie indziej jest dobrze płatny; 21) u Moliera z urojenia; 25) przypadek (wspak); 26) kompozytor francuski; 27) etapami, powoli (4, 2, 7).

Pionowo: 1) największe swe zwycięstwo odniósł używając szczęki końskiej jako broni; 2) i 6) jeden z doktorów kościoła; 4) urzędnik rzymski, który opiekował się plebejuszami; 7) próba sił (wspak); 9) legenda mówi, że cisnął w ścianę kalamarzem, gdy diabeł się na niej ukazał; 10) wiara, nadzieja i miłość; 13) może być ozdoba głowy; 14) imię żeńskie; 15) zimowa burza; 16) pałac w Granadzie; 17) zamieszanie; 19) sakralny akt przyjęcia;

23) jeśli nie zwierzątko a człowiek, to podstępny (wspak); 24) bryla, od której największą odjętość obejmuje najmniejsza powierzchnia (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 592/67

Poziome: 1) i 5) Bazylianie, 3) i 16) pieprz, 8) cykuta, 10) pęciny, 11) furia, 12) nieporozumienie, 15) i 18) Opatrzność, 20) cyrk, 21) forum, 22) łyko, 25) kongres, 26) radykał, 27) na szarym końcu.

Pionowe: 1) bocian, 2) i 6) zakonnik, 4) iloraz, 7) Erynie, 9) afera, 10) Parma, 13) potoki, 14) błonie (wspak), 15) odciśki, 16) profesor, 17) Morfeusz (wspak), 19) młodość (wspak), 23) zera (wspak), 24) udko.

Pragnę jeszcze dodać, że cały numer kwietniowy jest bardzo interesujący. Doskonale „Wspomnienie...“ Klary Evans. Zelenki rewelacje o tępieniu odrębności narodowej Ukrainy — wstrząsające. Wszystkie artykuły warte są przeczytania.

Łączę wyrazy poważania

K. Brzozowska
Londyn

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Wydawca: Institute Litteraire, S. A. R. L., 97, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par Maissons - Laffitte (Yvelines), France

posiada w swym dorobku wydawniczym 143 tomy utworów: powieści, poezji, esejów,
dokumentów, zeszytów historycznych.

Oto najnowsze publikacje Biblioteki „Kultury“:

Tom 138

WITOLD GOMBROWICZ

D Z I E N N I K (1961 — 1966)

Operetka

Poza trzecim tomem Dziennika książka zawiera libretto Operetki. Jest to niezmiernie interesująca
próba wykorzystania formy scenicznej — od dawna należącej do lamusa bele époque.

Cena: 24/6, F.16.50, dol. 3.50

Tom 139

ALEKSANDER HERTZ

REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich
stronnicstw politycznych“.

Cena: 24/6, F.16.50, dol. 3.50

Tom 140

Seria „ZESZYTY HISTORYCZNE“

Styczeń 1967 — Nr 11

zawiera między innymi prace:

J. Weinsteina: Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny światowej,

St. Kota: Wspomnienia (cz. I),

M. Młotka: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (cz. I),

St. Lubodzieckiego: Wspomnienia oficera drugiej grupy.

Cena: 20/-, F.15.00, dol. 3.00

Tom 141

OLGA SCHERER

W C Z A S M O R O W Y

Powieść

Cena: 20/-, F.15.00, dol. 3.00

Tom 142

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA

Wspomnienia

Cena: 24/6, F.16.50, dol. 3.50

Tom 143

BONIFACY MIĄŻEK

Z I E M I A O T W A R T A

Poezje

Cena: 9/-, F.6.00, dol. 1.25

GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU NA WIELKĄ BRYTANIĘ

GRYF — K S I Ę G A R N I A S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7. Tel.: KNI 3500